

Wanda Lachowicz

Przeklinam cię, ciało

Lucyna P.
Redakcja
Joanna Balazy
Redakcja techniczna
Damian Walasek
Projekt graficzny serii
Artur Przebindowski
Zdjęcie na okładce
The Picture Book/Free
Korekta

Krystyna Malcher
Skład i łamanie
DTP Yideograf II
Wydanie I, październik 2000

© Copyright by Autor

© Copyright by Yideograf II, Sp. z o.o.

Videograf D Sp. z o.o., 40-153 Katowice, al. W. Korfańtego 191

tel./fax: (0-32) 203-65-59-60, 730-25-12-13

e-mail: videograf@videograf.dnd.com.pl

http://www.yideograf.dnd.com.pl

ISBN63-7183-176-1

Wstęp

Bohaterka tych zwierzeń jest studentką, chorowała na anoreksję i bulimię. Pokonała chorobę, chociaż ciągle uważa się za anorektyczkę, bo wie, że koszmar tamtych lat w każdej chwili może powrócić. Zdecydowała się opowiedzieć o swojej walce, ale pragnie zachować anonimowość. Nie chce, by problemy z tamtego okresu życia zaważyły na jej przyszłości. O przeszłości najchętniej chciałaby zapomnieć.

Uznała jednak, że powinna podzielić się swoimi doświadczeniami z innymi. Być może jej historia pozwoli wielu młodym dziewczynom uniknąć tragedii wyniszczania własnego organizmu.

Pisze o najbardziej intymnych sprawach nastolatki ze szczerością aż do bólu. Pragnie jednak pozostawić sobie prawo do zachowania w tajemnicy własnego nazwiska, a także adresów szpitali, w których przebywała, oraz nazwisk lekarzy i personelu medycznego. Nie podaje też szczegółów, które pomogłyby ją zidentyfikować. Boi się nietolerancji. Nie chce wkraczać w dorosłe życie z obawą, że zostanie w jakiś sposób napiętnowana lub odrzucona. Ma nadzieję, że Czytelnicy uszanują jej decyzję.

Przeklinam cię, ciało

Kiedyś cię kochałam, Marilyn, teraz nienawidzę. Dzień po dniu, kawałek po kawałku niszcę twoje ciało. Celuję lotkami w twoje piersi, atakuję uda. Stałaś się prawdziwą tarczą strzelniczą. Systematycznie i skutecznie niszcę ciebie i siebie.

Celuję tam, gdzie najczęściej dotykali cię mężczyźni, bo wiem, jak bardzo musiało boleć. Nie umiałaś się przeciwstawić. Dla nich byłaś tylko ciałem. Potem cię zniszczyli, bo zaczęłaś się buntować. Cierpiałaś, a kazali się uśmiechać, wykrzywiać twarz w wystudowanym grymasie. Jak musiało boleć, kiedy kierowcy w brudnych dżinsach przypinali twoje zdjęcia w samochodach, ślinili się do nich, dotykali albo majstrowali przy rozporkach.

Twoją śmierć przeżyłam głęboko. Wtedy napisałam ten wiersz:

Dlaczego zabiliście Marilyn Monroe

I różowy kolor miłości

Teraz jest szara, tragicznie byle jaka

A blondynki mają rude włosy...

Codziennie patrzę na ten plakat. Śmiejesz się na nim, twoje piersi sterczą obiecująco, a sukienkę podwiewa wiatr. To ty, taką chciano cię widzieć. Ale powiedziałaś — dość. I poniosłaś karę.

Teraz moje ciało cierpi tak jak twoje.

Nie rzucam w nie lotkami, nie kaleczę, niszcę tak jak cię, systematycznie i powoli. Nie jem już czwarty dzień, zostały jeszcze trzy, czyli tydzień oczyszczającej głodówki. Który to już tydzień? Coraz trudniej mi policzyć.

Już nie mam piersi, stały się maleńkie jak u dziecka. Nareszcie! Znowu jestem dziewczynką, która siedzi na kolanach swojego taty. Jego cudownym szczęściem, nadzieją i radością. Jeszcze wierzę, że tak będzie zawsze.

Śmiejemy się, wchodzę mu na plecy, a on udaje psa. Wozi mnie po pokoju poszczekując, chociaż mama złości się, że nie będzie w nieskończoność prasować tych wytartych spodni. Nie słyszymy mamy, jedziemy w świat, jesteśmy razem: ja i mój duży pies-przewodnik. Szkoda, że do dyspozycji jest tylko pokój zastawiony meblami. Zamykam oczy, żeby ich nie widzieć. Teraz jest tak jak chcę, tylko ja i ty, tato.

Kiedyś budzę się w nocy, jestem już trochę starsza i więcej rozumiem. Wtedy po raz pierwszy słyszę to słowo. Nie wiem, co znaczy, ale skoro ojciec tak głośno wykrzykuje: „Chcę rozwodu!”, to chyba chodzi o coś złego. Nigdy dotąd nie słyszałam,

żeby tak krzyczał. Mama prosi: „Zostań, przecież mamy dziecko”. Mój wspaniały tata, mój pies-przewodnik trzaska drzwiami i gdzieś wybiega. Wołam: „Tato, tato!”, ale jego już nie ma. Mama płacze w kuchni.

Wtedy po raz pierwszy nie chciałam żyć, nie wiedziałam, co się ze mną stanie, co to znaczy ten rozwód. Bałam się spytać. Tato rzadko bywał w domu. Już nie bawiliśmy się klockami. Nie budowaliśmy wieży aż do nieba, żeby zobaczyć aniołka, który na pewno pomacha nam skrzydłami.

Zabrali mi psa-przewodnika

Tego dnia padał deszcz, wróciłam z przedszkola i zobaczyłam, że w pokoju taty nie ma jego książek, w szafie ubrań, z przedpokoju zniknęły buty i kapcie. Jest za to dużo miejsca, więc gdybyśmy teraz chcieli bawić się w psa, który jedzie w świat, to by było super. Mama bierze mnie na kolana i mówi: „Zostałyśmy same, córeczko, ale nie martw się. Jakoś sobie poradzimy”. Nie wierze jej, bo ciągle płacze. Wiem, że też się boi, tak jak ja.

Nie chcę chodzić do przedszkola, chcę czekać na tatę. Przecież się ze mną nie pożegnał. Przyjeżdża babcia, mówi do mnie „sierotko”. To chyba z jakiejś bajki, już nie pamiętam...

Tata przychodzi w niedzielę, przynosi mi książkę o psach, ale wyrzucam ją do kosza. Nie chcę psa z książki, moim wspaiałym psem jest przecież tata. Tłumaczy mi, że dorośli czasem się rozstają, bo tak jest lepiej. Ale nic z tego nie rozumiem. Co to za lepiej, jak mama ciągle płacze, a ja nie mam swojego ukochanego psul-tatula? Wtedy po raz pierwszy wymiotuję po obiedzie. W nocy otwieram okno i zrzucam kołdrę, może się przeziębuję i umrę. Ciekawe, co wtedy zrobi tata? Rano boli mnie gardło. Jestem chora, ale nie umarłam. Muszę tylko pić gorzkie syropy. Mama kupuje mi kanarka, żebym nie była smutna. „Nie chcę kanarka, niech się tu zaraz zjawi tata!”, krzyczę i kopię w drzwi. Babcia bierze mnie na kolana i opowiada jakąś wesołą historyjkę, ale ja się nie śmieję. Już nie mówi do mnie „sierotko”, ma zakaz.

W niedzielę znowu przychodzi ojciec i po obiedzie znowu wymiotuję. Wołam z łazienki: „Ratunku!” Chcę, żeby został dłużej, bo przecież jestem chora. Nie może teraz odejść i mnie zostawić. A jednak wychodzi. Już zamyka drzwi. Stara się to robić jak najciszej, chociaż i tak słyszę jego kroki na schodach. Może zawróci? Modlę się do Anioła Stróża. Trzaska metalowa brama. Tak chyba pęka serce...

W pierwszej klasie jest jeszcze troje „rozwodników”. Ja i Ełka trzymamy się razem, jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. Razem chodzimy do szkoły, razem bijemy się z chłopakami. O swoich tatusiach mówimy — oni.

Najbardziej lubię słuchać bajek. W bajce jest trochę dobrze, trochę źle, ale wszystko kończy się szczęśliwie. Opowiadam też bajki swojej lalce — o księciu, który nigdy nie odjedzie do żadnej innej księżniczki, nawet jak jego ukochana będzie stara albo chora.

W niedzielę chodzę do kina, czasami na karuzelę. Przez całą drogę wypatruję taty. Raz nawet pobiegłam za jakimś panem, ale to nie był on. Nie miał nawet okularów i nie nosił wąsów. Mama się zdziwiła — jak mogłam się tak pomylić?

Innym razem miałam więcej szczęścia. Tata szedł za rękę z jakąś panią, tak jak kiedyś z mamą i ze mną. Widział nas i skręcił do najbliższej bramy. Chciałam za nim pobiec, ale nie mogłam wyzwolić dłoni z maminego uścisku. Wiem, że ta pani to była ona. Tak mówi mama i babcia. Jakaś „ona” ma czarne włosy i krótką spódnicę.

Jestem wściekła. Opowiadam Elce, że poszłam z tatą na spacer, że byliśmy razem w ZOO i kupił mi lody. Ona krzyczy: „Kłamiesz, nigdzie nie byłaś!”

Wiem, że kłamię, ale pokazuję jej język. Chcę, żeby było tak jak mówię i już. Ciągle zmyślam różne niesamowite historie. To moje ulubione zajęcie, wymyślanie sobie takiego życia, jakiego nie mam, takiego taty, jakim kiedyś był.

„Ale masz wyobraźnię”, cieszy się pani od polskiego, kiedy opisuję wyprawę z ojcem w góry. Mieliśmy haki i czekany. Tato trzymał mnie na linie, a ja jego. Wisieliśmy połączeni ze sobą. Jedno nie mogło drugiego puścić, bo byśmy zginęli. Razem zdobyliśmy szczyt! Oczywiście wszystko wymyśliłam...

Rozpacz, prawda i kłamstwo

Każdego dnia zapisuję stronę w pamiętniku. Kiedyś go spalę, ale teraz muszę pisać, bo inaczej zwariuję. Pamiętnik to moja tajemnica, mój ból, rozpacz, prawda i kłamstwo.

Na pierwszej stronie wkleiłam nasze zdjęcie, jesteście na nim razem — tata i ja. Przedarłam je na pół. Wcześniej nosiłam tę fotografię do przedszkola w kieszeni spodni i bardzo się bałam, że jakiś dzieciak mi ją zabierze. Teraz celowo ją zniszczyłam, jest taka jak nasze życie — na pół.

Niedzielne spotkania są prawie normalne. Trochę się śmiejemy, dużo kłócimy. Nigdy o nic nie pytam taty, co robi, gdzie mieszka. Mama piecze ciasto i mamy dom jak kiedyś, chociaż wiem, że to tylko udawanie.

Im więcej mam lat, tym bardziej nienawidzę tego cyrku. Skoro jest tak dobrze, to czemu jest tak źle? Obłuda i nic więcej. Po takiej niedzieli nie chce mi się nawet pisać w pamiętniku. Najczęściej jest tam tylko jedno słowo, pisane po sto razy: kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo!

Ełka też nie lubi spotkań z ojcem. To znaczy chce, żeby przyjeżdżał, żeby z nią był i nigdy nie wyjeżdżał. Ale przecież wie, że i tak wyjedzie.

Najbardziej nie lubi tych szeptów matki: „Powiedz, że potrzebujesz pieniędzy na kurtkę, niech ci kupi nowe buty, zapłaci za lekarstwa”.

Ja nie mam nowej kurtki i zwisa mi to. Ełce też, ale matka jej każe, więc Ełka prosi: „Tatusiu, kup!” I sprawa załatwiona. Kiedyś ojciec nie wytrzymuje i krzyczy: „Córka taka sama jak matka, tylko kasa się liczy! Mógłbym wcale nie przyjeżdżać. Następnym razem wyślę czek”. Ełka płacze, nienawidzi swojej matki.

Ja mojej też. Dlaczego nie zatrzymała ojca? Jak mogła pozwolić mu odejść, powinna coś zrobić, zatrzaskać drzwi, zamknąć okna, schować buty. Nie wiem, co jeszcze. Ale znaleźć jakiś sposób, a nie tylko mówić: „Trudno, nic nie mogłam na to poradzić”.

Płacę, jest mi źle, tak bardzo, bardzo źle, że nie chcę żyć. Jak nie będę jadła, to w końcu umrę. I nie jem cały dzień. Kanapki wyrzucam do kosza w szkole. Przy kluskach, które uwielbiam, już się prawie złamałam, ale mówię, że boli mnie głowa i idę spać. Jakoś się upiekło. Wieczorem zjadam całą czekoladę i pół paczki ptasiego mleczka. Nad ranem wymiotuję.

„Musimy się wybrać do lekarza, to nienormalne, żeby dziec-

ko tak ciągle wymiotowało”, mówi mama. Nie chcę iść, nie pójdę! Na jakiś czas przerywam głodówkę.

Jadę na wakacje do babci, potem na kilka dni z ojcem. Mama wyblagała, żeby „ona” nie jechała, tylko tata i ja. Nie chciał, bo przecież „ona” jest już jego żoną, ale w końcu się zgodził.

Pakujemy plecaki, bierzemy śpiwory. Przez dwa tygodnie będziemy mieszkać na łódce. Kocham wodę, kocham się kąpać. Miałam być upragnionym pierworodnym synem, jestem dziewczyną, ale umiem łązić po drzewach, nie boję się ciemności, potrafię sterować łodzią i rozstawić namiot. Tata jest dumny. Może gdybym była chłopakiem, to by mnie nie zostawił? Przez chwilę myślę, żeby zmienić płeć, słyszałam o takich operacjach. Nie chcę, żeby mi rosły piersi, nie chcę żadnych zmian w mojej sylwetce. Los się jednak uparł — właśnie na łodzi dostaję pierwszą miesiączkę. Tata mówi: „Zabrałem dziecko, zwrócę kobietę”. Rumiennie się po czubki palców. Taki wstyd, jak mogłam go zawieść. Mieliśmy pływać w jeziorze, ile tylko się da, a tu nic z tego. Boli mnie brzuch, obrzydliwa gorąca krew przyprawia mnie o mdłości. Matka jak zwykle spóźniła się z uświadomieniem mnie, wcześniej wszystkiego dowiedziałam się z książek. Nie mogłam na nią liczyć w tym względzie, wiedziałam, że po swojemu zagmatwa sprawę, zacznie się jąkać i mówić słodkim głosem: „Kiedy to nastąpi, będziesz musiała, córeczko, uważać, bo chłopcom chodzi tylko o jedno...” Oczywiście nie powie, że o seks. To słowo najchętniej wykreśliłaby ze słownika, odkąd odszedł ojciec. Czy kiedyś było inaczej? Nie pamiętam, ale chyba tak, skoro dziwnym zrzędzeniem losu pojawiłam się na świecie.

Matka nie jest wobec mnie szczera, umawia się z jakimś facetem, wraca rozpromieniona i wtedy wszystko można z nią załatwić, nawet późny powrót z dyskoteki.

Nie wiem, czy ta znajomość to coś poważnego. Nie obchodzi mnie to. Skoro nie mam ojca, mogę nie mieć i matki. Niech sobie idzie. Już nie płaczę głośno, nie kopię w drzwi. Czasami, gdy nikt nie słyszy, walę głową w ścianę. Ogryzam paznokcie do krwi. I palę.

Papierosy stały się moją obsesją. Kiedy się pali, nie trzeba jeść. Żeby mało jeść, trzeba dużo palić. Więc za kieszonkowe i za pieniądze na śniadanie kupuję dwie paczki ekstra mocnych. Palce mam żółte od tytoniu, włosy śmierdzą mi dymem, muszę je codziennie myć. Trudno, kiedyś i tak ogolę się na лыso...

Sąsiadka donosi matce, która jak zwykle niczego się nie domyśla, że chowam papierosy za rurą od kaloryfera na klatce scho-

dowej. Wstrętna mała, sama pali, a innym broni. Matka robi awanturę, grozi, że powie ojcu. Zwisa mi to.

Bez papierosów bym oszalała. Najgorzej, że nie zawsze mam na fajki i nie ma kto pożyczyć. Kiedyś zapaliłam skręta z trawy. Wydawało mi się, że to marihuana, że mam taki odlot, o jakim czytałam w książce My, dzieci z dworca ZOO. Niestety, tylko bolała mnie głowa i wymiotowałam.

Teraz jest tak prawie każdego dnia. Wyrzucam to, co złe. Za dużo jedzenia, za dużo nieszczęścia, muszę się wszystkiego pozbyć. Dopiero wtedy czuję się wolna i czysta, jak mój żołądek.

Gra pozorów

Kiedys przychodzi do mnie Iza. Matki nie ma w domu i nieprędko wróci. Najpierw opowiadamy sobie różne świństwa o facetach, to znaczy, jak to jest, kiedy się dobierają.

Mam w tym względzie pewne doświadczenie, bo już się całowałam, nie tylko tak grzecznie, ale do pasa. Oczywiście Iza myśli, że dawno straciłam cnotę, na dodatek ze starym wujkiem i za pieniądze. Nie wiem, czy mi wierzy, ale opowiadam długo, ze szczegółami. Widziałam kiedyś taki film na prywatce. Myślałam, że się porzygam, ale nie wypadało wyjść. Izy tam nie było, więc teraz mogę łąć jak z nut.

Jesteśmy dziwnie podniecone, więc proponuję, żebyśmy zrobiły striptiz. Iza trochę się krępuje. Żeby jej dodać odwagi, zakładam czarną bieliznę matki, jej pończochy i szpilki. Po chwili zdejmuję stanik, kręcę nim młynka i rzucam na podłogę, potem zdejmuję pończochy i majtki. Wchodzę na stołek, wypinam się do lustra.

Iza nie chce się rozebrać. Idzie do domu. A ja stoję przed lustrem i krzyczę: „Nienawidzę was, piersi! Nienawidzę, uda!” Nienawidzę, odkąd matka zaczęła mówić: „Uważaj na chłopców”, a tatuś „milutko” dodał: „Doroślejesz, mogą być kłopoty...” Teraz odwiedzam go co dwa tygodnie, bo do matki przyjeżdża ten facet, który ma być jej mężem. Nie znoszę tych wyjazdów, pakowania książek, udawania, że się cieszę.

— Tylko proszę po sobie posprzątać — upomina „urocza” żona tatusia. Nawet nie odsznurowałam butów, a tu już kazanie. Jej pies wyciera łapy w narzutę na tapczanie i jest w porządku. Ja jeszcze nic nie zdażyłam zrobić i już jest źle. Ale mówię, że oczywiście natychmiast posprzątam.

Jestem wściekła, a muszę się uśmiechać. Najchętniej udusiłabym tego jej głupiego psa. Ciekawe, co wtedy by ta jędza zrobiła. Może to jest jakiś pomysł? Może wtedy nie musiałabym tu przyjeżdżać? Ale, cholera jasna, lubię psy, nawet takie głupie jak ten. Nic dziwnego, że nie jest za mądry, bo w końcu po kim? Gdzie ten ojciec miał oczy, żeniąc się z taką kretynką? Ma równo przystrzyżoną grzywkę, nosi ciasne różowe sweterki i podkolanówki. Do mojego ojca mówi „misiaczku” i co chwilę siada mu na kolanach. Widzę, że jest wściekły, kiedy ona tak się przy mnie zachowuje, i burczy, że nie jest żadnym misiaczkiem. Ona jednak nie przejmuje się tym i dalej plecie. Po co urządza ten

teatr? Może chce, żebym opowiedziała matce? Ale co to obchodzi moją matkę, skoro ma już innego faceta, którego też nienawidzę. Nikt nie ma prawa zająć miejsca przy was. Nikt nie ma takiego prawa. Co Bóg złączył, niech człowiek... napisałam w swoim pamiętniku. Potem narysowałam serce z kapiącymi kroplami krwi. Taki ohydny kicz, ale gdy się ma 14 lat, nie można niczego tak naprawdę zrobić, niczemu się sprzeciwić. Można się tylko zabić, więc się zabiję. Na prawdziwe samobójstwo nie mam odwagi, więc będę umierać na raty i wreszcie kiedyś się to stanie.

Na obiedzie poprosiłam o dodatkową porcję, bo byłam głodna, a ta małpa, czyli żona tatusia, od razu skomentowała:

— Widać w domu nie dają ci jeść pod dostatkiem.

Ojciec nie wytrzymał i kazał jej być cicho. Myślałam, że jest po mojej stronie, ale wrednie zauważył:

— Zaokrągliłaś się...

Natychmiast poszłam do łazienki, takiej pięknej ze złotą mydelniczką, sedesem za kilka baniek, dywanikiem we wzorek (wyjątkowy brak gustu) i wyrzygałam cały obiad. Umieję to robić cicho. Wystarczy usiąść na podłodze koło sedesu i wepchnąć dwa palce na odpowiednią głębokość, a potem jeden ruch i po wszystkim. Trochę śmierdzi, to fakt, ale w tym sterylnym sraczu stoją zagraniczne dezodoranty, więc w czym problem?

Potem idziemy biegać. To pomaga w odchudzaniu, więc chętnie się zgadzam. Ojciec jest zadowolony, bo nie musi wyprowadzać tego głupiego psa. Jest mi słabo, jestem zmęczona, ale pręmu na coraz więcej. Skoro nikt mnie nie kocha, to nareszcie jest ktoś, komu na mnie zależy. Nie chcę pamiętać o zakazach matki, chcę być czyjaś.

Zanim się to stanie, chodzimy przytuleni, całujemy się do nieprzytomności. Kiedyś kupujemy prezerwatywę i do dzieła. Trochę mnie boli, ale nie mniej niż ściśnięty z głodu żołądek. Matka niczego się nie domyśla, dla niej ciągle jeszcze jestem krnąbrną gówniarą. Znajomość z Arkiem traktuje jak pierwszą miłość bez konsekwencji, chociaż o konsekwencjach przypomina mi przed każdą randką. Ciekawe, czy też tak uważa z tym swoim facetem?

Głód, papierosy i hormony powodują, że staję się coraz bardziej agresywna. Krzyczę, robię awantury. W ten sposób próbuję wymusić na matce to, co chcę. A chcę przede wszystkim pieniędzy na soki, witaminy w tabletkach i nowe dżinsy, które są tuż, tuż.

O matce opowiadam niestworzone historie, że jest Żydówka,

że ojciec chciał ją utopić w rzece, bo go zdradzała. Bredzę, ale moje koleżanki chętnie słuchają, nawet o tym, że w soboty i niedziele pozwala mi mieszkać u jednego faceta.

Oczywiście nie mogę im powiedzieć, że jadę grzecznie do tatusia i jego małżonki, oglądać ponumerowane skarpetki, talerzyki przełożone bibułą, żeby się nie rysowały, i inne wariactwa, które dla moich koleżanek byłyby tak samo nie do przyjęcia, jak bajki o kochanku, do którego odwozi mnie sama matka.

Wiem, że mi nie wierzą, przynajmniej nie wszystkie, nieraz mówią, że zmyślam, ale nie mogę się opanować. Ten świat, w którym żyję, wydaje mi się nie do zniesienia. Dlatego tworzę sobie inny, nawet jeśli brzmi to jak bajka o wężu.

Co tydzień czekam na ulubiony serial Miasteczko Twin Peaks, mój kultowy film. Dziewczyny wcale nie są tam grzeczne, panuje przemoc i zbrodnia. To działa jak narkotyk. Marzę, żeby wreszcie kupić tak zwaną działkę, ale nie mam odwagi. Na razie tylko upijam się do nieprzytomności.

Przerażona matka znajduje mnie w krzakach. Ukradłam jej pieniądze, nic o tym nie wie. Kaśka nie chciała pić, bo bała się wrócić pijana do domu. Ja też się trochę bałam, ale ostatecznie i tak nikomu na mnie nie zależy. Matka zajęta pracą, facetem, ojciec nowym gniazdkiem. Jestem jak śmieć, nikomu niepotrzebny. Więc kładę się w stertę śmieci. Matka razem z Kaśką taszczy mnie do domu. Sąsiedzi myślą, że zemdlałam, a ja nie mogę ustać na nogach.

Powinnam jechać na odtrucie, ale taki wstyd. Co będzie ze szkołą, pewnie mnie wyrzucą? W końcu sprawę załatwia zimny prysznic i sen. Nad ranem wymiotuję legalnie, wiadomo, wódka miała prawo mi zaszkodzić.

Ten incydent wzmacnia czujność, matka chodzi do szkoły, sprawdza, czy nie wagaruję, jakie mam stopnie. W tym roku czeka mnie egzamin do szkoły średniej. Trzeba przysiąść fałdów.

Mozolę się nad słupkami na dodatkowych korkach. Chcę zdać, więc się uczę i nie myślę o odchudzaniu, nie mam czasu się gimnastykować. Jem i nabieram ciała. Mam to w nosie — najważniejsze: zdać. I zdaję śpiewająco.

Nagrodą są wakacje. Znowu jedziemy z ojcem na żagle. Jego delikatna żona nie chce moknąć w namiocie, czy oganiać się od komarów.

I znowu jest tak jak kiedyś. Jestem jego kochaną córeczką, a on moim psem, tym razem żeglarskim. Mówię na niego „skipper”. Chciałabym, żeby te dwa tygodnie trwały całe życie. To

nic, że leje i wieje.

„Kocham cię, tato”, wrywa mi się kiedyś niechcący. Siedzimy przy ognisku długo w noc i oglądamy spadające gwiazdy. Wypowiadam po cichu życzenie, żebyśmy razem przenieśli się do krainy Małego Księcia. Potem ryczę i wycieram oczy rękawem dresowej bluzy. Znowu jestem dzieckiem, leżę ze swoim tatą, jest ciepło, dobrze, cudownie. Boże, dlaczego zabrałeś mi to, czego potrzebuję najbardziej? Dlaczego ludzie potrafią być tacy okrutni i zostawiają swoje dzieci, skoro nawet dzikie zwierzęta tego nie robią? Dlaczego do więzienia można trafić za kradzież pary butów, a za taki czyn się nie odpowiada? Jak porównać moją stratę do straty pary butów? Nie mogę się uspokoić, znowu pochlipuję w rękaw. Po co się urodziłam, no po co?

Luz blues z Karoliną

W szkole średniej jest trochę inaczej, więcej zadają, ale jakoś sobie radzę. Kuleję z językami i matmą.

— Korki, znowu korki — biadoli matka. — Może by tak twój ojciec się do tego włączył?

Tatuś, zamiast płacić za lekcje, postanawia sam wbijać mi do głowy zaległy materiał. Co chwilę słyszę, że jestem głabem i matołem. Jego ścisły umysł nie może zrozumieć mojej matematycznej niemocy. Klócimy się bez przerwy.

Już nie chodzę biegać, przez dwa dni ślęczymy nad matmą, ale z marnym rezultatem. Trzeba będzie coś wymyślić, żeby za tydzień tu nie przyjeżdżać. Chociaż oczywiście dziękuję mojemu kochanemu tatusiowi, że tak się dla mnie trudził.

Nienawidzę obłudy, a teraz sama się taka staję, obłudna i wyrachowana. Przymilam się, żeby dostać pieniądze, tak jak kiedyś Ełka do swojego ojca. Ale czujna małżonka mojego taty trzyma kasę mocną ręką. Ostatecznie zgadzają się zapłacić za moje spodnie.

W klasie jest jedna fajna dziewczyna, która mi imponuje.

Luzaczka. Ma kolczyk w nosie i maluje się wyzywająco. Chociaż nasza polonistka, stara panna, prosi:

— Karolinko, nie oszpecaj się, w twoim wieku sama młodość jest ozdobą.

Ona oczywiście olewa te „święte słowa” starej klępy, na którą żaden widać nie miał ochoty.

Karolina podoba się starszym facetom, zaczepia ich, prowokuje. Siedzimy w „Mirandzie.” Ona zakłada nogę na nogę, wyciąga papierosa, puszcza kółka dymu i ściąga wzrokiem jednego przystojniaczka. Nagle zza baru wychodzi kelnerka i mówi:

— No, kurewki, wynocha, tu nie wasz rewir.

Robię się czerwona ze wstydu, Karolina też. Trudno, spadamy. Z wściekłości trzaskamy drzwiami.

W szkole wywiesili plakat, że można się zapisać do szkoły dla modelek. Idziemy z Karoliną. Jest ode mnie wyższa o 5 centymetrów i jeszcze szczuplejsza. Załapała się. Mnie, niestety, dziękują.

—Trochę schudniesz i będzie okay — pociesza taki jeden facet, który też bierze udział w pokazach. Chętnie bym się z nim umówiła, ale Karolina jest szybsza. Siada mu na kolanach.

— Nie jestem grzeczną dziewczynką, możesz sprawdzić —

zachęca.

Więc nie mam szans...

Cholernie mnie kusi, żeby zjeść coś słodkiego. Kupuję czekoladę z orzechami i w ciągu kilku minut jest już po niej. Boli mnie żołądek, to kara za łakomstwo. „Zaraz ci ulżę, kochany”, obiecuję. Wymiotuję w ulicznym kiblu. Śmierdzi i jest ohydny, ale to, co robię, przecież też nie pachnie fiołkami.

Teraz odchudzanie staje się moją obsesją. Nie pozwolę, żeby Karolina królowała na wybiegu, nie będę się tylko przyglądać. Jem marchew, sałatę, piję dużo wody niegazowanej i ćwiczę jak oszalała.

Matka załamuje ręce.

— Jak ty wyglądasz! Bluzka na tobie wisi, schudłaś strasznie. To moja wina, potrzebujesz treściwszego jedzenia.

I zabiera się za gotowanie zupy. Idzie jej to marnie, bo gotować nie lubi. W końcu, dumna z siebie, stawia dwa talerze jarzynowej. Zjadam kilka łyżek i po chwili zabieram talerz do swojego pokoju. Mam tam przygotowaną butelkę po mleku, wlewam do niej zupę i chowam za tapczan.

Arek zaprosił mnie na spacer. Idziemy pogadać i wypalić codzienną porcję ekstra mocnych. Wracam, a tu matka stoi z butelką w ręku i zaczyna wrzeszczeć:

— Co to jest?! Pół dnia stałam przy kuchni! — Okłada mnie pięściami i ciągnie nad garnek z zupą. — Zaraz zjesz to wszystko przy mnie!

Wpycha mi łyżkę do ręki. Przelykam z trudem, a ona wrzeszczy:

— Dalej, dalej!

Po trzeciej łyżce zaczynam wymiotować na podłogę. Matka szlocha:

— Co ja mam robić, co robić?

— Dać mi spokój! — krzyczę. — Raz na zawsze dać mi spokój! Ale matka nie rezygnuje. Idziemy na badania, lekarka mówi, że to trudności okresu dojrzewania, huśtawka hormonalna, problemy adaptacyjne w nowej szkole. Jeszcze nie jestem bardzo chuda. Badania też wypadają nie najgorzej.

— I widzisz, sensatko, chcesz ze mnie zrobić ciężko chorą, a tu nic z tego — komentuję zadowolona, że udało mi się je nabrać. I matkę, i tę lekarkę.

Zaczynają mi się psuć zęby, boję się dentysty, więc za żadne skarby nie pójdę. Łykam tabletki przeciwbólowe, ale nie tylko. Codziennie kupuję kartonik leku na zaparcia. Można go dostać

bez recepty. Na przerwie zjadam połowę, resztę w domu. Czasami w trakcie lekcji muszę biec do toalety. Wieczorem spędzam w niej sporo czasu.

Kiedy kładę się spać, całkowicie oczyszczona po wymiotach i wypróżnieniu, mam wrażenie, że frunę lekka jak motyl gdzieś ku słońcu, wysoko, coraz wyżej. I nagle spadam, opalone skrzydła nie są w stanie mnie utrzymać.

Budzę się, już ranek. Trzeba iść do szkoły, ale nie mam siły. Bola mnie wszystkie kości, jestem słaba, każdy ruch sprawia mi ból. Zachorowałam na grypę. Zostaję w domu, mama wzywa pogotowie. Pani doktor, która mnie bada, mówi, że chyba mam anemię i spora niedowagę. Wtedy po raz pierwszy pada to słowo — anoreksja. Radzi mojej mamie zwrócić uwagę na to, jak się odżywiam, i zaleca wizytę u psychiatry. Matka jest przerażona. Kupuje w księgarni książkę o anoreksji, czyta, daje też mnie. Oczywiście mówię, żeby zabrała te bzdury. Jak lubi czytać o głupotach, jej sprawa, ja nie będę. Kiedy wychodzi z domu, natychmiast rzucam się na tę książkę. Będzie moim przewodnikiem na drodze do odchudzania.

Właśnie przeczytałam, że anorektyczki przestają miesiączkować. Zastanawiam się, kiedy miałam ostatni okres. Chyba ze dwa miesiące temu, już nie pamiętam. Najpierw się bałam, że jestem w ciąży, ale przecież uważaliśmy, a brzuch mi na szczęście nie rośnie, tylko jestem coraz chudsza, więc to na pewno nie ciąża.

Nie znoszę tej kobiecej przypadłości. Z ulgą przyjął fakt, że problem mnie nie dotyczy. Mogę chodzić na basen, kiedy chcę. To, obok gimnastyki, moja nowa obsesja. Dwie godziny pływania bez przerwy, dwa razy w tygodniu. Trener nawet się mną zainteresował i zaproponował, żebym się zapisała do sekcji pływackiej. Niestety, zobaczył mnie z papierosem i propozycja natychmiast stała się nieaktualna. Kazał wybierać: wyczyn albo papierosy. Wiadomo, co wybrałam.

Bomba pęka pewnego styczniowego dnia. Mam znakomity nastrój. Mimo świątecznego obżarstwa nie przytyłam ani deka. To zasługa mojej techniki wymiotowania. Jestem mistrzynią w drażnieniu gardła, tylko cholernie nie lubię myć toalety.

Matka właśnie wróciła od lekarza i mówi, że jest w ciąży.

— Chyba oszalałaś! Nie sądziłam, że takim starym babom też się coś takiego zdarza — komentuję złośliwie, bo tak naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Ale ona jest szczęśliwa i ten facet też. Będą już legalną rodziną. Tak naprawdę jestem wściekła — wstyd

przed koleżankami to jeden powód, drugi, że teraz matka będzie miała kogo kochać, a ja znowu będę niczyja.

Muszę teraz częściej pomagać w domu i sprzątać, a tego nie-
nawidzę z całej duszy. Noszę też zakupy z targu. Brzuch matki
jest coraz większy. „Jak można się tak oszpecić”, myślę
z nienawiścią. Toczy się jak wielka kaczką na krzywych nogach,
ma żyłki. Nigdy nie zafunduję sobie takiej „przyjemności.”
Żaden facet nie zrobi mi brzucha!

W końcu mija dziewięć miesięcy i matka idzie rodzić. Boję
się. A jeśli wydarzy się coś złego? Wtedy zostanę sama na świe-
cie, bo ojca nie można brać pod uwagę. Chociaż w zasadzie teraz
też jestem sama, cholernie sama. „Kogo to obchodzi, czy będę
gruba, czy chuda”, myślę i zjadam na kolację trzy kromki chleba
z szynką. W nocy śnią mi się koszmary, a rano okazuje się, że
mam siostrę.

W domu wielkie poruszenie, stoję przy desce do prasowania
czterdzieści pieluch — koszmar, ale czego się nie robi dla ro-
dzinnej zgody. Co chwilę dzwonią telefony z gratulacjami, a mój
ojczym odpowiada, ile ta gówniara waży i mierzy, jakby to była
najważniejsza informacja na świecie. W końcu po dwóch dniach
matka wraca do domu.

Oglądam siostrę. Wygląda jak indiańska laleczka połączona
z młodym jamnikiem, który ma za dużo skóry. Biorę ją nawet na
ręce. To miłe patrzeć jak przewraca oczkami i wyciąga te swoje
małe łapki. Matka mnie nie zauważa, ciągle zajęta karmieniem
i przewijaniem. Ojczym kupuje pierwsze pampersy, żeby nie
trzeba było prac. Podkradam jednego i wkładam sobie pod pi-
dzamę. Udaję, że znowu jestem małym dzieckiem, któremu ro-
dzice zmieniają pieluchy, głaszczą, przytulają, reagują na każdy
płacz. Dlaczego nie mogę leżeć tak blisko matki, dlaczego nie
mogę zasnąć w jej ramionach, dlaczego ojciec nie pochyla się
nad moim łóżkiem? Gdybym mogła stać się maleńką, jak to zro-
biła Alicja z Krainy Czarów, wypiłabym całą butelkę tajemnicze-
go płynu...

Ciągle jest mi zimno, to podobno efekt spadku wagi, tak
piszą w tej książce. Noszę dwie bluzy i dwa podkoszulki, żeby
nie było widać, jak schudłam. Moja twarz jest już prawie taka
jak chcę, kości policzkowe sterczą coraz wyraźniej. Arek mówi,
że bardziej mu się podobałam, kiedy byłam grubsza. Prymi-
tywny jak każdy facet. Ciało się liczy, tylko ono. Nieważne, co
ci w duszy gra, tylko jaki masz obwód biustu. Zrywam z Ar-
kiem, niech sobie szuka pulchnej kretyнки, skoro mu nie odpo-

wiadam.

Wypadają mi włosy, przeczytałam, że to też wina odchudzania. Co tam, na wszystko jest sposób. Zawsze chciałam być łysa, więc nie ma problemu. Obcinam się prawie do gołej skóry. Matka jest przerażona, ale ona ciągle jęczy, nie robi to na mnie wrażenia. Ojciec wpada w szal, mówi żebym się nie pokazywała u niego w domu, zanim mi włosy nie odrosną.

— To długo poczekaasz! — krzyczę i wyjeżdżam.

— W szkole idzie mi coraz gorzej. Nie mam siły się uczyć, ciągle myślę o jedzeniu. Jak tylko się najem, kończę w klozecie. I tak w kółko. Z trudem zdaję do drugiej licealnej.

Musiałam zrezygnować z kąpieli, bo oni ciągle kapią tego dzieciaka albo coś piorą. Teraz oprócz tabletek na odchudzanie parzę sobie na noc termos herbaty „Figura”. Przed snem wypijam prawie litr gorzkiego naparu z siedmiu torebek. Jest paskudny, ale skuteczny. O piątej rano po raz pierwszy zaliczam toaletę, potem jeszcze ze dwa razy. Matka i ojczym śpią, więc nikt mi nie przeszkadza. Staram się tylko nie trzaskać drzwiami.

Nienawidzę, kiedy czulą się do siebie, a moja siostra, która już chodzi, wdrapuje się do nich na kolana. Chciałabym zająć jej miejsce. Przecież tak kiedyś było...

Coraz więcej we mnie agresji, potrafię kopnąć psa, wyrwać dzieciakowi z ręki loda i rzucić na ziemię, lubię, jak ktoś przeze mnie cierpi. Odpłacam za mój ból. Kiedyś na imprezie przypalam sobie rękę papierosem.

Jestem demonem zła!

W szkole bywam, ale często wagaruję. Wychowawczynie wzywa matkę i pokazuje nieobecności. Podobno musiałam się opiekować siostrą. To oczywiście wielka bzdura i prawda wychodzi na jaw.

— Nie chcę o tym mówić, nie mam nic na swoje usprawiedliwienie! — krzyczę.

Matka boi się krzyku, wstydzi się swojego faceta, który od razu złośliwie komentuje:

— Świetne wychowanie, widać, że się mamusia przyłożyła.

Nie wiem, czy ją kocha, obawiam się, że nie, tylko moja głupia matka udaje, że tego nie widzi. Ludzie zawsze wykorzystywali jej uległość. Dlatego poprzysięgam sobie, że nigdy nie będę taka jak ona. To ja będę niszczyć, to ja będę krzywdzić. Potrafię dużo wytrzymać, już nikt mnie nie zrani. Większych ran, niż te z dzieciństwa, nie można mi zadać.

Moja wychowawczynie mówi:

— Dlaczego ciągle przypominasz jeża i wystawiasz te swoje kolce? Przecież od środka jesteś wrażliwa i dobra.

Może ma rację, ale teraz od środka jestem przede wszystkim głodna, chociaż nie mogę się do tego przyznać, więc mówię, że nie rozumiem aluzji o jeżu. To przecież takie miłe zwierzątko...

Ważę już 46 kilogramów, przy moim wzroście to spora niedowaga. Szerokie bluzy i spodnie wiszą na mnie jak na kijku.

Ojciec się nareszcie przeprosił i podjął rozmowę na temat mojego wyglądu. Ubolewał, że chyba dużo się uczę, skoro tak schudłam.

Kłamie:

— Oczywiście masz rację, tato. Nic mi nie jest.

Idziemy pobiegać i w czasie takiego biegu robi mi się słabo, mdleję, karetka zabiera mnie do szpitala. Spędzam tam jedną noc.

— Zawsze byłaś taka chuda?— pyta lekarz. Mówię, że zawsze, więc stwierdza, że trzeba więcej jeść. I to wszystko. Jestem tylko kolejnym przypadkiem. Dali mi kroplówkę, wypisali tydzień zwolnienia i... z głowy.

W domu poruszenie, matka i babcia podsuwają mi najlepsze kąski, pijam soczki mojej siostry, leżę i palę, bo do jaskini lwa rzadko kto wchodzi. Jesteś tylko ty, Marilyn, i moja samotność! Jesteśmy połączone za sprawą ciała — niech będzie przeklęte! Planuję schudnąć jeszcze 10 kilogramów, może wtedy naprawdę

umrę. Zresztą podoba mi się moja chudość. Nie wyglądam kwitnąco, ale interesująco. Teraz na pewno by mnie przyjęli do szkoły modelek. Niestety, szkoły już nie ma. Karolina odnosi więc sukcesy na imprezach i ciągle zarywa nowych facetów. Mówi, że dla niej ważna jest tylko ilość. Nie krępujemy się już. Jest dużo alkoholu i luz. Wszyscy, którzy chcą, mogą się pieprzyć do woli. Tylko co jakiś czas dzwoniemy do starych, żeby uspić ich czujność. Jeśli ktoś jest pijany i nie może mówić, trzeźwiejszy telefonuje za niego i uspokaja:

— Pani córka wyszła na chwilę się przejść, ale wszystko jest świetnie. Bawimy się wspaniale, niebawem wracamy do domu, proszę spać spokojnie.

Niektórzy starzy nie dają się nabrać na ten kit i przyjeżdżają. Moja matka nigdy. Nie ma samochodu, a ojczym jej nie podwiezie, bo ma w nosie, co się ze mną dzieje. Dla niego jestem śmieciem, kimś, kto stwarza wyłącznie problemy. I ma rację — robię to z premedytacją. Nie dam im spokoju, nie pozwolę, żeby byli szczęśliwi. Zrobię wszystko, żeby to zepsuć. Życie to walka, więc walczę. Jestem demonem zła!

S.O.S.

Nie biegam, nie ćwiczę, znam lepszy sposób. Mała dzialeczka amfy i po kłopocie. Nie chce mi się jeść ani spać. Szkoła jest dosyć luzacka, a jakby co, najwyżej będę zimować. Nawet gdybym musiała pójść do zawodówki, mam to w nosie. Nie chodzę z żadnym chłopakiem. Po prostu jesteśmy grupą.

Urywamy się ze szkoły jak tylko można najszybciej i idziemy w miasto. „U Dziada” można siedzieć cały dzień i nigdy nie jest nudno. Gadamy, palimy, walimy piwo. Chłopcy idą po „wzmacniacze” na rynek. Wiadomo, że koło słupka z napisem nomen omen „telefoniczny policjant” zawsze stoi Grzegorz albo Krzych i ma świeży towar. Gdyby nam tego kiedyś zabrakło...

— Nie, nie zabraknie! — wykrzykujemy zgodnie.

Dziewczyny z klasy też tu przychodzą, ale najczęściej, żeby napić się piwa. Nie biorą, debilki. Mamusi się boją i pani wychowawczynie. Ja mam ich wszystkich w nosie.

Nie potrzebuję domu, w którym w szczęśliwą rodzinę bawi się moja matka z ojczymem i tym ich bachorem. Ojciec mnie nie zaprasza, odkąd powiedziałam, że prawa rodzicielskie może egzekwować wyłącznie wobec pasa małżonki. Ja go skreślam! Alimenty przychodzą pocztą i mam święty spokój.

Odkąd zaczęłam wyjadać z lodówki tatusia i zostałam nakryta, zrobiło się nieprzyjemnie. Powiedziałam, że to z nerwów, bo mam wrzody i muszę jeść co dwie godziny, ale i tak mi nie uwierzyli.

Nie umiem panować nad głodem. Potrafię nie tknąć niczego przez cały dzień, a w nocy opróżniam całą lodówkę, zmiatom jedzenie jak odkurzacz. Miód, keczup, wędlina, ser, dżem. Kiedy już mój żołądek staje się wielki jak torba listonosza po wyptacie, pędzę do klozetu i odpadam nad muszlą. Wyrzucam z siebie wszystko. I już jest dobrze.

Matka szaleje, znowu prowadzi mnie po lekarzach. Dzisiaj idziemy na gastroskopię. Pan doktor jest miły, bo uprzedzony o moim charakterku. Wpychają mi do gardła sondę. Dławię się i wymiotuję. Przy okazji doktorek sprawdza, czy nie mam nakłuć na rękach. Nie jestem taką idiotką, poza tym cholernie boję się zastrzyków. Na szczęście wymyślono inne sposoby, żeby poprawić sobie nastrój... Wrzodów nie mam, ale wyniki wychodzą kiepskie, podobno śluzówka jest mocno wyniszczona ciągłymi wymiotami.

Teraz moja uparta matka nalega jeszcze na badanie gęstości

kości. Pan doktor, już nie taki miły, po badaniach zaczyna na mnie wrzeszczeć:

— Jeszcze trochę poeksperymentujesz ze swoim zdrowiem, jeszcze rok albo dwa takiej anoreksji i się po prostu połamiesz! Ciągnie mnie do planszy, pokazuje, że mój kościec już przypomina kościec siedemdziesięcioletniej staruszki.

— Dlaczego nie szanujesz swojego życia, dlaczego tak go nienawidzisz? Jeśli jest złe, to staraj się je zmienić. Niszcząc siebie, niszczysz wszystko dookoła, a niczego nie budujesz!

Mówi, żebym przyszła do niego na dyżur do hospicjum. Właśnie umiera jedna anorektyczka.

— Pięć lat katowania, a teraz kompletny rozkład. Przyjdź, zobacz, co sobie fundujesz — zaprasza. — Dla niej nie ma już szansy. Nie igraj ze śmiercią, bo to niebezpieczna zabawa. Masz matkę, która o ciebie walczy, która cię kocha. Jesteś dla niej ważna. Takie przypadki jak twój leczy się w szpitalu psychiatrycznym. To żaden wstyd. Nie wyjdiesz z tego, jeśli sama nie dasz sobie szansy — mówi.

Trochę mnie jednak ruszyło to kazanie. Matka płacze. Ja też mam dola. Nie wiedziałam, że tak daleko to już zaszło. Oglądam swoje kości, które niebawem mają się połamać. Cholera, z garbem iść przez życie to mało ciekawe.

Mówię, że muszę ochłonać, że wrócę do domu sama. Matka daje mi 10 złotych na kawę, które natychmiast zamieniam na działkę. Właściwie to się cieszę, przecież nie chcę żyć.

To znaczy chcę, ale moja idealna waga to 42 kilogramy. Wtedy dopiero będę zadowolona, ciągle mam o cztery więcej. Nie miesiączkuję już od kilku miesięcy. Matka o tym nie wie. Kupuję podpaski i wyrzucam czyste. Mam prawie łysą czaszkę, więc nie widać jak wypadają mi włosy.

Najgorsze, że jestem cała obolała, rano nie mogę wstać. Jeśli nie znieczulę się w inny sposób, nie potrafię się obejść bez opakowania apapu. Cierpię na chroniczne zapalenie spojówek. To efekt działania narkotyków. Światło razi mnie i oślepia. Noszę więc ciemne okulary, w kieszeni zawsze mam mibalin, takie krople do oczu. Matce mówię, że to przez chlor w basenie. Wierzy mi, naiwna idiotka, chociaż już od dawna nie chodzę na żaden basen. Nie chce mi się. Rano trzęsie mnie z zimna, oblewam się potem.

Tatuś nie dzwoni. Obraził się. Tak najłatwiej. Ja też jestem obrażona, a nawet cholernie wściekła na niego, na matkę, na to, że nie mam szmalu. A potrzebuję go coraz więcej, bo jestem

głodna. Oczywiście nie chodzi o jedzenie.

Mam zwariowane pomysły. Na przykład łysą głowę ozdabiam rysunkami, wypisuję sobie na niej S.O.S. I tak wchodzę do klasy. Dyrektorka, widząc mnie, mało nie pada trupem. Wieczorem oczywiście telefonuje do mamusi i zaprasza ją na rozmowę. Mam coraz mniej szans, żeby zaliczyć semestr. Nauczyciele idą na kompromis, bo wiedzą, że nie jestem głupia, ale sama sobie zamykam drogę. Tak uważa dyra. Nie przychodzę, uciekam z lekcji.

W szkolnym kłopotie giełda. Można kupić, co się chce. Nawet woźny jest w spole, odpalamy mu trochę za nadzór. Takich jak ja — na głodzie — jest więcej. Czasami się wspieramy, ale tak naprawdę nie ma kumpli. Masz kasę, masz towar.

W domu jestem nie do wytrzymania. Co chwilę ataki wściekłości, na zmianę płaczę albo się śmieję. Już nie potrafię panować nad sobą. Któregoś dnia zjadam surowe kluski, zanim matka zdążyła włożyć je do garnka. I natychmiast wymiotuję w kuchni na podłogę. Matka płacze i stwierdza, że tak dłużej nie może być.

— Musisz się leczyć, trzeba wreszcie podjąć tę decyzję. Przecież do psychiatrii chodzą nie tylko upośledzeni umysłowo, ale również z innymi problemami, nerwicami — tłumaczy mi.

Ale ja nie chcę niczego słuchać, tupię i wrzeszczę:

— Idź sama, to tobie jest potrzebny psychiatra, a nie mnie!

W końcu krakowskim targiem zgadzam się na psychologa. Zawsze będzie okazja, żeby się urwać ze szkoły. Na pierwsze spotkanie idę z matką. Trochę się „wzmacniam”, bo nie znoszę opowiadać komuś o swoich problemach, nienawidzę tego psychologicznego wywracania flaków. Dlaczego to robię, co mi w życiu przeszkadza i tak dalej.

Wszystko, wszystko mi przeszkadza, cały świat mnie uwiera i gniecie. Szkoła, dom i ten wieczny syf — ucz się, wracaj do domu, bądź grzeczną dziewczynką, sprzątaj, słuchaj, milcz. Matka od razu na dzień dobry zaczyna beczeć. Jak ja nienawidzę tej jej słabości, nie znoszę tego mówienia: „Kocham cię córeczko mimo wszystko”. Niech powie wprost: „Nienawidzę cię, nie mogę już z tobą wytrzymać. Zawiodłam się.” A nie tylko ta rozpacz, że jestem chuda, że ginę. Ginę, bo tak chcę, tak postanowiłam.

Pani psycholog uspokaja matkę, ja staram się nie dać jej się podejść. Niech nie myśli, że będzie tak łatwo. Właściwie jest nawet sympatyczna. Przygląda mi się z pewnym zainteresowa-

niem, jak plotę o trudnej sytuacji w domu, o tym, że nikt mnie nie rozumie. Słucha, a w końcu mówi:

— Widzę, że dobrze opanowałaś ten bajer. Ale mnie nie oszukasz. Za długo mam kontakt z takimi jak ty.

Umawiamy się na kolejną wizytę, już bez matki. Wprost zadaje mi to najważniejsze pytanie: dlaczego nie chcę żyć? Sama nie wiem, dlaczego tak mnie to wzruszyło. Może chciałam wyłać cały swój żal? Bo nie potrafiłam opanować łez. Żeby się nie dać, zaczęłam w końcu krzyczeć, a ona na to, że w jej gabinecie nie podnosi się głosu, takie są zasady, ale skoro mi z tym lepiej, skoro się przyzwyczaiłam, że wszystko można załatwić agresją i krzykiem, proszę bardzo — jej to nie przeszkadza. Robi mi się głupio.

(BRAK)

ceniu przez kolegów, o tym, jak próbuję się integrować, jak cierpię z powodu samotności. Pani psycholog się zapala, wierzy, że coś do mnie dociera.

— Dziękuję ci za udane spotkanie — mówi. — Widzę, że znów mamy kontakt.

Moja koleżanka Karolina zwykła komentować takie brednie stwierdzeniem: trutu tutu, pęczek drutu!

Do tej samej psycholog chodzi też moja matka, co od razu skreśliła całą terapię. Nie wierzę, żeby nie gadały o mnie, bo w końcu po co przychodzi? Porozmawiać o swoim genialnym mężu albo o dzieciątku, które jest słodkie jak malinowy budyń?

Już sobie wyobrażam jak beczy i wyciera swoje rozmazane oczy w chusteczkę. Nienawidzę tego załamującego się głosu, biadolenia, pytań: „Dlaczego mi to robisz, za co mnie karzesz? Przecież jestem z tobą i cię kocham”. Niechby raz powiedziała, co myśli naprawdę: „Nienawidzę cię, suko, wynoś się z mojego życia, kto ci dał prawo, by mnie niszczyć?” Ale ona tak nie powie. Będzie łąkać, prosić o litość, mówić, że każdy człowiek ma swój krzyż. Nie wyrzuci mnie z domu ze strachu, co powiedzą sąsiedzi i nauczyciele. Jest przecież oddaną i odpowiedzialną matką.

Dziwny sposób czerpania satysfakcji z miłości macierzyńskiej — na pewno nie byłoby mnie na to stać. Dlatego z kilku powodów nigdy nie będę miała dzieci. Po pierwsze, mogą być takie jak ja, po drugie, nie byłabym w stanie ich kochać tak bezgranicznie durną i ślepą miłością. Dziecko to powielanie naszych wad w mniejszym formacie, to ograniczenie własnej wolności, a ja nienawidzę, kiedy mi się cokolwiek ogranicza. Jestem taka, jaka chcę być, panuję nad swoim ciałem, nie pozwolę mu przy-

tyć nawet deka, przeciwnie, jeszcze się odchudzę! Nikt i nic nie jest w stanie mnie przed tym powstrzymać.

Moja rodzicielka bardzo się przejęła programem ratowania, który proponuje pani psycholog. Prowadzi specjalny zeszyt — rodzaj dziennika. Ma w nim opisywać, co się zdarzyło każdego dnia w kontaktach ze mną, notować swoje dobre i złe emocje. A ponieważ jest beznadziejna jak beznadziejne jest wszystko, co robi, nie potrafi nawet dobrze schować przede mną tych notatek. Zresztą i tak bym je znalazła, nawet gdyby trzeba było zdejmować w tym celu kawałek parkietu.

Podkradam więc i czytam te jej smętne brednie:

Poniedziałek

Nie umiałam się opanować, kiedy krzyczała, że jak nie dam jej pieniędzy, to ukradnie w sklepie papierosy i piwo. Nie potrafiłam odmówić i w końcu uległam. Zawsze ulegasz, idiotko — to już mój komentarz. Oczywiście nie mogę go dopisać, chociaż świerzbi mnie ręka.

Wtorek

Od rana córka była bardzo agresywna, obawiam się, że mógł to być nawet efekt używania środków odurzających. Oczywiście nie napiszesz słowa „narkotyki”, boisz się, a ja właśnie dałam sobie kopa, bo cholernie bolały mnie kości.

Środa

Miałyśmy nie rozmawiać o jedzeniu, ale znowu nie wytrzymałam, kiedy córka jadła obiad nie przy stole, tylko na fotelu, rozlewając i krusząc. Od razu wpadła w szał, rzuciła talerz na podłogę i kazała mi posprzątać. Wywiązała się głośna sprzeczka. Nie wiesz, głupia, jak ja nienawidzę siedzieć przy stole, gdzie celebrowacie te swoje świąteczne obiady, które mają integrować rodzinę. To nie mój stół, nie moja rodzina, to twoje nowe szczęście, ale beze mnie!

Czwartek

Nie jestem już pewna swoich uczuć do mojego dziecka, nie mam sił na te ciągle zmagania, czuję się bardzo samotna w swojej walce, widzę, że ciągle przegrywam, a tak bardzo pragnę, aby ten koszmar się skończył. Jak nie chciałaś mieć problemów, trzeba się było wyskrobać, ale ty nie, nawet tego nie potrafiłaś, więc się teraz męcz!

Piątek

Dzisiaj córka natychmiast podarła przekaz, który zostawił listonosz. Dobrze, że udało mi się chociaż uratować pieniądze. Ma żal do ojca, chyba za nim tęskni. Nie chce zrozumieć, że nie byłam w stanie zapobiec rozpadowi naszego małżeństwa. Może kiedy będzie starsza i sama założy rodzinę, będzie myślała inaczej. Podarłam przekaz, bo byłam wściekła. Kochany tatuś jak zwykle nie dopisał swoją rączką niczego poza kwotą, do tego śmiesz-

nie mała, a przecież w tym tygodniu były moje imieniny. Więc jak miałam się nie wkurzyć, droga mammo! Trzeba było wiedzieć, z kim się chodzi do łóżka i nie ryzykować powoływania z nim na świat dzieci. A teraz masz, czego chciałeś, Grzegorz Dyndało!

Sobota

Martwią mnie złe relacje z moim obecnym mężem, nie chce mnie wspierać w tej walce, uważa, że to wszystko moja wina, bo nie umiałam w odpowiednim czasie pokierować jej wychowaniem, a zamiast modelu partnerskiego powinnam stosować wojskowy dryl. Niech go stosuje wobec swojego cudownego dzieciątka. Nie trzeba było wychodzić za kaprała, mamusiu, a teraz to już twoja broszka!

Niedziela

Nie wróciła do domu na noc, do rana nie zmrużyłam oka. Tak bardzo się bałam. Już chciałam dzwonić na policję, ale mąż powiedział, że na długo nie poszła, wróci i dalej będzie mnie gnębić. Zupełnie nie akceptuje córki i czasami go rozumiem, skoro ja również tego nie potrafię. Też nie spałam całą noc — impreza była jak 150, w końcu trzeba się było rozejść, bo wrócili starzy mojego kumpla, a tam demolka na całego. Twój mężuś ma rację, mammo — nigdzie nie pójdę, tu mi dobrze, kocham opróżniać twoją lodówkę i zostawiać jej zawartość w klozecie. Śmieję się, kiedy mówisz: „O, widzę, że zaczęłaś się lepiej odżywiać.” Kupujesz każdą bzdurę, a już powinnaś wiedzieć, że ze mną nie wygrasz. Jestem silna, a ty beznadziejnie słaba. Los przeznaczył cię na ofiarny stos — ładnie się zrymowało, prawda? I jak celnie!

Pani psycholog też zaproponowała mi prowadzenie podobnego zeszytu. Olałam to natychmiast. Powiedziałam, że nie lubię pisać, a skoro i tak się spotykamy co jakiś czas, lepiej będzie jak jej wszystko opowiem. Wiedziała, że ze mną nie wygra, więc odpu-

ściła. Czasami mnie korci, żeby pokazać jej pamiętnik. Wtedy dopiero miałyby co czytać i zobaczyłyby, jaka jestem zakręcona, a potem wypadałoby już tylko oddać ten swój dyplom psychologa i bezradnie rozłożyć rączki. Ale w ten sposób wiedziałyby o mnie zbyt wiele, może nawet sięgnęłyby do tajemnic mojej duszy? Na to nie pozwolę nikomu. Muszę się bronić, bo inaczej podzielę twój los, Marilyn. Chociaż tak naprawdę skrycie o tym marzę,

że kiedyś cię spotkam, na tym podobno lepszym ze światów. Gdy już nie mam siły żyć, patrzę na plakat z twoją podobizną i mówię: „Już niedługo, Marilyn!” Dla nas obu napisałam ten aforyzm:

Nie chwytaj w dłonie złotego promienia

I tak poparzysz palce!

Żagloterapia

Jakoś przepchnęli mnie do następnej klasy, przez trzy tygodnie zakulałam i wystarczyło. Widocznie szkoła też chce jak najszybciej pozbyć się problemów, jakie im stwarzam, skreślić i zapomnieć. No, trudno, nie podpisywałam z nią paktu, że ozdobię swoim zdjęciem tablicę orłów i trafię do pamiątkowej księgi. Gdyby mi się trochę bardziej chciało, opadłaby co niektórym szczęka. Tylko że nie chce mi się i już. Skoncentrowałam się na walce z ciałem, ono jest mi najbliższe, najbardziej mnie dotyczy, mogę eksperymentować do woli. Nie wierzę w te brednie matysi i doktorów, że mogę umrzeć. A obozy koncentracyjne? Ludzie nie jedli tam tyle lat i przeżyli. Nie ze mną takie gadki, niech straszą innych, ja się nie boję!

Ciągle bołą mnie zęby, to podobno od kwasów żołądkowych, bo podczas wymiotów pęka szkliwo, a dziury robią się z braku wapnia. Trudno, jak nie wytrzymam, wyrwę je wszystkie i wstawię sobie implanty, teraz jest tyle możliwości, że nie będę sobie zawracać głowy bolącym zębem. Podkradam matce silne środki na migrenę i noc jakoś mija, pomaga też większa działka, wtedy nie czuję żadnego bólu. Ale następnego dnia jestem jak bokserski worek po zawodach.

Ktoś poradził mojej matce, by w ramach tera 'ii wy .ta mnie na obóz żeglarski. Podobno spartańskie warunki, praca przy sprzęcie, udział w zajęciach przygotowujących do zdobycia żeglarskiego patentu mają podziałać lepiej niż psychoterapia. Naówność nie zna granic, ale niech im będzie. I tak nie mam lepszego pomysłu na wakacje. Ludzie z mojej paczki wyjeżdżają popracować do Szwecji, żeby mieć forszę na towar. Karolinę starzy zabierają, jak co roku, do Hiszpanii; znowu będzie szpanować ciuchami i opalenizną. A ja będę niszczyć sobie ręce, zeskrobując starą farbę z łódek — oto los dobosza, jak mawiał pewien dobosz.

Dla świętej zgody wsiadam do pociągu, który zawiezie mnie do Szczecina, a potem tylko krótka podróż autobusem. Uszczęśliwiona matka i jej równie zadowolony mąż odwożą mnie na dworzec. Oni zafundowali wakacje mnie, a ja im. Nareszcie będą mogli cieszyć się swoim nowym stadłem bez mojej obecności. Matka jak zwykle udziela mi tysiąca rad, chociaż nie wykazują nimi żadnego zainteresowania. Najważniejsze, że dała mi nawet więcej kasy, niż myślałam. Udaję więc kochaną córeczkę, mó-

wię, że będę tęskniła, macham na pożegnanie, a oni, trzymając się za ręce, posyłają mi całusy. Na szczęście pociąg dość szybko rusza z peronu i ten teatr trwa krótko.

Mam kilka godzin na rozmyślania o tym, jak zaplanować sobie te wakacje, by nie dać się programowi resocjalizacji, jaki wymyśliła moja mamusia. Poza tym, jeszcze się taki nie narodził, który zmusiłby mnie do wysiłku, jeżeli tego nie chcę. Lubię żagle, ale na pewno nie będę wkuwać jakiś głupot, żeby dostać dyplom sternika. Nie zrobię przyjemności tatusiowi, choć chyba by go to trochę ruszyło i zarobiłabym parę punktów. Nie zależy mi na dyplomie ani na tatusiu, zakładam kompletne leżenie bykiem. Najwyżej mnie wyrzucą z tego obozu.

Podróż mija dosyć szybko, zwłaszcza że w Warsie jest zimne piwo. Po trzech świat staje się mniej upiorny, wagon mniej brudny, a stara babcia, która chrapie, nawet wzbudza litość. Przypomina trochę moją babcie. Wiem, że ona, jak matka, gotowa była by walczyć o mnie z całym światem, tylko ja tego zwyczajnie nie chcę. Świat, w którym żyję, w zupełności mnie zadowala. Choć nie będę ukrywać, że pierogi z jagodami babcia robi najlepsze na świecie i nawet trochę mi żal, że lądują w klozecie. Tak naprawdę nie prowadzę z nimi wojny, bo byłoby to trochę śmieszne — walczyć z pierogami.

W końcu podróż dobiega końca. Rzeczywiście warunki w obozie są tu spartańskie, bo baraki nie porażają komfortem, ale najważniejsze, że mogłam zająć kojo, czyli wyrko na pięterku. Stamtąd nikt mnie nie wygarnie, choćby trąba na pobudkę grała mi nad samym uchem.

Pode mną leży Julita, też zakrecona. Nie ma wprawdzie ogolonej głowy, ale wystrzyżone nad uchem włosy, zaplecione w mały warkoczyk. Kopci jak wielki komin, więc od razu kombinujemy puszkę po piwie, żeby zmieściła wszystkie pety. Towarzystwo dzieli się na tak zwanych fanatyków i olewaczy. Ja i Julita należymy do tych drugich. Najpierw spokojnie wysłuchujemy różnych bzdur o obowiązkach uczestnika obozu, a potem stwierdzamy zgodnie, że nie ma takiego regulaminu, którego nie dałoby się obejść.

Na pierwsze zajęcia przynosimy nawet zeszyt, ale facet tak truże, że po kwadransie przestajemy notować. Łódki są stare, niektóre przeciekają, więc trudno porównywać je z mijającymi nas jachtami. Ich właściciele z politowaniem patrzą na nasze skorupy. Lubimy pokazywać jężory, szczególnie wymalowanym pańciom w okularkach model Paloma Picasso. Oczywiście nasz program edukacyjny sprowadza się do spacerków łodzią po zato-

ce. Okazało się, że po trzech dniach na wykłady chodzi już tylko garstka zapaleńców, nas nikt nie goni, można więc nic nie robić, jeśli odwali się dwie godziny przy szpachlowaniu łódek. Jesteśmy tanią siłą roboczą, która jeszcze płaci za to, że tyra. Niezły układ! W nagrodę można się trochę przewietrzyć. Najlepiej lubię żagle wieczorem, kiedy zachodzi słońce, a na plażach nie ma już rozwrzeszczanych dzieciaków.

Potem leżymy na pomoście z Julita i chłopakami. Niestety, w obozowym kiosku nie ma piwa, więc ekipa codziennie wyjeżdża do Szczecina, czasami przywożą coś do palenia i nie są to tylko papierosy. Dwa razy urywamy się na dyskotekę i wracamy rano, ale kadra śpi i dokładnie im lata, co się z nami dzieje. Nie czujemy się z tego powodu źle, wręcz przeciwnie — rozumiemy, że i oni mają prawo do wakacji. Niektórzy przywieźli dzieciaki, jest jak na rodzinnych wczasach.

Żarcie dość podłe, więc nie cierpię katuszy, że prawie niczego nie jem. Zresztą chyba coś nie tak z moim żołądkiem, bo wymiotuję nawet po zupie mlecznej. Julita parę razy nakryła mnie w kiblu, kiedy puszczałam swobodne pawie.

— A ty co, w ciąży jesteś? — zainteresowała się, słysząc odgłosy z klopa.

Oczywiście zełgałam, że coś mi zaszkodziło, nawet — żeby nie podpadło — odmówiłam porannego piwka, bo trochę się bałam, że mój wynicowany żołądek odda je już w momencie konsumpcji. Najbardziej mnie ucieszyło, że chyba znowu schudłam. Wprawdzie nie ma tu wagi, ale i bez niej widzę efekty. Tylko ciągle mi zimno, chociaż jest upał, dlatego chodzę w podkoszulku z długim rękawem.

Mówię wszystkim, że jestem uczulona na słońce. Kąpię się w morzu też tylko w nocy, nie chcę, by komentowano moją szczupłość, która nie wszystkim się podoba. I nie musi. Najważniejsze, że ja jestem zadowolona ze swojego wyglądu, w końcu to moje ciało. Jest przynależne do mnie i mogę z nim zrobić, co chcę.

Mamuśka dzwoni co trzy dni. Oczywiście wykorzystuję okazję, żeby wyżebrać trochę kasy. Mówię, że jedzenie marne, a owoców nie dają wcale, więc kochana rodzicielka wysyła przekazem godną sumkę. Następnym razem nie idzie mi już tak łatwo. Nie doceniłam jej. Zadzwoniła do kierownika obozu i dowiedziała się o moim olewactwie. Wyklepał, że nie biorę udziału w zajęciach, nie chcę się włączać w prace przy gotowaniu i sprzątaniu. No i, niestety, szlaban na kasę. Najgorsze, że inni też

cienko przęda i nawet piwko odpłynęło w siną dal. Na szczęście już za kilka dni koniec zabawy w resocjalizację. Zmywam się wcześniej, nikt mnie nie żegna, tylko Julita wie o mojej decyzji. Skoczyłabym gdzieś się rozerwać, ale w portfelu wyłącznie podszewka. Wracam na gapę, mamuśka i tak zapłaci. Zresztą nie pierwszy raz!

W domu nikt mnie nie witał z radością, chociaż nałgałam, że wróciłam wcześniej, bo była okazja, zabrałam się z kolegą, po którego przyjechał samochodem ojciec. Zresztą bardzo się stęskniłam i na dowód zaproponowałam nawet, że pójdę z siostrą na spacer. Matka zrobiła się czerwona jak burak i zaczęła wrzeszczeć, że ma już dosyć moich kłamstw. Dzwonił do niej kierownik obozu i doniósł, że samowolnie się oddaliłam, nikogo nie informując. Chciał wiedzieć, czy dotarłam bezpiecznie do domu. Nie mógł mi zrobić większej „przysługi.”

Po tygodniu przyszło też zawiadomienie, że trzeba zapłacić karę za moją podróż na gapę. Odebrał je ojczym i już wiadomo, jaki był ciąg dalszy. Nici z obiecanych martensów, trudno, będę chodzić w listopadzie w tenisówkach. Ze złości zwymiotowałam dwa razy i wcale się z tym nie kryłam. Zwykle staram się robić to bezgłośnie, ale tym razem zależało mi, żeby wiedzieli. Matka znowu rozpoczęła swoje lamente, że jak tak dalej pójdzie, to w końcu umrę w klozecie.

Wyczytuje wszystko o anoreksji, przynosi z apteki jakieś papki, do picia, które mają oklejać mój chory żołądek, babcia parzy mi siemię lniane. Znowu jest jak w domu wariatów. Gdy tylko mogę, zmywam się, żeby nie dać im szansy na eksperymenty. Niech sami piją siemię, na pewno nie zaszkodzi. Staram się jednak wracać przed dziesiątą, chociaż jest przecież lato i o tej porze nikt normalny nie siedzi w domu.

Montujemy grupę

Trochę już odpokutowałam za swoje grzechy, matka zajęta pracą, bo u niej w firmie sezon urlopowy, ojczym zabrał dzieciątko do swojej rodziny, więc nikt nie ma czasu mnie pilnować. Na straży została tylko babcia, ale jej ściemniać najłatwiej. Kupuje wszystko! Z wakacji, które formalnie kończą się dopiero za dwa tygodnie, wrócił Łysy i Darek. Wieczorami siedzimy w knajpie, która nazywa się „Pod Kasztanami”, ale powinna raczej zmienić nazwę na „Upiorny Zakątek”, zwłaszcza że kasztan ostał się zaledwie jeden, wokoło walają się puszki po piwie i trudno znaleźć wolny stolik, bo okupują je menele. Nam to specjalnie nie przeszkadza, czasem zdarzy się, że jeden czy drugi dołoży się do piwa. Jeśli tylko za bardzo nie chcą się z nami zaprzyjaźnić, obleci.

Przysiadają się różne panienki, które nie rozumieją dowcipów o blondynkach, za to są chętne do zabaw męsko-damskich. Ja dla Darka i Łysego jestem kumpelka, więc mam spokój, zresztą chyba nie jestem w ich typie. Wyznają zasadę, że powinna być jak najmłodsza i jak najgłupsza, a do tego chętna. Ale wśród tak zwanych grzechotek chętnych nie brakuje, nawet się nieco dziwię. Wiele z nich chodzi bez majtek, żeby nie było problemu, kiedy trzeba to zrobić szybko, choćby na krzesełku „Pod Kasztanami”. Poza tym Łysy ma u panienek branie, bo rozprawia prochy. Przed dyskoteką to towar pierwszej potrzeby. Czasami mu w tym pomagam, bo jego już kilka razy trzepała policja, a ja się jakoś uchowałam. Płaci mi w towarze, więc paliwa mam pod dostatkiem.

Matka dostaje premię i nieopatrznie się do tego przyznaje. Przez dwa dni zgrywam się na dobrą córeczkę, dźwigam z targu zakupy, pastuję podłogi, nawet zdecydowałam się umyć okno w swoim pokoju. Trochę przejaśniało, chociaż nie lubię światła. Razi mnie w oczy, a moje spojówki źle to znoszą. Właściwie ciągle mam czerwone oczy. Latem nie podpada, na okrągło chodzę w okularach przeciwsłonecznych.

Wieczorem zostaję w domu. Zjadam kolację jak Pan Bóg przykazał i nawet mi smakuje, może dlatego, że przy stole siedzę tylko z matką. Patrzą na nią i widzę, jak bardzo się postarzała przez ten rok. Ma już tak dużo siwych włosów. Ręce jej się trzęsą, wiem, że ma do mnie żal, ale nie może zrozumieć, że nie potrafię jej kochać. Nie potrzebuję miłości, a tym bardziej litości. Kocham i przeklinam tylko swoje ciało. Jestem jak ty, Marilyn, jak zraniony ptak, któremu zamiast skrzydeł ktoś wyrwał

serce.

Rozmawiamy z matką, próbujemy nawet żartować, atmosfera robi się przyjazna, więc uderzam w błagalny ton: chodzi mi o kurtkę ze skóry, z zamkami, tak zwaną ramoneskę. To teraz cholernie modne, po prostu nie wypada chodzić w czym innym. Matka mięknie, więc umawiamy się na mieście przed południem i idziemy do sklepu. Kurtka jest droga, ale trudno — dzieci kosztują, stwierdzam filozoficznie. Oczywiście mojej wybrednej rodzicielce nie bardzo podoba się to, co chcę kupić, ale boi się awantury w sklepie i jak zwykle mam to, czego chciałam. Dla świętej zgody wypijamy nawet kawę w ulicznej kawiarence i udaje mi się skołować 20 złotych na zeszyty. Wiadomo, że nie kupię za to nawet 16-stronicowego kajetu, tylko pójdzie na przepał albo tak zwany przelew, czyli kuflowe z pianą. Do domu wracam po północy. Matka płacze.

Trzaskam drzwiami i zamykam się w swoim pokoju. Jestem tylko z tobą, Marilyn. Wyciągam spod szafy pamiętnik, zapalam skręta, otwieram szeroko okno. Patrę w niebo, sierpień to czas spadających gwiazd. Wydaje mi się, że na jednej z nich widzę ciebie.

Pamiętnik zapisuję żarliwym wyznaniem prawdy, po raz pierwszy ośmielam się napisać, że jestem anorektyczką, jak inni mówią o sobie: jestem narkomanem, alkoholikiem, złodziejem. Ja jestem ANOREKTYCZKA. Ale przecież świat musi pomieścić wszystkich: chudych i grubych, szczęśliwych i nieszczęśliwych złodziei i alkoholików. I takich jak my — którzy mamy chore dusze i chore ciała.

Już wszyscy wrócili z wakacji. Karolina jak zwykle zaczyna swoje popisy, ale Łysy ją gasi:

— Nam to, laluniu, gila, co tam w Hiszpanii, my jesteśmy patrioci, kochamy nasz kraj ojczysty. I jeżeli chcesz jeszcze minutkę spędzić przy tym stoliku, to radzę mniej się chwalić.

Karolina parska z oburzenia, zabiera swoją nową torebkę, wykręca piruet w półmetrowych klapkach i już jej nie ma. Za to od kilku dni siedzi z nami pod kasztanami Iga, chuda jak ja, więc ma ksywkę Igła.

Kiedyś dyra wezwała nas obie i rusza w te słowa:

— Moje panienki, czy wy się za bardzo nie odchudzacie?

Igła na to:

— Ależ skąd, pani dyrektor! Jestem taka szczupła po babci. Akurat mamusia na przykład się nie bardzo nadawała, bo wprawdzie jest wzrostu Igły, ale waży ze sto kilo. Ja nie podjęłam

tematu, spytałam tylko bezczelnie:

— A co, nie podobam się? A może teraz będą dawać stopnie za wagę?

Incydent z dyrektorką trochę nas zbliżył jeszcze w czasie roku szkolnego, ale dopiero teraz mamy czas lepiej się poznać. Po kilku dniach nie mam już żadnych oporów, żeby strzelać pawie w ulicznym kiblu, bo wiem, że w sąsiedniej kabinie ona robi to samo, co ja. Też mści się w ten sposób na swojej matce.

Igła była tłustym spuchlakiem do piątej klasy. Wołali na nią beka. Kochająca mamuśka ciągle wypiekała jakieś ciasteczka, robiła kremy i galaretki, a że sama nie mogła wszystkiego zjeść, wpychała w córeczkę. Igła jest jedynaczką i tak zwaną znajda, bo mówi, że nie wiadomo, z kim najdroższa mama znalazła się w pościeli w dniu jej poczęcia. Widocznie nie był to nikt ważny albo z innych powodów nie miał ochoty kontynuować znajomości z mamą Igły, więc pozostała dzieckiem tak zwanym panieńskim. Nigdy nie udało się jej dowiedzieć, kim jest szanowny tatuś, więc wyobrażała sobie, że to jakiś znany aktor albo superprzystojny biznesmen. Koleżankom mówiła, że był marynarzem i zginął na morzu, zanim się urodziła, więc nie mógł jej dać swojego nazwiska, albo że jest bardzo znanym politykiem i przyznanie się do nieślubnego dziecka zwichnęłoby mu karierę. Potem zaprzestała rozmów o tatusiu, bo postanowiła zająć się swoim zdeformowanym przez matczyną miłość ciałem.

Przeszła już różne etapy: dieta warzywna, bananowa, marchwiowa, głodówki. Rozmawiamy o tym jak siostra z siostrą, oglądamy swoje szczupłe ciała. Igła ubolewa, że zbyt mocno schudły jej uda, ale pociesza się, że nareszcie ma szczupłą twarz.

Oglądamy swoje zdjęcia sprzed kilku lat — zgroza!

Na znak wspólnoty postanawiamy zrobić sobie tatuaż. Ja wybieram skorpiona. Jest taki jak ja — nie za bardzo można się z nim spoufalić, bo nie wiadomo, kiedy wystawi żądło. Igła wybiera węża. Trochę mamy stracha, ale w końcu liczy się efekt. Udaję, że nic nie boli, chociaż to nie do końca prawda. Igła leż trzyma twarz.

Kumpel, który ma studio, zaproponował bardziej rozbudowane motywy, ale po pierwsze, nie mamy kasy, a po drugie, bez przesady z tą ekstrawagancją, uroda tkwi przecież w prostocie. Ja za resztę funduję sobie jeszcze kolczyk w nosie. Tatuaż można schować pod bluzką, z kolczykiem trudniej, więc awantura gotowa. W domu na dzień dobry słyszę, że teraz to już nikt nie będzie miał wątpliwości, do jakiej grupy przystałam, nauczyciele też na

pewno będą temu przeciwni, bo szkoła to nie cyrk.

— Nie chce mi się wdawać w dyskusję, ale gdybyś kochana mamó wiedziała, co się dzieje w szkole, jak kwitnie handel prochami, rośnie spożycie piwa i nie tylko, to opadłaby ci szczeka i nie miałabyś głowy, żeby czepiać się jakiegoś głupiego kolczyka — ucinam bezsensowną rozmowę.

Matka patrzy na mnie, jakbym była ufoludkiem. Nic nie rozumie, nie wierzy, nie chce przyjąć do wiadomości? Każda z tych wersji jest, moim zdaniem, prawdziwa.

Zresztą po kilku dniach sama wyjmuję moją ozdobę, bo mam chroniczny katar od używek, a w takiej sytuacji każde wycieranie nosa jest mało przyjemne, szczególnie kiedy uwiera w nim kawałek zatyczki od kolczyka. Moja głupia matka komentuje:

— Widzę, że przemyślałaś to, co ci mówiłam. Cieszę się.

Nie chce mi się z nią gadać, wzruszam tylko ramionami i kiwam głową nad jej bezdenną tępotą.

Tatuaż na moim ramieniu wypatrzył mąż mamusi i stwierdził, że mogę już iść do więzienia bez wyroku, bo tam jest miejsce dla takich wytatuowanych jak ja. Matka znowu płacze i pyta tym swoim

ślągalnym głosem, dlaczego jej to robię? Jak zwykle wyjeżdża z argumentem, że normalne dzieci naszych znajomych nie są wytatuowane, myślą o studiach, chcą zadbać o swoją przyszłość.

— A ty? Co ty zamierzasz zrobić ze swoim życiem?

Ponieważ nic mądrzejszego nie przychodzi mi do głowy, mówię, że zamierzam sprzedawać linki hamulcowe na stacjach benzynowych, bo podobno dobrze za to płacą. Matka ostentacyjnie pada na fotel i prosi, żeby jej dać krople na serce. Rzeczywiście robi się na zmianę biała i czerwona, ale niespecjalnie mnie to obchodzi — niech się na przyszłość zastanowi, zanim zacznie prowadzić takie głupie rozmowy.

Na szczęście przychodzi Igła, oglądamy kolorowe pisma, w których modelki prezentują stroje plażowe. Nie są grubsze od nas, to pocieszające. Igła chciałaby mieć wystające kości policzkowe, tak jak ja.

— Co ci się podoba w tej Marilyn? Zobacz, jakie to tłuste babsko — mówi o podobiznie na plakacie.

Mnie podoba się przecież nie ciało mierzone w centymetrach, ale ciało zranione męskim pożądaniem, nieszczęśliwe i przeklęte. Moja koleżanka nie rozumie, że jesteśmy jednością. Nie chce mi się tego wszystkiego tłumaczyć Igle.

Ćwiczymy przez dwie godziny, jesteśmy złane potem, ale

szczęśliwe. Jeszcze wieczorne wypróżnienie po ziółkach, które chomikuję w swojej szafce. Matka do niej nie zagląda, a szkoda. Znalazłaby tabletki przeczyszczające, lufki do palenia, łyżeczkę, lustreczko i cały podręczny sprzęt narkomana. Trudno, skoro tak jej wygodniej, niech wierzy, że ciągle jestem ukochanym cherubinkiem ze złotymi loczkami. Zresztą ma teraz swoją nową lalkę.

Żegnaj szkoło, witaj swobodo!

Rok szkolny jak zwykle zaczął się w sposób beznadziejny. Trzeba wstawać o jakiejś kretyńskiej godzinie typu siódma rano. Zanim umyję włosy i zrobię makijaż, bankowo spóźniam się na pierwszą lekcję. Czasami nawet na drugą, jak mi się nie chce wstać. Jestem coraz słabsza, wejście na czwarte piętro przypomina wysiłek człowieka zdobywającego Himalaje. Ale waga zbliża się do upragnionych 42 kilogramów, co przy moim słusznym wzroście daje wreszcie powody do satysfakcji. Nawet dżinsy rozmiar 36 są na mnie za duże.

Wymiotuję i obzeram się na zmianę, czynię spustoszenie w kuchni i w lodówce. Przypominam jamochłona, który pochłania wszystko, co napotka na swojej drodze: kompot, ogórki, makaron, ziemniaki. Już nie mam siły prowokować wymiotów palcami, więc korzystam z doświadczenia Igły, trzeba po prostu umiejętnie ucisnąć żołądek i pochylić się nad sedesem.

Odgłosy z klozetu dobijają matkę, ale nie zwracam na to uwagi. Jestem zajęta sobą, skupiona na walce, nie nadaję się do żadnych rozmów, nie pozwolę się sprowokować, chociaż matka przypomina mi, że powinnam pójść do pani psycholog. Oświadczam, że nigdzie się nie wybieram ani teraz, ani w najbliższym czasie. Nie będę więcej uczestniczyć w tym teatrze. Skoro mojej rodzicielce pani psycholog poprawia samopoczucie, niech do niej chodzi i umacnia się w postawie matki, która mimo wszystko trwa przy swoim dziecku. Skoro nie chce zrozumieć, że jestem przypadkiem beznadziejnym, niech realizuje wielkie wyzwanie. Jeśli tak, to życzę szczęścia.

Szkota mi lata, chodzę, kiedy chcę, wychodzę z lekcji, gdy muszę zapalić albo pójść na piwo. Część ludzi z naszej wakacyjnej grupy wróciła grzecznie do budy, ale jest przecież Darek i Łysy. Poznałam też Wilka. Odjazdowy gość, tatuaże ma niezwykle wymyślne — takie hobby. Szczególnie kręci to małolaty na dyskotekach. Wilk przychodzi ubrany w podkoszulek i szpanuje, a panny robią po nogach.

Wilk ma też przewagę nad innymi, bo starzy dali mu w prezencie chatę. Jest więc gdzie obracać towar, można wspomóc kolegów w potrzebie. Zresztą trwa tam nieustająca impreza. Ostatnio ktoś nasłał gliny, widząc że panienki z gołymi dupskami w oknach siedzą. Wilk tłumaczył logicznie, że jak komuś taki widok nieprzyjemny, niech się nie gapi. Ale podali go na kole-

gium i teraz trzeba trochę uważać. Gdy mam wszystkiego dosyć, często spadam do jaskini, jak nazywamy to miejsce.

Jestem tu prawie domownikiem, mam też obowiązek organizować żarcie. Podkradam z domu, co się da, a przydaje się, wiadomo, wszystko. Matce plotę, że wychodzę się uczyć do koleżanki, chociaż ostatnio prawie nie bywam w szkole. Urywam się też na sobotę i niedzielę, zakładając bajer o tym, że muszę pomóc Igle umyć okna po malowaniu. Jakoś mi się udaje, kilka razy dzwonię i bajeruję:

— Kochana mamusiu, wszystko w porządku, ale robota na pewno się przedłuży, będziemy kończyć następnego dnia. Właściwie nie wiem, po co to robię, po co udaję grzeczną córeczkę. Chyba z litości.

W soboty u Wilka jest mrowie ludzi, palą trawkę, panny wykonują numerki na życzenie. Niejedna mamusia zemdlałaby, widząc jak jej latorośl obsługuje kilku gości naraz, tylko brać kamerę i kręcić. Jest nawet jeden chętny, ale chłopców to denerwuje, a laski rozprasza, więc sprzęt ładuje za oknem. Ja niespecjalnie lubię te dni, nie można spokojnie pospać, tyle że jest co palić, bo nawet największy sknera u Wilka nie odmawia.

Kiedyś wracam po takiej nocy i mdleję w przedpokoju. Matka wpada w rozpacz, wzywa pogotowie. Pani doktor stwierdza, że to chyba zawał i muszę jechać do szpitala. Na miejscu okazuje się jednak, że EKG jest w normie, a omdlenie to wynik wyniszczenia organizmu. Matka szaleje, wydzwania po swoich znajomych, aż wreszcie zdobywa adres psychiatry, który podobno jest specjalistą od beznadziejnych przypadków, czyli takich jak mój. Umawiamy się na wizytę. Ja oczywiście nie chcę iść, ale widzę, że się nie obronię. Kochana mamusia zawiadomiła ojca, który pragnie się z nią zjednoczyć w wysiłkach, by ratować chorą córkę. Zdumiewa mnie to nagłe zainteresowanie i wkurza. Na długie miesiące zapomniał adresu i telefonu, a teraz chce działać jak strażak? Zgadza się więc i idziemy, bo mam nadzieję, że w ten sposób uda mi się odwlec wizytę tatusia. Pan doktor najpierw rozmawia z matką i ze mną. Ona oczywiście zaczyna od wypłakania swojego bólu, czym doprowadza mnie do szału. Zaczynam wrzeszczeć, że jak nie przestanie, natychmiast wychodzę. Doktor stara się jakoś panować nad sytuacją, wyprasza matkę z gabinetu, robi to grzecznie, ale stanowczo.

Siedzimy naprzeciw siebie w milczeniu. W końcu on pyta z troską:

— Ciężko ci?

Nie wiem dlaczego, ale oczy robią mi się mokre. Nie protestuję, kiedy gładzi mnie po głowie, tylko głośno wycieram nos w chusteczkę, jak przed chwilą moja matka. Doktor przypomina księdza z czasów, kiedy chodziłam jeszcze na lekcje religii. Mówi spokojnym głosem:

— Zapamiętaj, bo może to ważne, nie jesteś jedyna, która cierpi na tę chorobę. Zwykle dotyka ona osoby szczególnie wrażliwe, okaleczone przez los, nie jakieś prymitywne jednostki, ale młode dziewczyny, które są ambitne, niekiedy ponad miarę. Na początku każda z nich wierzy, że da sobie radę sama, że panuje nad sytuacją, kontroluje ją, potem okazuje się jednak, że są zbyt słabe. I tak jest teraz z tobą. Widzę, że masz dużą niedowagę, twój organizm jest już bardzo zmęczony, dawał ci zapewne wiele sygnałów, że tak jest, ale nie chciałaś go słuchać. A teraz sytuacja stała się bardzo groźna — nie lekceważ jej. Proponuję ci leczenie w szpitalu, bo tylko ono tak naprawdę może ci pomóc. Jednak lekarze nie zrobią niczego wbrew tobie, jeśli nie podejmiesz walki o powrót do zdrowia. Wtedy wszystko może się skończyć tragicznie.

Nie chcę mu wierzyć.

— Nie, nie pójdę do żadnego szpitala, nie dam się zamknąć w domu wariatów! — krzyczę. Po chwili jednak, właściwie nie wiem czemu, mówię, że jest mi wszystko jedno. Może wreszcie się wyśpię? Umawiamy się za tydzień, bo trzeba trochę poczekać na miejsce.

Po drodze wylewam złość na matkę, wrzeszczę, że to ją powinni leczyć, kopię każdy wystający na drodze kamień, palę papierosa za papierosem. Nie chcę się przyznać, ale cholernie się boję. W nocy śnią mi się koszmary — gdzieś mnie wloką, zapinają w kaftan, polewają strumieniami zimnej wody, dygoce. Budzę się przerażona. W pokoju rzeczywiście jest bardzo zimno, bo otworzyło się okno, a to już październik. Poduszka jest mokra od łez. Czemu się zgodziłam, co za idiotka ze mnie! O nie, nie dam się zamknąć w żadnym wariatkowie! Spadam do Wilka! Następnego dnia jak zwykle wychodzę do szkoły, tyle że pakuję dodatkowo plecak. Mam w nim kilka ciuchów na zmianę, papierosy, jakieś płatki i ryż. Oczywiście od razu jadę na moją kwaterę, nie będę przecież paradować po mieście z plecakiem. Żegnaj, szkoło!

Tylko strach

U Wilka spokój, podobno załapał gdzieś uczciwą robotę, przedstawia kartony w hurtowni. Ja mogę się wyspać do woli, tylko wieczorem coś tam gotuję: zupę z paczki, makaron z jakąś mielonką. Jesteśmy jak mąż i żona, trochę mnie to śmieszy. Wilkowi na szczęście nie w głowie żadne łózkowe sprawy. Ostatnio na kwaterze coraz mniej ludzi, za często interesuje się tym miejscem dzielnicowy.

Nie daję znaku życia, wyobrażam sobie, jak matka musi szaleć. Na pewno wydzwania na komisariat i po szpitalach. Nie da mi spokoju, to pewne!

I mam rację, po dwóch dniach zjawia się z moim ojcem u Wilka. Sypnęły mnie koleżanki w szkole, podały adres, podobno przymusiła je do tego dyrektorka. Wstrętne kablary, miękkie buły, wszystko z nich można wycisnąć.

Nie chcę otworzyć drzwi, ojciec grozi, że za chwilę wejdzie tu z policją. Wilk każe mi się wynosić, nie ma kasy na kolegium, próbuje się głupio przede mną tłumaczyć. Więc co mam robić? Przecież nie będę skakała przez okno. Też by mi Wilk nie pozwolił, bo nie chce mieć syfu. Powoli otwieram drzwi, z wściekłością wykopuję plecak na korytarz. Jeszcze wtedy tego nie wiem, ale nigdy już tu nie wrócę.

Matka beczy.

— Jak mogłaś nam to zrobić? Czy ty wiesz, co ja przeżywałam? Ojciec nic nie mówi, ale widzę, że jest wściekły i najchętniej by mnie pobił. Wlokę się, noga za nogą, matka oczywiście taszczy plecak.

W domu awantura na sto fajerek. Okazuje się, że miejsce w szpitalu, zresztą cudem załatwione, czeka na mnie już od dwóch dni. Krzyczę, że nigdzie nie pójdę, przecież chodzę do szkoły, ale matka i ojciec nie chcą słuchać moich wyjaśnień. Opuściłam prawie dwa miesiące nauki, skrupulatna dyrektorka wypisała na kartce wszystkie moje nieobecności. Wiem, że już się nie obronię, nie ma szans. Nie jestem pełnoletnia, mają nade mną władzę. Niech się więc stanie, co ma się stać, jestem zmęczona, nie mam siły z nimi walczyć. Skoro mam być wariatką, to trudno! Rano jestem w Z. Spodziewałam się, że już na korytarzu spotkam jakiegoś debila albo innego psychola z nożem w ręku, a tu nic, jak w normalnym szpitalu. Pielęgniarka mówi, że nie trzeba się przebierać w koszulę, można chodzić w dresie, nie odbie-

rają sznurowadeł, nie robią rewizji.

W czterech salach leżą dziewczyny, niektóre przypięte do kroplówek. Są jeszcze chudsze ode mnie, skóra i kości. Przypominają żywe trupy, nie wstają nawet do kibla. O cholera, jak mnie przypną na taki spinacz, chyba zwariuję. Nienawidzę głupiego pobierania krwi, a co dopiero leżenia z kroplówką. Widzę, że matka też jest przerażona, mówi, że zabierze mnie stąd tak szybko, jak to będzie możliwe. Mam chęć wrzasnąć: „To dlaczego mnie tu przywiozłaś!”, ale, nie wiem czemu, mówię jej:

— Nie łam się, dam sobie radę.

Wchodzę do kibla, żeby zrobić siusiu, a po chwili wpada za mną salowa, by sprawdzić, czy nie wymiotowałam — to taki miejscowy zwyczaj. I trzeba się do tego przyzwyczaić, że odtąd będę pod szczególną kontrolą. Tylko wieczorami, kiedy lekarze pójda do domu, a na dyżurze zostaną jedynie pielęgniarki, robi się normalnie. Będziemy im farbować włosy, pomagać w rozwiązywaniu krzyżówek, pisać wypracowania za ich głupie dzieci. A one nie będą nas gnębić pytaniami o stolec czy wymioty.

Najpierw rozmowa z panią doktor, ważenie, mierzenie, spotkanie z psycholożką, która będzie się mną opiekować. Matka też przechodzi przez magiel pytań: od kiedy zaczęły się moje problemy, czym są spowodowane i dlaczego tak późno się zgłaszam. Dobrze sobie — a po cholere miałabym przychodzić tu wcześniej i do tego jeszcze z własnej woli? Potem pytają mnie, czy się sobie podobam taka chuda, czy nie chcę przytyć. Oczywiście twierdzę, że podobam się sobie, to oczywiste, moja waga mnie satysfakcjonuje i nie rozumiem, dlaczego jestem źródłem takiego zainteresowania, skoro przyszłam tu na własnych nogach i nie trzeba mnie karmić żadną kroplówką.

Pani doktor stwierdza, że ciężko się ze mną dogadać, ale początki na ogół bywają trudne. Najgorsze, czego się dowiaduję, to że mój pobyt tutaj potrwa co najmniej sześć tygodni albo i dłużej, nie będę też mogła kontaktować się z koleżankami i z domem, jeżeli nie będę przybierać na wadze. No i trzeba się uczyć, bo podobno przychodzą jacyś nauczyciele. To może nawet i dobrze, bo inaczej zdechłabym z nudów.

Jestem załamana, myślę o imprezach u Wilka, o Karolinie, o Igle. Po co się zgodziłam? Trzeba było zwać gdzieś w Polskę, a nie kilka ulic dalej. Wiem jednak, że moja ukochana mama znalazłaby mnie nawet za oceanem.

Przydzielają mi łóżko z Beatą i Magdą. Beata jest luzaczka, czyli taka jaką lubię. Od razu mówi:

— Nie pękaj, da się wytrzymać, tylko trochę ogłupiają psychotropami.

Magda leży, nie odzywa się do nikogo, nie je, nie pije, nie wstaje. Teraz to podobno najcięższy przypadek na oddziale, nie ma z nią żadnego kontaktu. W nocy zastanawiam się, czy oddycha, czy może już umarła?

Dlaczego się tak zachowuje, nie wie nikt, nawet jej matka, która może wchodzić na oddział bez ograniczeń. Mieszka na wsi i gdy tylko nakarmi świnię, wydoi krowy i da kolację szóstce dzieciaków, przyjeżdża do Magdy. Siedzi przy łóżku, głaszcze ją po włosach, śpiewa, opowiada bajki, modli się. Pomagamy jej umyć Magdę, która zupełnie nie reaguje na naszą obecność. Matka robi to tak delikatnie, jakby miała do czynienia z niemowlakiem.

Patrzę na tę scenę i myślę sobie, że bardzo chciałabym być Magdą, żeby matka mnie myła, śpiewała, kołysała. Tylko moja młodsza siostra doczekała się długiego karmienia piersią, ja podobno gryzłam jak pirania, skręcałam się z powodu kolek i wyłam niczym potępieniec, a matka zamiast tulić, miała ochotę walnąć mną o łóżko. Trochę się nie dziwię, ale może właśnie dlatego jestem teraz jak jeź?

Na oddziale przeważnie dziewczyny, jakieś gówniary, które mają ze czternaście lat, ale są już imponująco odchudzone, i moje rówieśnice. Łapiemy się jeszcze na oddział dziecięco-młodzieżowy. Żegniam się z ukochaną rodzicielką i widzę jak walczy, by nie płakać, drgają jej kąciki ust, jeszcze chwila i nie wytrzyma. Ja, jak zwykle w takich sytuacjach, szpanuję, jednak najchętniej dałabym nogę.

Żeby mnie dobić, dają mi kartkę z tak zwanym planem gry; taką samą otrzymuje moja matka:

waga 46 kg możliwość uczestnictwa w zajęciach szkolnych

możliwość rozmów telefonicznych

możliwość oglądania TV, wideo

możliwość odwiedzin matki, ojca

spacer pod opieką personelu

możliwość odwiedzin osób z dalszej rodziny,

koleżanek, kolegów

możliwość wychodzenia poza obręb szpitala

pod opieką personelu

możliwość wychodzenia poza obręb szpitala

pod opieką matki lub ojca

możliwość uzyskania przepustki na weekend

wypis z oddziału w wypadku utrzymania tej
wagi przez dwa tygodnie

Jeżeli nastąpi spadek wagi, ustala się kolejny zakaz.

A więc zostanę w tym wariatkowie do końca życia, to pewne.

Oni chyba oszaleli! Przez kilka lat zbijam nadwagę, żeby teraz
się znowu utuczyć? O, nie, ten numer na pewno ze mną nie
przejdzie!

waga 47 kg

waga 47,5 kg

waga 48,5 kg

waga 49 kg

waga 50 kg

waga 51 kg

waga 52 kg

waga 54 kg

waga 56 kg

Nie poddam się

Każdy dzień zaczyna się muzykoterapią. To nie najgorszy pomysł, szkoda tylko, że nie można słuchać muzyki przez słuchawki leżąc w łóżku, tylko trzeba się ubierać, siadać w kucki na materacu albo na jakimś krześle. Zamykam oczy i zasypiam, nie chce mi się o niczym myśleć, ani o rzeczach przyjemnych, ani o złych. Jestem jak nakręcana lalka, tyka sprężynka — idę do przodu, przestaje — zatrzymuję się. Inne dziewczyny próbują się wygłupiać, ktoś powie coś idiotycznego, ale w sumie chyba wszyscy lubią to lenienie się w kącie sali. Z głośnika lecą dosyć przyjemne dźwięki, jakiś Beethoven albo inny klasyk. Mnie to akurat odpowiada. Niestety, delectowanie się muzyką poprzedza koszmar wagi. Trzeba na nią stawać każdego dnia, najmniejsze drgnienie wskazówki jest odnotowywane. Rekordzistki cieszą się i podskakują, bo wizja powrotu do domu jest już bliska. Najwcześniej pękają czternastolatki, tęsknią za mamusią, więc jedzą na potęgę, niektóre od razu wymiotują, ale część łapie wagę zgodnie z rozpisany planem.

Lekarze zacierają rączki, niestety, okazuje się, że zwycięstwa bywają pozorne. Niektóre laski są tutaj już trzeci raz. Tyją i wychodzą, ale gdy tylko zamknie się za nimi szpitalna brama, znowu zaczynają się odchudzać. To najtrudniejsze przypadki, zapewne i ja do nich dołączę. Postanawiam nie przytyć ani deka.

Najgorsze są rozmowy w kółku, jak je nazywam, czyli grupa. Zupełnie jak na mityngach alkoholików: „Dzień dobry, mam na imię Kasia albo Basia, jestem anorektyczką albo bulimiczką, moja obecna waga to..., zaczęłam się odchudzać przed dwoma, trzema, czterema laty. Nie akceptowałam swojego ciała, bo chłopak mówił, że jestem za gruba, nie chciało mi się jeść, uważałam, że za dużo ważę. Bardzo żałuję, że sprawiłam kłopot swoim rodzicom, a moje odchudzanie zagroziło zdrowiu, chciałabym przytyć zgodnie z zaleceniami lekarzy, mam nadzieję, że po kuracji uda mi się powrócić do dawnej wagi.”

Słucham tych opowieści, które wloką się jak spaghetti. Wtedy myślę o tobie, Marilyn, i o sobie. Przysięgam, że nie zdradzę, dlaczego walczę o siebie i o ciebie, zabijając ciało. Nigdy nie podjęłabym tej walki dla jakiegoś chłopaka, czy z innego błahego powodu, nie wytrwałabym w niej tak długo.

Jesteś ze mną, czuję to, nawet jeśli nie mam tu twojego zdjęcia. Wiem, że znajdujesz się obok, wtedy gdy patrzę w ciemną

noc za oknem, kiedy płacze, tak by nikt mnie nie słyszał. Czytam wszystko, co mi wpadnie w ręce na temat twojej niewyjaśnionej śmierci. Na zawsze pozostaniesz tajemnicą, tak jak nasz tajemny związek dwojga chorych ciał.

Kiedy wywołują mnie do odpowiedzi, plotę banały o braku akceptacji własnej sylwetki, o zgubnym wpływie kolorowych czasopism, prezentujących wychudzone modelki, które dla młodych dziewczyn są ideałem. Tak się zapędzam, że psycholożka każe mi przestać i przypomina o obowiązku szczerych odpowiedzi, a nie cytowania gazet. Wobec tego mówię, że nie jestem jeszcze gotowa, by opowiedzieć o sobie coś więcej.

Potem słuchamy wykładu o tym, do czego doprowadziłyśmy własne organizmy, jakie etapy ich zniszczenia mamy już za sobą, i co nam grozi, jeśli nie przestaniemy. Żadna z nas już nie miesiączkuje, wypadają nam włosy, mamy suchą, swędzącą skórę, zniszczone zęby, poraniony przełyk, zniszczoną śluzówkę żołądka, uszkodzoną wątrobę, a nasze głodne organizmy zjadają własne szare komórki. Jesteśmy agresywne, pobudzone albo senne. Każą się nam też oglądać w wielkich lustrach, wygląda to trochę jak taniec szkieletów w sali balowej. Specjalista od filmowych horrorów miałby gotowe aktorki. Psycholożka uważa, że taka terapia da rezultaty, przemówi do naszej wyobraźni. Nie rozumie jednak, że każda z nas doprowadziła się do tego stanu świadomości, nie akceptując siebie w poprzednim wydaniu. Nam się, niestety, nasza chudość podoba!

Z zazdrością patrzę na Maję. Jest wiotka jak trzcina, ma długą, łabędzią szyję, bardzo szczupłe nogi, twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi; ma wszystkie atuty modelki. Porusza się wolno, jakby spała, przypomina nieziemską zjawę. Jest w Z. drugi raz, matka prawie każdego dnia koczuje pod drzwiami, by się dowiedzieć, czy Majka z tego wyjdzie. Znosi córce soki i jogurty, ale .jakoś nie widać, żeby od nich przybywało jej kilogramów.

Podobno kiedyś nakryli Majkę w kłocie, jak połykała kłębek wełny. Wystarczy pociągnąć trochę nitkę i podrażniony żołądek pięknie się oczyszcza bez wysiłku. Nie trzeba w tym celu pakować sobie całej dłoni do gardła.

Majka pisze wiersze, śpiewa i marzy. Matka nie chciała jej posłać do szkoły plastycznej ze względu na panującą tam narkomanie i zapisała swoją pociechę do szkoły zakonnej. No to Majka zrobiła wszystko, żeby tam nie być, to znaczy prawie zagłodziła się na śmierć.

Podczas spotkań w kółku najczęściej się nie odzywa, nie chce

uczestniczyć w terapii, myślę, że tak naprawdę nie bardzo ją obchodzi to, co się tutaj dzieje. Pod oknami czasami wystaje też chłopak Majki, ale ona nie reaguje na nasze uwagi, że znowu przyszedł. Mówi, że to miłość, która dawno minęła. Podobno ma jakiegoś starszego faceta, jednak ten nigdy się tu nie pojawia. Na razie nie wolno mi oglądać telewizji i dzwonić do domu. No i dobrze, nie będę oglądać kretyńskich seriali, na szczęście mogę czytać. Nadrabiam zaległości i to mi w zupełności wystarcza. Za rozmowami z rodzinką też nie tęsknię. Nie chcę myśleć o tych, którym zawdzięczam swój los. Podobno zrobili to dla mojego dobra, ale moje pojęcie dobra jest całkowicie odmienne. Pogadałabym z Iglą, żeby się dowiedzieć, co słyhać w szkole, i czy wiedzą, że siedzę w wariatkowie. Już sobie wyobrażam te komentarze w pokoju nauczycielskim, matka musiała przecież zawiadomić dyrektorkę, bo bez względu na liczbę moich nieobecności, formalnie jeszcze mnie nie wywalili. Podjęłam decyzję i jeśli kiedyś stąd wyjdę, nigdy nie wrócę do starej budy. Nie chcę, żeby ktoś szeptał za mną: „Popatrz, to ta wariatka!”

Grunt to rodzinka

Na razie łykam prozac, taką amerykańską tabletkę szczęścia. Nawet fajne uczucie, nic cię nie obchodzi, jesteś wyluzowana. Gdy za oknem pada deszcz, wydaje ci się, że świeci słońce. Ten polepszacz nastrojów podobno robi w Stanach zawrotną karierę. Sięgają po niego zestresowani biznesmeni, nastolatki cierpiące z powodu kłopotów sercowych, chorzy i zdrowi. Mówi się nawet o pokoleniu wychowanym na prozacu.

Pani psycholog nie jest zadowolona z naszych rozmów. Pyta, czy jestem gotowa, żeby zacząć terapię, czy będę blokować miejsce innym, którzy na przykład chcą się leczyć. Wtedy odpowiadam beczelnie, że musi zdecydować sama, bo ja wyszłabym stąd natychmiast, gdyby mi tylko na to pozwolono.

Leczenie anorektyków opiera się na pracy z całą rodziną, a nie tylko z tym, kto jest chory. Na przykład w Ameryce są podobno koła wsparcia dla rodziców, których dzieci popadły w tak zwane uzależnienie jedzeniowe. W Z. i w innych szpitalach, gdzie leczą takich jak my, odbywa się to poprzez ściąganie całej rodziny na rozmowy z lekarzami i psychologami.

Niestety, w moim przypadku jest to skomplikowane, trwają więc spory i dyskusje, czy rodziną jest dla mnie mój ojciec, który nie ma ograniczonych praw rodzicielskich i deklaruje chęć współpracy z lekarzami, czy mój ojczym, któremu ja oczywiście latam i powiewam. Wychodzi na to, że jednak on. Jest za dobrze wychowany, żeby powiedzieć lekarzom, co tak naprawdę o mnie myśli, i że nie ma ochoty na żadne wizyty w szpitalu.

Pewnego dnia zjawiają się wszyscy, łącznie z moją kilkuletnią siostrą i babcią. Czuję się jak na przesłuchaniu; tylko mała jest zachwycona, może sobie do woli biegać po sali ćwiczeń, jeździć na wielkiej piłce, moje koleżanki z oddziału ochoczo siostrą zajmują.

Psycholożki badają przy okazji, jakie mam kontakty z siostrą, pytają, czemu nie biore jej na ręce, czemu jej nie pocałowałam na powitanie. Mówię, że nie cierpię małych dzieci, bo są jak pijawki, pozwolisz, to wejdą ci na głowę. Nie wiem, czy za taką odpowiedź dostanę minus czy plus w ich tajnym kajecie, ale coś czuję, że chyba kreskę. Nie chce mi się udawać, że jestem inna, niż jestem, nie nagnę się do ich oczekiwań. Chcą mieć sukces, ale nie ze mną.

Babcia nie wytrzymuje stresu, zaczyna płakać i tłumaczyć,

że kochała mnie najbardziej jak potrafiła, że mnie wychowywała, dbała, pomagała. Mam ochotę wrzasnąć: „Babcia jest w porządku, dajcie jej spokój! To nie ona skazała mnie na taki los, nie ona zafundowała dzieciństwo, które skaleczyło moją duszę!” Ale babcia też zaczyna być przeciwko mnie. Mówi, że stałam się w stosunku do niej agresywna, że trudno ze mną wytrzymać, nie wracałam na noc do domu, nie chciałam się uczyć, zadawałam się z podejrzanym towarzystwem. Mówi, że chowałam jedzenie, wyrzucałam je, wymiotowałam, bo jadłam za dużo, chociaż prosiła o umiar. I tym wydała na siebie wyrok, nie będę jej bronić, jeszcze mnie popamięta. Nie mam litości dla dzieci, nie mam litości dla staruszek...

Mój ojczym ma wreszcie okazję popisać się własnym intelektem. Mówi o zaniedbaniach wychowawczych ze strony mamusi, czyli jego żony, o braku konsekwencji w moim wychowaniu. Pytany o stosunek do mnie oświadcza, że wiele razy próbował nawiązać kontakt, ale ja nie chciałam, więc postanowił się nie narzucać. Zresztą mam swojego ojca, a on w naszym domu jest tylko gościem, ponieważ pracuje w innym mieście i przyjeżdża tylko na weekendy.

Nie wiem, czy ta wypowiedź zadowala psychologiki, ale ja powstrzymuję się, aby mu nie wygarnąć, że nigdy mnie nie akceptował, reaguje na mnie jak warczący pies, przeszkadzam mu nawet kiedy śpię. Nie podjęłam tematu, bo nie chciałam zaożnaczyć sytuacji i nie wiem dlaczego żał mi się zrobiło matki, na którą tak napadł w końcu przy obcych ludziach. Patrzyłam więc obojętnie w okno, chociaż wszystko się we mnie gotowało. Ale nie dam się ponieść emocjom, niedoczekanie!

Matka jak zwykle płacze, mówi, że starała się zrobić wszystko, żebym miała szczęśliwe dzieciństwo, czuwała nade mną, kochała i kocha. Nie rozumie, dlaczego upadam się, żeby zniszczyć swoje zdrowie odchudzaniem. Mówi, że zwlekała z leczeniem tak długo, bo sądziła, że wreszcie sama zrozumie, że to droga donikąd. Niestety, ostatnio coraz trudniej było nam się porozumieć, nie chciałam też korzystać z pomocy psychologa. Okazała się w końcu bezradna wobec tego problemu i chociaż było jej bardzo ciężko, wspólnie z moim ojcem podjęła decyzję o leczeniu w szpitalu.

Mówi nagle:

— Kocham cię córeczko, wybacz, że tu jesteś — i ze łzami w oczach chce mnie ucałować.

Nienawidzę tego teatru, oganiam się rękami jak od natrętnej

muchy. Mówię jej z wściekłością:

— Powinnaś lepiej przemyśleć swoją decyzję, bo ja na pewno nie chciałam siedzieć w wariatkowie. Skoro już muszę, nie będę wysłuchiwać zapewnień o miłości.

Wtedy po raz pierwszy psycholożka mówi coś o osobowości nieprawidłowej.

Rozstajemy się na kolejne dwa tygodnie, kiedy to przewidziano ciąg dalszy spektaklu. Pożegnanie nie wypada najlepiej, matka i babcia płaczą, ojczym jest wściekły, tylko mała wkłada mi do kieszeni gumę do żucia i koniecznie chce oddać niedolizanego lizaka. Głupio mi, że się z nią nie przywitałam, więc już w drzwiach mówię jej cześć i trochę przytulam. W końcu tak naprawdę w niczym nie zawiniła, jest jeszcze głupiutkim dzieckiem, nie rozumie, że zajęła moje miejsce.

Trudno kochać jeża

Na zajęciach grupowych ćwiczymy teraz, jak polubić siebie. Mamy głaskać własne ciało, ogrzewać ręce nad płomieniem świec, mówić o tym, co lubimy, a czego nie, opowiadać o miłych przeżyciach z dzieciństwa. Nienawidzę tej dramy, moja skór; jest sucha i nieprzyjemna, ręce odmrożone kiedyś na złość mamie, ciągle czerwone i zimne, a paznokcie ogryzione do krwi. Nie chcę obłaskawiać ciała, ono jest przecież w stanie walki. Żeby zwyciężyć, musi być czujne i gotowe, a nie uległe. To prawda, jestem jak jeż, nie dla mnie zbawienna teoria „głasków.” O przeżyciach z dzieciństwa też mówię niechętnie, bo niby o czym mam opowiadać? Jak wymiotowałam, żeby ojciec został, bo chciałam go w ten sposób zatrzymać? O matce, która ciągle płakała? Nawet kiedy dostałam chomika Kubę, bardziej się martwiłam, niż cieszyłam. Przeczytałam w jakiejś gazecie, że takie zwierzątko żyje tylko dwa lata. Gdy tylko nie chciał się bawić albo jeść, wyobrażałam sobie, że za chwilę zdechnie. A może mam opowiedzieć, jak matka pojechała na święta za granicę do tego swojego faceta? Nie miał kto kupić choinki, więc rozwaliliśmy zamek w piwnicy, żeby wyciągnąć chociaż sztuczne „drapaka”, a wtedy cegła spadła mi na nogę i święta oraz sylwestra spędziłam w kapciu, unieruchomiona na dwa tygodnie.

Na pewno jestem niesprawiedliwa, bo kilka szczęśliwych chwil też było w moim życiu — na przykład pierwsze wakacje nad morzem, kiedy mogłam do woli nurkować w wodzie i piasku, a na kocu obok leżeli mama i tata. Budowaliśmy razem zamki i mosty, pod którymi przepływały morskie fale. Gdy byłam bardzo mała, lubiłam też święta u dziadków, pamiętam kolorowe paczki z prezentami, mama dostawała od dziadka kwiaty.

Teraz jednak opowieści o szczęściu rodzinnym działają na mnie jak przysłowiowa płachta na byka, a tu każe mi się do nich wracać, wygrzebywać z pamięci to, co schowane głęboko. Nie lubię tych spontanicznych zwierzeń.

Słucham, jak moje koleżanki, które z upodobaniem plotą o ulubionych potrawach, czyli tak zwanych smakach dzieciństwa: jabłecznikach, sernikach, kotletach, nawet o ogólnie znienawidzonym szpinaku. Opowiadają o upragnionej zabawce, sukience, wizycie u cioci Łodzi. Żenada!

Nie chce mi się nawet myć włosów. Nie zależy mi na wyglądzie, zresztą tutaj nie muszę się nikomu podobać. Tak zwana płeć męska średnio mnie interesuje, o mężczyznach mam ostatnio jak najgorsze zdanie. Nawet Wilk mi podpadł, miałam go za kumpla, a okazał się tchórzem, nie chciał dla mnie zaryzykować głupiego kolegium.

Na oddziale nie ma na kim zawiesić oka, jest tylko kilku autentycznych świrów, którym lepiej zejść z drogi. Napakowani psychotropami, opuchnięci, ciągle zaspani albo przeciwnie — pobudzeni, szczególnie kiedy wieje wiatr, czy zmienia się pogoda. Trudno przed takimi manifestować swoją kobiecość, a zresztą, po co?

Już ty, Marilyn, zapłaciłaś za to swoją cenę, dzisiaj ja ją płacę. I nie poddam się; obiecuję, że nikt mnie nigdy nie zrani. Teraz ja rozdaję karty!

Co kilka dni robią nam różne szczegółowe badania. Moje nie odbiegają od normy, to znaczy normy dla anorektyczek. Laborantka, czyli wampir, kaleczy nasze żyły, by utoczyć cennej krwi. Inne dziewczyny przyjmują to normalnie, ja zawsze panikuję. Nie cierpię, gdy ktoś stara się zawładnąć moim ciałem, nawet przez chwilę. Ta świadomość sprawia mi ból, nie tylko fizyczny, ale też psychiczny. Nie umiem tego racjonalnie wytłumaczyć, po prostu tak jest.

Oprócz prozacu dostaję też jakieś leki osłaniające mój chory od wymiotów żołądek. Jednak przede wszystkim ma mnie uleczyć szpitalna terapia, ale jak na razie brak rezultatów. Nie przytyłam ani deka, nie wymiotuję, jednak z jakichś powodów stan wagi jest constans.

Magda też ciągle bez zmian, matka jest przy niej prawie cały czas, dzieciakami opiekuje się sąsiadka, tatuś odsiaduje wyrok. Leży sobie w łóżku jak królowa, lekarze pochylają się nad nią z troską. Kiedy ma ochotę, przełknie łyżkę zupy. Pozwala robić ze swoim ciałem, co tylko chcą. Masażysta masuje jej nogi, żeby jakoś pobudzić mięśnie, psycholożki coś do nie mówią ciepłym głosem. Nie wiem co, bo każą nam się wtedy wynosić z sali.

Ale prawdziwie szczęśliwa jest wtedy, gdy siedzi przy niej matka. Jest dla niej dobra, łagodna, cierpliwa. Kiedy Magda nie chce jeść, nie musi pluć zupą, jak na salową, bo matka po prostu odstawia talerz. Pomagamy tej wiejskiej kobiecie, jak możemy, robimy kawę, pocieszamy, mówimy, czy córka spała w nocy. Ona, też nas pociesza, że niedługo przytyjemy i pójdziemy do domu,

przywozi pączki, które upiekła w nocy. Jest dla nas trochę jak matka.

Znamy już imiona rodzeństwa Magdy, wiemy, że hodują krowe, mają króliki, psa i kaczki. Jest bieda, to prawda, ale wszyscy się kochają, a odkąd ojciec siedzi, nie trzeba się bać, że przyjdzie do domu pijany i będzie ich wypędzał na mróz. Przy łóżku Magdy ołtarzyk prezentów, maskotka od siostry, serca zrobione przez najmłodsze dzieciaki i obrazek z Aniołem Stróżem, ustawiony przez matkę.

Przynosimy Magdzie basen, żeby nie sikała do łóżka. Sama o niego nie poprosi, więc musimy o tym pamiętać. Matka zawsze bardzo nam dziękuje, chociaż jej tłumaczymy, że to zwyczajna rzecz.

Kiedyś przywozi w torbie ulubionego psa Magdy. Wieczorem na oddziale jest spokój, więc nikt się o to nie czepia. Pies wskakuje Magdzie na pościel, liże swoim gorącym językiem, trzebi uważać, żeby nie zrzucił rusztowania z kroplówką. Do naszego pokoju schodzą się prawie wszystkie dziewczyny z oddziału, każdy chce pogłaskać psiaka, który może urodą nie grzeszy, za to jest wesoły. Nie wiem, czy Magda jest zadowolona z tych odwiedzin, ale my bardzo.

Nagle zaczęłam tęsknić za moim kundlem, który wszystko rozumiał. I gdyby się tylko trochę postarał, na pewno umiałby mówić. Po pobycie w schronisku została mu choroba sieroca i każdemu wlaził na kolana, co mnie trochę złościło, bo sierota, nawet psia, też powinna mieć charakter. Niestety, jest już świętej pamięci - zdechł na nosówkę. Tak już jest, że wszystko, co kocham, muszę utracić. Taki los...

W ślepych zaułku

Za oknem już listopad, gałęzie bez liści chwieją się, szarpane wiatrem. Mam trochę dosyć wariackowa, tych spotkań w kółku, gimnastyki, oglądania swojego ciała w lustrze, wizyt laborantek. Robią nam nawet badanie na hiv. Nie wiem czemu, ale trochę się boję. Nie należałam przecież do grzecznych dziewczynek, a po prochach było mi wszystko jedno, kto się pcha z łapami i nie tylko.

Może się okaże, że to nie anoreksja, ale co innego jest przyczyną moich problemów. Już jestem napiętnowana, bo zdaniem sytego, obrosłego w kilograpy społeczeństwa, ważę za mało, a gdyby stało się to najgorsze, będę trędowata. Wtedy spadam do ciebie, Marilyn. Podobno tam, gdzie jesteś, nie obowiązuje ziemski system wartości.

Rozmowy z panią psycholog mają mi uświadomić, że mój lęk przed dorosłością jest przyczyną problemów, z jakimi się borykam. Nienawidzę matki, a jednocześnie sama nie potrafię wziąć odpowiedzialności za swoje życie. Skwapliwie korzystam z roli skrzywdzonego dziecka, bo taka postawa zwalnia mnie z konieczności podejmowania jakichkolwiek działań. Jestem słaba psychicznie, a ukrywam to pod maską osoby twardej, niedostępnej.

Duży wpływ mają na mnie koledzy i koleżanki, nie potrafię być dla innych wzorem pozytywnym, bo to wymaga pewnego wysiłku, więc wybieram to, co łatwiejsze, chcę zaimponować złem.

Osobowość nieprawidłowa, takie stwierdzenie często pada w naszych rozmowach. I mogę się z tym nawet zgodzić. A jaka ma być, skoro wszystko, co zdarzyło się w moim życiu niezależnie ode mnie, nie było prawidłowe? Tylko dlaczego za moją nieprawidłowość mam płacić wyłącznie ja, a nie ci, którzy mi ją zafundowali? Tak ma wyglądać sprawiedliwość?

Pani psycholog tłumaczy, że jest przecież wiele dzieci z rodzin podobnych do mojej, czyli rozbitych, i nie popadają z tego powodu w anoreksję. Ja jej wtedy wyjaśniam, że jeden potrafi przejść z kamieniem w bucie dziesięć kilometrów, a inny nie ujdzie nawet metra. I taka właśnie jestem. Niełatwo nam złapać kontakt, ale przecież nie zmienię się tylko dlatego, że ona tak chce.

Z innymi panienkami idzie jej łatwiej. Są nawet w tak zwanej komitywie. Szczególnie te najmłodsze wyśpiewują wszyst-

ko, obiecują poprawę, nie stać ich nawet na to, żeby skłamać, chociażby w obronie własnej godności. Płaczą, chcą do mamy. Potem wymiotują w kiblu i kupują nam papierosy, żebyśmy nie wygadały salowym. Gardzę nimi.

Lekarzy bardziej interesuje wynik badania mojej głowy, czyli tak zwane EEG; okazuje się, że jest na pograniczu normy i patologii. Pytają, czy doznałam kiedyś urazu głowy. Przypomniałam sobie, że kiedy miałam sześć lat, spadłam z huśtawki na beton. Wzięli mnie nawet na kilka dni do szpitala. Musiałam leżeć pod kroplówką w jednym pokoju z Zosią, która wpadła do studni i złamała obie nogi. Ona zazdrościła mi tego, że pozwalali mi trochę chodzić, a ja jej, że ma takie wielkie gipsowe nogi, jak na filmach rysunkowych.

Pani doktor przepytuje też moją matkę o przebieg porodu, jest ciekawa, czy były jakieś komplikacje. Okazuje się jednak, że moja wzorowa mama rodziła „książkowo”, co zapewniło mi maksymalną ilość punktów jako noworodkowi i miało być gwarancją na przyszłe, równie szczęśliwe życie. Okazało się to jednak nie do końca prawdą.

Przyczyną takiego zapisu EEG mogą być też prochy, do których przyznałam się kiedyś w chwili słabości psycholożce. Moim zdaniem, to głównie one mi zaszkodziły, a nie huśtawka. Ale doktorom wolno spekulować, to w końcu ich specjalność. Ponadto muszą postawić wreszcie jakąś diagnozę. Na razie nie dają im powodów do medycznej satysfakcji. Tylko raz udało mi się oszukać wagę, włożyłam sobie w spodenki karton z sokiem. Takie tam głupie czary-mary. Potem już mi się nie chciało tego robić. Mija kolejny tydzień, a tu postępów brak. Następne „rodzinne” spotkanie znów okazuje się katastrofą. Nie wiem czemu, ale taki miałam dzień, że wylałam na matkę wiadro pomyj. Wygarnęłam jej, że zawsze chciała ingerować w moje życie, programować je według własnego pojęcia dobra. Selekcjonowała moje przyjaciółki, dzieliła na te z dobrych i z niedobrych domów. Chciała, żebym otaczała się tylko akceptowanymi przez nią, chociaż w tym gronie było wiele idiotek, hipokrytek, prostaczek i różnych nieciekawych zoologicznych przypadków, a dzieci z tak zwanych prostych domów potrafiły być w naturalny sposób życzliwe i szczerze.

Zgrywałam się na pokrzywdzoną i w tym, co mówiłam, było sporo prawdy, ale też i trochę kłamstwa. Bo właśnie od moich kolegów z ulicy, dzieci alkoholików, prostytutek i nierobów nauczyłam się palić papierosy, kiedy byłam w pierwszej klasie.

Kradłam dla nich z domu różne rzeczy, żeby mnie zaakceptowały. Nigdy nie chciałam należeć do grona grzecznych córeczek; pociągało mnie raczej to, co złe. Widać tylko wśród nich, z jakiś powodów, może właśnie poczucia niższej wartości, szukałam swojego miejsca. Dlaczego z nimi czułam się dobrze, to już zagadka dla psychologów.

Matka jak zwykle zaczęła swoje, że chciała uchronić mnie przed złem i tylko dlatego, widząc, jak bardzo mnie ono pociąga, starała się ingerować w te znajomości. Mówiła, że wielokrotnie nadużyłam jej zaufania, okłamywałam, oszukiwałam. Wierzyła, że nie do końca jest to wina mojego złego charakteru, ale również towarzystwa, w jakim się obracałam.

Potem psycholożka wsiadła na mnie, że to chyba naturalne, że matka starała się uchronić mnie przed złem. W końcu to moja matka. Powinnam przewartościować swoje poglądy na ten temat i starać się oceniać sprawiedliwie. Skoro nie ma we mnie żadnej woli zmian, nie ma też szansy na to, bym poradziła sobie z problemami. Wkurzyła mnie maksymalnie, więc przestałam się odzywać. I finał.

Na rozmowę z lekarzem i psychologiem zjawił się też tym razem mój rodzony ojciec. Na prywatne rozmowy ze mną nie pozwala jeszcze szpitalny regulamin, bo nie tyję. I chwala Bogu, mam go z głowy. Salowa podała mi tylko siatkę z jedzeniem, starannie zapakowanym przez jego akuratną małżonkę. Wszystko oddałam salowej.

Nie wiem czemu, ale w końcu zrobiło mi się żal mojej zgnębionej matki. Ma już tyle zmarszczek, że ją wreszcie rzuci ten jej nowy mąż i pójdzie do młodszej, a wtedy przyszywana siostra podzieli mój los. Historia zatoczy koło. Jako egoistce powinno mi być w zasadzie wszystko jedno, ale ja też czasami mam prawo do chwil słabości.

Jesień bez sukcesu

Na oddziale życie toczy się dość nudno. Codzienny grafik zajęć znam już na pamięć. Nie przytyłam, więc nie wiem dlaczego złamali dla mnie regulamin i pozwolili przez chwilę pogadać z matką w drzwiach. Wcisnęłam jej kartkę, a ona mi parę groszy, oczywiście na fajki. Wredna, nie chciała ich sama kupić. Może się łudzi, że rzucę palenie, bo, jak mówi, nie chce dokładać zła do zła. Napisałam, że u mnie w porządku i żeby się nie martwiła, bo nie tyję, ale i nie rzygam. Nie jest to oczywiście prawda; robię to, tylko tak, żeby mnie nie nakryli.

Czasami też udaje mi się wyrzucić do klopa jakieś prochy, którymi mnie karmią, podobno na apetyt. Po nich jestem jak śnięty karp i mogłabym spać na okrągło.

Kawę pijemy litrami, chociaż podobno nie wolno. Każda z nas ma grzałkę. Wieczorem częstujemy salowe i pielęgniarki, więc się specjalnie nie czepiają. Tylko jedna ciągle mnie poucza, żebym przestała ogryzać paznokcie, bo nie dość, że wyglądam jak worek na kości, to jeszcze niedługo nie będę mogła podać nikomu ręki z powodu blizn. Mamuśka się znalazła! Ale oczywiście dla świętego spokoju obiecuję, że będę się starać. Matka nawet przesłała mi specjalny olejek do smarowania, bardzo gorzki, który ma mnie przed tym powstrzymać. Na razie zjadam go razem z paznokciami. W końcu trochę chemii nikomu nie zaszkodziło.

Od rana na oddziale poruszenie, głupia małolata chciała się powiesić w kiblu na rezerwuarze. Nie wytrzymała stresu. Najpierw jej powiedzieli, że pójdzie na święta do domu, bo przytyła zgodnie z regulaminem, a potem, kiedy wymiotowała w kiblu, nakryła ją jedna piguła i odwołali zgodę. Idiotka. Żeby z tak głupiego powodu ze sobą kończyć?

Teraz każdego dnia na tak zwanej grupie omawiamy ten przypadek, panienska składa samokrytykę niczym chiński dezerterski, prawie się biczuje, a mnie jej po prostu żal. Zachowuje się jak zaszczuty psiak. Kiedy zajęcia się kończą, podchodzę do niej i próbuję pocieszyć:

— Nie łam się, mała. Co tam jedne święta, ja też pewnie zostanę — mówię. Ma łzy w oczach.

Żeby tak tęsknić za świętami? Zupełnie nie rozumiem. Nie nawidzę tej hipokryzji podczas dzielenia się opłatkiem, udawania, że się kochamy, bo tak każe tradycja. Najchętniej schowałabym się do szafy, żeby uniknąć tych deklarowanych dowodów

miłości. Niestety, trzeba siedzieć przy stole.

Kiedyś kochana mamusia fundowała mi dwie wigilie. Na jedną przyjeżdżał tatuś z jakimś prezentem dla mnie, drugą spędzaliśmy z babcią udając, że jest fajnie. Potem gapiłam się w telewizor albo czytałam. Było nudno, a niekiedy tragicznie smutno.

Wyobrażałam sobie, że mój tata w tym czasie siedzi przy stole z dziadkami i tą swoją nową żoną i nie obchodzi go to, co ja przeżywam. Dziadkowie też zapomnieli o moim istnieniu.

Wprawdzie dokładają się do prezentu, ale wołałabym, żeby do mnie chociaż zadzwonili. To znaczy kiedyś bardzo mnie to bolało, a teraz kompletnie mi zwisa. Zresztą trudno mieć pretensje do dwojga chorych staruszków, że ich synek nie dorósł do roli ojca.

Nie tęsknię za świętami, to fakt, a odkąd mam „nowego” tatusia, jest jeszcze gorzej. Cały świat kręci się wokół tej małej gówniary, dla niej jest choinka, wynajęty z agencji Mikołaj taszczy górę prezentów. Gdy tylko nadarzy się okazja, zamykam się w swoim pokoju, a oni nawet nie zauważają, że mnie z nimi nie ma. Jeżeli będę musiała zostać w szpitalu, to na pewno się zgodzę. Nie wiem czemu, ale średnio mnie to obchodzi, co się dzieje za murami szpitala, nie tęsknię do koleżanek ze szkoły ani za domem. No, może fajnie byłoby wyskoczyć gdzieś do knajpy, znieczulić się czymś, poczuć bluesa, ale musiałabym opowiadać potem gdzie tak długo byłam i co robiłam, a na to już zupełnie nie mam ochoty.

Lekarka uważa, że brak mi motywacji do walki o siebie.

Opracowują jakąś inną metodę, specjalnie dla mnie. Teraz ja, tak jak Magda, jestem trudnym przypadkiem. Nie obiecywałam, że będzie ze mną łatwo, więc chyba w porządku?

Magda nadal leży i słabo kontaktuje. Przypomina szmacianą lalkę. Podczas obchodu lekarze toczą spory, czy ma z nami zostać, czy przejdzie na inny oddział. Matka zachorowała na grypę, więc Magdzie się wyraźnie pogorszyło. Nie chce jeść, trzeba pilnować, żeby nie wyrwała sobie z ręki kroplówki. W nocy czasami próbuje zerwać się z łóżka, a potem pada jak bezwładna kukła. Czytam z latarką pod kołdrą prawie do rana, więc widzę, co się dzieje.

Nie wiem czemu, ale czuję się za nią odpowiedzialna, chociaż nikt mnie do tego nie upoważnił. Zresztą zawsze byłam bardziej odpowiedzialna za innych niż za siebie. Nawet za Wilka, czy będzie miał co jeść, czy uda się coś skombinować z domu. Taka już jestem. Jak mnie geograf wysłał na wycieczkę z pierw-

szakami, miał święty spokój, wszystkiego dopilnowałam, nawet żeby się żaden gówniarz nie uwaliał w Warsie piwem.

Czuję się też odpowiedzialna za ciebie, Marilyn, spłacam twój dług. Ci wszyscy faceci myśleli, że cię mają, że mogą zrobić, co zechcą, ale przecież się mylili. Wiem, że pozostałaś czysta, nie-
tknięta i mimo wszystko święta. To oni ponieśli klęskę.

Numer z zeszytem

W ciągu następnych tygodni nadal nie przybieram na wadze. Nie wraca też miesiączka. Wyniki badań laboratoryjnych są trochę lepsze, mniej boli mnie żołądek, ale nic poza tym. Nie cierpię z tego powodu, zawsze byłam tak zwanym negatywnym przykładem.

Jedne dziewczyny są wypisywane, inne przychodzą, normalnie, jak w szpitalu. Ostatecznie lekarze zgodzili się, żebym miała lekcje. Nieszczególnie mnie to ucieszyło. Szpitalni nauczyciele odwalają regularną pańszczyznę. Oni udają, że pracują, my, że się uczymy. W sumie takie tam zawracanie głowy, ale trochę z nudów zaglądam do książki. Najchętniej jednak czytam Wharтона albo inne hity ostatniego sezonu, bo mam trochę zaległości. W nocy pilnuję Magdy, w dzień wygłupiamy się z Beata. Udamy, że ona jest facetem, a ja dziewczyną, gadamy o różnych świństwach. I jakoś mija czas, tylko cholernie chce mi się palić. Na szczęście Beata nabrała ciała, przychodzą do niej kumple z liceum, bo mieszka w Z. kilka ulic od szpitala, i przynoszą skrepta. Dostaję kilka machów, czuję się jak w niebie. Co będzie, jak ją wypiszą z oddziału i zrobi się nie do wytrzymania? Niestety, stąd nie da się uciec, drzwi otwierają się tylko w jedną stronę...

Wszystkich ogarnęła świąteczna gorączka. Nie wiadomo, kto wyjdzie do domu, a kto zostanie. Robi się nerwowo, także w ubikacji. Stoimy na czatach, gdy któraś musi sobie ulżyć. Beata przemyciła środek do czyszczenia toalet, więc nasz szpitalny kibiel wygląda jak przed wizytą sanepidu.

Przed południem jest trochę gorzej, bo salowe co chwilę wchodzi do klopa, ale po południu oglądają seriale, więc można się wyczyścić do woli. Każdego ranka waga wariuje, dziewczyny potrafią wypić na raz dwa litry mineralnej, żeby nie stracić punktów.

Rozumiem je, szczególnie te czternastolatki, które tęsknią za mamą, za koleżankami, za choinką. Każdego dnia mówią o tym, co dostaną, czytają listy z domu, same też wysyłają. Malują pieśki, kotki — takie z nich jeszcze dzieciuchy.

Tylko Maja się nie poddaje, widać, że ma klasę. Nie tyje, podobnie jak ja, i nie odzywa się na spotkaniach grupowych. Na muzykoterapii nuci czasami jakąś melodię. Jest jak z innego świata. Maluje ołówkiem ważki albo motyle o wielkich skrzydłach, pisze coś w swoim zeszycie. Nie odrabia zadanych lekcji,

mówi, że to wszystko beznadziejnie głupie. Jeśli matka nie pozwoli jej iść do szkoły plastycznej, będzie siedzieć w domu i już. Inne szkoły jej nie interesują, chce też mieszkać w internacie. A może pograć tak jak ona? To jest myśl! Wyprowadzić się spod maminych skrzydełek i wreszcie poczuć prawdziwą wolność. Internat nie jest może rajem na ziemi, ale po treningu w wariatkowie do wszystkiego można się przyzwyczaić. I nie będę się nikomu musiała tłumaczyć: jem, czy nie jem. Trzy dni przed świętami zapada decyzja, że jednak wycho-
dę. Chcą sprawdzić, jak będę funkcjonować w domowych warunkach, bo przecież do końca życia nie zostanę w szpitalu. Pani psycholog daje mi garść wskazówek i cholerny zeszyt, w którym codziennie mam robić zapiski. Chyba kończyła tę samą szkołę, co jej poprzedniczka. Nie rozumiem tej głupiej psychologicznej mody, ale na wszelki wypadek nie dyskutuję. Podobny zeszyt jest już przygotowany dla mojej matki.

Może oddelegowaliby razem ze mną do domu psa policyjnego, szczególnie wyczulonego na wymioty? Już mam im to zaproponować, ale trochę się boję, że cofną mi przepustkę. Dostaję też receptę na prozac. Dobre i to, zażyję razem z opłatkami.

Matka przynosi nowe ciuchy, odłotową koszulę w kratkę, spodnie, sweter. Widać, że się postarała. Wracamy autobusem, bo jej mąż nie chciał, żebym jechała po pańsku, samochodem. Trochę sobie gadamy, oczywiście dopóki nie zaczyna poruszać wkurzających tematów. Wtedy gapię się w okno i nie reaguję.

Od razu po przyjeździe mam ochotę wyskoczyć na miasto, ale po chwili zmieniam zdanie. Co powiem, gdy spotkam znajomych? Trudno, zostanę w domu. Chodzę z kąta w kąt. W moim pokoju taki porządek, że nie wiadomo, czy wolno mi usiąść na krześle. Okno umyte, podłoga wypastowana, świąteczny stroik. Ciekawe, jak mamuśka zareagowała na znalezisko spleśniałych kanapek pod łóżkiem, a także na mój zbiór lufek. Domyśla się czegoś, czy nie?

Na razie jest jednak świąteczna atmosfera, babcia piecze jakieś placki, mała piszczy na widok choinki, w telewizji same nudy na przemian z kolędami, słowem sielsko anielsko i beznadziejnie.

Dobrze, że w ramach świątecznych porządków nie zdjęli mi twojego plakatu, Marilyn. Dotykam włosów, podwiewanej przez wiatr sukienki i czuję, jak bardzo jesteś mi bliska.

Sztuka uników

Już zapomniałam jak to jest budzić się we własnym łóżku, nawet jeśli grudzień przypomina listopad, a zamiast śniegu pada bura bryja. Nie trzeba rano wchodzić na wagę, nie trzeba mierzyć temperatury, nikt nie wypróżnia kubłów ze śmieciami na przykład o szóstej rano. Nie trzeba się zwlekać na gimnastykę. Zapalam papierosa, czuję ssanie w żołądku. Pora na śniadanie. Babcia przynosi mi na tacy bułkę z masłem i szynką, mocną herbatę, kilka rogalików z marmoladą. Nie mogę się powstrzymać od jedzenia, wszystko pachnie inaczej niż w szpitalu. Dziwne, ale czuję przyjemne ciepło, rozchodzące się po moim sytym brzuchu. Jestem pokojowo nastawiona do świata, nie wiem czemu, nagle zaczyna mi się podobać nawet w moim zniechęcającym domu.

Z radosnego nastroju wyrywa mnie telefon. Dzwoni Igła z wieścią, że ludzie z klasy chcą się do mnie wybrać z mikołajkowym prezentem.

— Nie zgadzam się, wybij im to z głowy! — krzyczę, ale Igła mówi, że przepadło, bo wychowawczynie i dyra się uparły. Taki humanitarny gest przed świętami. Byli już w sierocińcu, teraz widocznie zaplanowali wizytę u tej z wariatkoma.

Zaczynam kłaść jak szewc, z nerwów zostawiam w klozecie całe pyszne śniadanie.

Babcia płacze.

— Znowu to samo — powtarza ze łzami w oczach. Nie rozumiem, że moje nerwy są w tej chwili napięte do granic.

Jak będą pytać, gdzie byłam, powiem, że mnie leczyli na korzonki albo kręgosłup, postanawiam. A może walnę wprost: „Chcecie wiedzieć, gdzie byłam? Proszę bardzo: w domu wariatów! Jestem wariatką, to przecież żadna tajemnica”. I pobiegnę po nóż do kuchni.

Na razie szykuję stół na wizytę, wykładam babcine rogaliki, przygotowuję kieliszki do wina, które podprowadziłam z barku. Chodzę od okna do okna, patrzę na zegarek. Nagle trochę mi zaczyna zależeć na tym spotkaniu, chociaż się go boję. Nie wiem też, kto przyjdzie. No, ale trudno, będę musiała jakoś sobie radzić. Na wszelki wypadek wyganiam babcię z małą na spacer. Wolę być sama.

Mija godzina za godziną i nic, nikogo. No tak, zrobili mnie w konia, nie jestem już nikim ważnym, nie liczę się. Wypadłam

z grupy. Niech się bujają!

Następnego dnia wpada Kamil, przynosi mi jakiegoś misia w mikołajowej czapce. Daje maskotkę w drzwiach, nie chce wejść. Stoimy bez słowa. W końcu mówi:

— No to spadam!

Zamykam z wściekłością drzwi. Żeby nie zwariować, łykam prozac. Taka głupia sprawa, a tak bardzo mnie obeszała. Wyzywam się na matce. Krzyczę, że na pewno wygadała wszystko w szkole, naplotła, że jestem taka biedna, no to z litości postanowili mnie odwiedzić. Matka płacze, potem tłumaczy, że nigdzie nie była i nikogo nie namawiała do wizyty. Ale ja się nie poddam, nawet jeśli to nie ona, nic mnie to nie obchodzi. Znowu ładuję w kiblu, żeby sobie ulżyć. To już niezależne ode mnie. Prozac nie zdążył zadziałać. Jestem wściekła!

Wieczorem sięgam po pamiętnik. Na szczęście schowałam go skutecznie i nawet odkurzacz, który szalał po moim pokoju, nie miał do niego dostępu. Zamiast zapisywać szpitalny zeszyt wydarzeniami dnia, piszę w moim pamiętniku traktat o bólu — narastanie, kolejne stadia, w końcu jego zwycięstwo. Zajmuje mi to wiele stron, myślę, że gdybym wystartowała w jakimś konkursie literackim, miałabym szansę.

Ból jest jak igła, kawałek raniącego skórę szkła, niewidoczny dla innych cierń. Ściska, opasuje, kaleczy, rani, zniewala, dręczy, a w końcu zabija. Jest cierpieniem i wybawieniem. Człowiek, ogarnięty bólem nie do wytrzymania, nie ma już siły myśleć o niczym innym. Nie ma niczego poza nim. Walczy, potem się poddaje. Akceptuje tę sytuację, przyzwyczajają się do niej, oswajają ból. Uczy się z nim żyć. To stadium jest mi świetnie znane. Cała składałam się z bólu. Jest wszędzie, w moim ściśniętym z głodu żołądku, w mojej zranionej duszy, w moim sercu, w którym nie ma miłości. Walczę z nim na różne sposoby, oszukuję, zabijam w sobie, ale odrasta jak wielogłowa hydra.

Moje życie jest bólem, podobnie jak twoje, Marilyn. Ty jesteś mną, a ja tobą. To zespolenie sprawił właśnie ból. Nasze udręczone nim ciała cierpią. Czy jest jakiś kres, czy trzeba go sobie wyznaczyć samemu? Nie mogę cię o to spytać, ale wiem, że odpowiedź znasz.

Wieczera jak inne

W wigilię rano wpadła do mnie Igła, przyniosła trochę plotek z miasta. Z metą u Wilka już koniec, zrobili mu eksmisję. Policja kilka razy wykonała tak zwane wejście smoka i nakryła maślolaty na uczynku dosłownie gorącym, jak oddawały się występnej miłości.

Wilk przestał pracować w hurtowni, bo płacili tyle co nic, i założył agencję towarzyską, obsługiwaną przez niepełnoletnie panienki. Tłumaczył się dosyć logicznie, że na stare rury nikt nie miał ochoty, a młode były i zdolne, i chętne. Prokuratora to jednak nie przekonało. Laski miały gnój w szkołach, a Wilka wysiudali na peryferie. I to ma być nagroda za to, że wykazał się obywatelską postawą i wziął tak zwane sprawy w swoje ręce? Trochę mi go żal, nie ma chłopak fartu. A taka była świetna meta.

Igła jest chuda jak ja. Dorobiła się już wrzodu żołądka, więc tłumaczy matce, że te wymioty to właśnie z tego powodu. Sprzedałam jej patent z kłębkami wełny. Ja go nie stosuję, bo odkąd zafundowali mi tak zwaną gastroskopię, nie ryzykuję potykania czegokolwiek. Wyleczyli mnie skutecznie. Za to podziwiam więźniów, którzy robią takie rzeczy, żeby na przykład zaimponować kumplom.

Igła nie mogła zostać dłużej, bo obiecała ustroić choinkę. Pogadałyśmy o wariatkowie. Uspokoiliam ją, żeby się nie bała, jakby musiała tam wylądować, bo da się przeżyć. Pod warunkiem, że człowiek nie spodziewa się zbyt wiele od życia i umie się ustawić. Podobno krążą na mój temat różne plotki. Jedni mówią, że jestem w poprawczaku, inni, że zwariowałam z powodu prochów i rzucam się na ludzi. Może dlatego nie przyszli?

Uświadomiłam Iglę, żeby miała tak zwaną jasność: do szkoły na pewno nie wrócę, przynajmniej nie do tej, z moją klasą też nie mam żadnej ochoty się spotykać, więc mogą czuć się bezpieczni.

Obiecała przyjść w sylwestra, bo też będzie się nudzić jak mops. Zamiast oglądania telewizji z mamusią, woli szampana ze mną. I tu ją rozumiem.

Zanim matka wróci z pracy, postanowiłam przejrzeć jej zeszyt. Byłam ciekawa, co tam zdażyła nasmarować, chciałam również, by jej zeznania w znaczący sposób nie odbiegały od moich. Zamiast na kajecik, natknęłam się na teczkę z nagłówkiem: „Suk-

cesy mojej córki”. Nie do wiary! Nigdy bym jej o to nie podejrzewała. Byłam pewna, że moje życie w jej ocenie to wyłącznie klęski. A tu taka niespodzianka.

Piątkowe wypracowania, świadectwa z czerwonym paskiem, 'dyplomy za tańce na lodzie, pływanie, jazdę konną. Jakaś opinia nauczycielki, wyniki testów. No, trochę tego jest, a byłam pewna, że wylądowało w śmieciach. Zaimponowała mi moja skrupulatna mamusia, nie ma co!

Postanowiłam udawać grzeczną córeczkę podczas wigilijnej kolacji. Zeszytu jednak nie znalazłam, widocznie nosi go w torebce. Muszę wykonać rewizję, gdy tylko nadarzy się okazja. Mała me mogła się doczekać prezentów, zaglądała pod choinkę, skubała kolorowe paczki. Niestety, najpierw było, jak co roku, udawanie miłości bliźniego. Babcia i mama życzyły mi zdrowia, ojczym — rozumu, widocznie tylko na takie życzenia go stać. Potem jeszcze grzybowa, karp, herbata i placek. Ceremonia z prezentami ciągle się odwlekała, maluch popłakiwał, ale porządny tatuś stwierdził, że bez względu na wiek dziecko powinno ćwiczyć wolę. W końcu można było odpakować prezenty.

Siostra oniemiała na widok wspaniałego misia, a i mnie lekko przytknęło, bo dostałam rewelacyjnego walkmana. Tego się zupełnie nie spodziewałam. No, no, ale zaszaleli. Może mamusia chciała okupić swoje sumienie z powodu wysłania mnie do wariatkowa?

Wieczorem zadzwonił tatuś, widocznie matka powiedziała mu o przepustce albo sam się dowiedział w szpitalu. Zapraszał na święta, obiecałam, że wpadnę na kilka godzin. Liczyłam na kasę, ale jak zwykle się przeliczyłam. Wizyta trwała krótko i było beznadziejnie. Stwierdziłam tylko, że tatusiowi coraz lepiej się powodzi materialnie. Natomiast alimenty, które raczy przysyłać, są ciągle smętne.

Odwiedziłam też dziadków. Był mój ulubiony placek z migdałami, jadłam bez opamiętania. Niestety, wszystko zostało w dworcowym kiblu. Nawet mi było trochę żal.

Kolejne dni przepustki spędziłam na gapieniu się w telewizor. Nie chciało mi się nigdzie wychodzić. Czułam się jak wieloletni skazaniec, który po wyjściu z więzienia od razu ukradł rower, bo nie miał dokąd pójść, i na własne życzenie wrócił do celi.

Wyskoczyłam tylko do fryzjera, żeby zrobić sobie na głowie tak zwanego języka. Fryzjer bardzo się dziwił, że tak wypadają mi włosy.

— Szybko na pani nie zarobię — żartował.

Mój żołądek widocznie jakoś trawił świąteczne jedzenie, bo coraz rzadziej wymiotowałam. W zeszycie, który wypełniłam oczywiście ostatniego dnia, napisałam, że moje wymioty to już przeszłość. Opisywałam swój wyczyn, czyli odkurzenie jednego pokoju, jakby to było posprzątanie wieżowca.

I trzeba się było w końcu pakować. Zabrałam kilka książek, zapas papierosów, coś z bielizny. W autobusie nie odezwałam się do matki ani słowem, miałam walkmana na uszach. Był znakomitą wymówką, że i tak nie słyszę, co do mnie mówi. Nie chciałam nawet, żeby przekraczała szpitalną bramę. Niestety, musiała mnie zwrócić za pokwitowaniem...

Więzień po przepustce

Wchodzę do sali obładowana paczkami ze świątecznym placikiem i innymi przysmakami babci, gdy nagle siaty wypadają mi z rąk. Na łóżku siedzi Magda i je zupe. Z wrażenia głos mi odebrało. Macha do mnie ręką i mówi cześć. Myśli, że jestem tu nowa, bo elegancko się przedstawia.

Z pomocą przychodzi mi Beata, która już się nieco oswoiła, z nagłym uzdrowieniem Magdy.

— To jest nasza współspaczka. Kiedy leżałaś jak powalony burzą pień, trochę się basenów nadźwigała.

— Dziękuję — mówi Magda. Chce się jakoś w tej sytuacji zachować, ale widać, że rzeczywiście słabo kojarzy. Zupełnie' nie wie, co się z nią działo przez te wszystkie miesiące. Niczego nie pamięta, po prostu dziura w mózgu.

Opowiadamy jej, jak tu jest, plotkujemy o lekarzach, o personalu, takie szpitalne gadki. Wchodzą dziewczyny z innych sal,; które wróciły z przepustki. Każda ma mniej więcej taką minę jak ja.

— A już stawiali na tobie krzyżyk — mówi Maja, która rzadko się odzywa, ale widać, że i ją lekko zszokowało to cudowne uzdrowienie. — Jesteś dowodem na potęgę medycyny, pewnie będą cię pokazywać jak królika doświadczalnego. Chcieli cudu, mają cud. Ze mną im tak łatwo nie pójdzie, schudłam podczas świąt trzy kilo — mówi z dumą. — Matka szaleje. No i dobrze. Na oddziale dla dorosłych też się znajdzie jakieś miejsce. Niech sama zobaczy, jak fajnie jest w wariatkowie.

— Widziałyście nową? — pyta Beata.

— A co, jest coś ciekawego? — zamieniamy się w słuch.

— Rekordzistka, trzydzieści cztery kilo. Podłączona do kroplówek, przywiązana, żeby nie mogła ich powyrywać. Wygląda jak ukrzyżowany Chrystus.

Biegniemy zobaczyć. Faktycznie, widać tylko wielkie oczy.

Są szeroko otwarte, ale nie wiemy, czy dziewczyna nas widzi.

Leży nieruchomo, jak kiedyś Magda. Pielęgniarka wygania nas z sali.

— Na siebie popatrzcie, też jest na co. A zresztą, może wreszcie rozum wróci wam na właściwe miejsce — macha ręką. — To wszystko z tego dobrobytu. Jak byście nie miały co jeść, to i chleb ze smalcem by wam smakował jak szynka, a tu patrzcie, córeczki samych bonzów, licealistki, paniusie. Do ro-

boty pognać, w domu byście pozasuwały i w gospodarstwie, jak moje dzieciaki, to by wam od razu ta głupota przeszła. A te tylko w telewizor się gapią i chude piszczele oglądają po gazetach. Baba to musi mieć i na czym siedzieć, i czym oddychać, a nie, jak ją chłop pod pierzyną dorwie, żeby kości musiał liczyć.

Często tak sobie pogaduje, ale nam to nie przeszkadza, lubimy ją. Nieraz przytuli na korytarzu.

— Do matki tęsknisz? — zapyta, pocieszy. Jak list od chłopaka przyjdzie, każe przysiady robić.

Inaczej niż te zarozumiałe lekarki, niedostępne, pewne swojej wiedzy. I ten mentorski ton:

— Zastanów się, przemyśl swoje postępowanie. Czy zdajesz sobie sprawę z konsekwencji?

Nienawidzę tego mądrego gadania, tylko mnie wkurza. Inne dziewczyny też, ale dla świętego spokoju nikt się nie odzywa. Po południu przyjeżdża matka Magdy, obładowana prowiantem jak dla wojskowej kompanii. Upiekła drożdżowy placek, kurczaka, kotlety. Całuje nas na powitanie. Widzę, jak bardzo jest szczęśliwa.

— Doktorzy do dziś nie wiedzą, co mojej córce było, a tacy mądrzy. Ale Święta Panienska wysłuchała naszego błagania. Ze wszystkimi dziećmi pojechałam do Lichenia. Klękaliśmy przed świętym obrazem, prosiliśmy o cud. I uczyniła. I to w sam dzień Narodzenia Pańskiego.

— Wigilię wcześniej spożyliśmy, powiedziałam dzieciom: „Trudno, zostańcie z dziadkami, ja do Magduni pędzę, żeby z pierwszą gwiazdą zdążyć” — opowiada przejęta. — Patrzą, co się dzieje, a ona jakaś odmieniona. Na buzi rumieńce, chociaż przedtem biała była jak to prześcieradło. Rękę wyciąga, nie pozna, ale po chwili pyta: „Mamo, gdzie ja jestem?” Głos mi odebrało, tylko łzy się puściły z oczu jak grochy. Na kolana przed łóżkiem padłam i Świętej Paniencie dziękować zaczęłam, że mi dziecko do życia wróciła.

Potem opowiedziałam córce, co się stało, że nie było już ratunku, że leżała zupełnie bez życia. Ale ona nic nie pamięta, nie wie, jak ją na sygnale do szpitala wieźli. To było akurat po dyskotecce, myślę, że jakiś łajdak chciał jej krzywdę zrobić, bo ledwo się do domu doczołgała z tej zabawy. Pytałam, prosiłam — powiedz. A ona nic, głosu nie wydaje, ręką ani nogą nie porusza, jak paraliżem tknięta. Wołam sąsiadkę, wodą dziecko najdroższe polewam, a ona jakby umierać chciała. Sąsiad po

karetkę zadzwonił i tak się tu dostałaś, maleństwo moje — mówi do córki.

Siedzą na łóżku przytulone, Magda zajada rosół ze słoika, matka ją głaszcze i tuli. Przychodzi rehabilitantka, masuje chude nogi Magdy, po tak długim leżeniu trzeba je pobudzić do życia. Potem pomaga dziewczynie wstać, my z Beatą podtrzymujemy ją pod jedną rękę, matka pod drugą i zaczynamy spacer do okna, do drzwi, do toalety i z powrotem do łóżka.

Mama Magdy częstuje nas drożdżowym plackiem, chociaż tłumaczymy, że przywiozłyśmy ciasto z domu.

— Jedzcie, córeczki, bo wy tu wszystkie moje. Za Magduni zdrowie. Za was też się modliłam, nie tylko o swoje dziecko prosiłam. Skoro Pani Licheńska już raz sprawiła cud, to i o was nie zapomni.

Widzę, że Beata ociera ręką łzę. Mnie też chce się płakać, wtulić w ramiona tej obcej kobiety, wykrzyczeć cały swój żal do świata. Ale się wstydzę, uciekam na korytarz, może jakaś laska poczęstuje fajką.

Na korytarzu pusto, tylko z sali słyhać śmiechy. Nie mam ochoty tam wchodzić, patrzę na ośnieżone podwórko, widzę jak salowe ciągną gary z kolacją.

A gdyby tak otworzyć to okno? Po chwili trzeźwieję, przecież nie tylko drzwi otwierają się wyłącznie w jedną stronę. Okna też zabezpieczyli, nawet są specjalne szyby, o które nie można się pokaleczyć. Wszystko przewidzieli...

Co z tobą zrobić?

Szpitalne dni i ranki są do siebie podobne jak bliźniaki jednojajowe. Mierzenie temperatury, waga, terapia, rozmowy, które satysfakcję przynoszą chyba jedynie pani psycholog. Z dziewczynami znamy się już jak łyse konie. Jedne są fajne, inne mniej. Tak jak w życiu, nigdy nie ma się stu procent tego, co by się chciało mieć.

Najfajniejsze są opowiadania o tym, gdzie dziewczyny chowały jedzenie. Kamila na przykład karmiła nim kota, który o mało nie zdechł z przejedzenia. Inne zakopywały chleb w doniczkach z kwiatami, wyrzucały przez okno, kanapki wkładały do kozaczków, żeby po wyjściu z domu spokojnie wyrzucić. Bulimiczki mówią, że ich rodzice zakładali nawet kłódki na lodówkę, żeby nie mogły się obżerać, a one i tak ciągle znajdowały tajemne miejsca, by schować coś na noc.

Kaśka wspomina, że kiedyś zjadła dwadzieścia dwa pączki. Wszystkie, które jej babcia przyniosła z okazji Tłustego Czwartku. Oczywiście nie pochwaliła się rodzicom. Babcia dzwoni i pyta, jak im smakowały pączki, a matka z ojcem pytają — jakie? No i się wydało.

Teraz Kaśka stara się panować nad głodem, ale mówi, że jej największym marzeniem po wyjściu ze szpitala jest zjeść choćby i czterdzieści pączków. Schudła, to prawda. Chociaż wcale nie jest z tego zadowolona. Mówi, że przedtem wymiotowała z przejedzenia, a teraz z głodu.

My nie lubimy swojego ciała, ona swoje kocha. Niby to samo, ale w drugą stronę. Nie jest typową bulimiczką, cierpi z powodu zwykłego obżarstwa i, moim zdaniem, zamiast tutaj< powinna trafić na wczasy dla odchudzających. Tyle, że jej jedzenie ma podobno podłoże nerwowe, czyli wspólne nam wszystkim. Rozumiem Kaśkę, chociaż nie do końca akceptuję fakt, że ktoś chce się świadomie oszpecić i przypominać wieloryba. Ona odcina się czasami, mówiąc na nas szkieletory. Wybaczam jej, w końcu skoro wymagam tolerancji dla siebie, powinnam mieć ją dla innych.

Pani doktor po raz kolejny sprawdza moje wyniki badań. Nie są najlepsze, ale ustabilizowane. Okazuje się, że podczas świąt przytyłam jednak dwa kilogramy. Skoro nie udało się tego osiągnąć w szpitalu, widocznie pobyt w warunkach domowych dobrze mi zrobił. Zaczynają kombinować, żeby mnie wypisać,

wyraźnie to widzę. I nie mam nic przeciwko temu.

Pani psycholog przegląda zeszyt.

— O, widzę, że się przyłożyłaś. Oczywiście notatki robiłaś tak jak kazałam, każdego dnia?

Kłamię, że tak, starałam się notować wszystko, co ważne, napisałam nawet o gwiazdkowym prezencie, o rodzinnej atmosferze i nie wymiotowałam. Oczywiście brednie, ale skoro tak chce, to proszę. Słowem nie wspomniałam o awanturze z matką, o całej beznadziei rodzinnych świąt, o tym, jak nienawidzę swojego ojca. Nie opisałam swojego fantastycznego snu o życiu na bezludnej wyspie, tylko z moimi prawdziwymi rodzicami, gdzie byliśmy najszczęśliwszymi ludźmi na świecie. Nie było jakiejś „jej”, jakiegoś „jego” i innego dziecka oprócz mnie.

Nagle, ni z gruszki, ni z pietruszki, pytam panią od psychologii naszych dusz, co sądzi o Marilyn Monroe. Najpierw zaniemówiła zaskoczona. Po chwili mówi:

— Ach, to ta głupia, słodka blondynka z dużym biustem. Czytałam kiedyś jej biografię, typ kociaka. Takie ci odpowiadają? To dziwne. Wcale nie jesteś do niej podobna, ani biust, ani włosy. To o co chodzi z tą Marilyn?

— Tego się spodziewałam! Nie stać panią na inne sądy niż obiegowe! — krzyczę. — Najłatwiej postrzegać tylko ciało. Blondynka, znaczy głupia, ładna, znaczy kurwa — prawda? A może wypadałoby zdobyć się choć na odrobinę refleksji, czy nie krzywdzi się w ten sposób człowieka.

Pani psycholog przypomina teraz rybę. Wytrzeszcza oczy, zaczyna tąpać oddech, jakby się dławiła. Plecie coś w stylu:

— Nie chciałam urazić twoich uczuć, przepraszam, nie wiedziałam, że to dla ciebie takie ważne.

Ja jednak nie słucham, wybiegam z pokoju, trzaskam drzwiami. Ona krzyczy:

— Wracaj!

Niech sobie krzyczy!

Widzisz, Marilyn, nie tylko przed facetami musiałaś się bronić, także przed kobietami z kurzym mózdzkiem, które uzurpują sobie prawo do wchodzenia w czyjąś duszę.

Następnego dnia moje zachowanie jest omawiane na tak zwanej grupie. Pani mówi, dziewczyny nie bardzo wiedzą, o co chodzi z jakąś aktorką, a ja milczę. Tylko w ten sposób mogę zignorować osobę, która uparła się, aby cię zranić, Marilyn.

Za moje zachowanie cofnięto mi zgodę na telefony do domu.

Na złość zwymiotowałam na korytarzu, chociaż wcale nie zamie-

rzałam nigdzie dzwonić. Salowa kazała mi iść po szmatę i sprzątać. Kiedy wycierałam niezbyt pięknie pachnące co nieco, podeszła do mnie ulubiona gderająca piguła.

— I po co tyle emocji, dziecko? Niepotrzebnie. Nie jesteś jeszcze zdrowa, oszczędzaj siły. Chodź, zaparzę ci miętę.

Pijemy, opowiadam, o co poszło, a ta piguła nagle mówi:

— Fajna kobitka była z tej aktorki. I taki los ją spotkał. Nie ma sprawiedliwości na świecie. Czasem ludzkie języki gorsze niż nóż w serce.

Nagle podbiegam i daję jej całusa. Opędza się jak przed uprzykrzoną muchą.

— No co ty, dziecinko, no co? — Ale w końcu przygarnia mnie ramieniem. Jest spocona, jednak nie przeszkadza mi to. Czuję ciepło, które od niej bije. I tak trwamy długą chwilę, aż zawstydzona uciekam do sali.

Niedługo wypiska

Kolejny rodzinny seans ma dać odpowiedź, czy dalszy pobyt w szpitalu jest niezbędny na tym etapie mojej choroby. Pani psycholog, lekarka, matka, tym razem rodzony ojciec, no i ja jako skazaniec, na którego mają wydać wyrok.

Problemy z jedzeniem wynikają z nieumiejętności radzenia sobie w życiu. Takie jest zdanie lekarzy i psychologów. Żeby to zmienić, muszę zacząć je na własny rachunek, ale nie w wyizolowanym środowisku szpitalnym, tylko poza nim. Istnieje możliwość leczenia mnie jako pacjentki dochodzącej. Musiałabym się tu zgłaszać na określone badania, na spotkania z psychologiem. Takie rozwiązanie bardzo mi pasuje, ale nie chcę wychodzić przed orkiestrę. Zresztą, może próbują mnie sprawdzić? Powiem, że tak, zinterpretują opacznie, lepiej poczekać na rozwój wydarzeń...

Najpierw zaczyna się zwykły magiel pytań: jak oceniam pobyt w Z., czy dostrzegam także dobre strony decyzji rodziców, o umieszczeniu mnie tutaj.

Bredzę, że oczywiście tak, że doceniam, co dla mnie wszyscy robią. Resztkami sił powstrzymuję się od powiedzenia prawdy: nie udało się, nic nie osiągnęliście! Nie dałam wam satysfakcji! Chociaż może jedno mogłabym zapisać na plus. Od dawna tyłu ludzi nie interesowało się moim przypadkiem. Nawet kochany tatuś włączył się w akcję ratowania ginącego dziecka. Wysupłał z portfela swojej żony trochę grosza na jogurty i pomidory. Okazał się też pomocny w dostarczeniu mnie tutaj, czyli podjął jakiś wysiłek. Może mu za to dobra Bozia postawi plusik w niebie. Oczywiście jeżeli wcześniej zapomni, że zamiast do krainy szczęśliwości, zawiózł mnie do domu wariatów. A ona ma podobno dobrą pamięć, więc zbytnio bym na to nie liczyła.

Na pytanie, jak sobie wyobrażam swoją samodzielność, wypalam z grubej rury: tylko poza domem, bez toksycznej matki, jej nadopiekuńczości, za to z dużym kredytem zaufania.

Matka błędnie, nie była przygotowana na taką odpowiedź.

Mówi, że bardzo chciałaby mi zaufać, ale wszystko, co ostatnio zdarzyło się w moim życiu, obróciło to zaufanie w ruinę.

— Jak można ufać komuś, kto oszukuje, doprowadza swój organizm do tak wielkiego wyniszczenia? — pyta.

Niestety, pani psycholog jest innego zdania. Mówi, że mimo

tych doświadczeń należy mi zaufać, bo po prostu nie ma innego: wyjścia. Skoro chcę podjąć próbę samodzielnego życia, trzeba mi to ułatwić. Internat jest, jej zdaniem, dobrym miejscem. Matka broni się jak potrafi, widzę, że jest przerażona.

— Skoro córka nie je w domu, jaka jest gwarancja, że będzie jadła poza nim? — pyta.

— Nie ma żadnej, ale jest szansa, że skorzysta z możliwości właściwego wyboru — konkluduje przysłuchująca się rozmowie lekarka.

Matka się poddaje. Ustalają, że najlepiej, jeżeli będzie to internat w Z., żeby mogła dochodzić na badania. Teraz należy tylko załatwić przeniesienie ze szkoły, miejsce w internacie, co podobno nie jest proste w trakcie roku szkolnego. I uporać się ze wszystkim do końca ferii, abym mogła zacząć nowy semestr już w Z. Tatuś nie jest tym rozwiązaniem zachwycony. Uważa, że lekarze idą na łatwiznę, chcą się mnie pozbyć. Wiem jednak, że przede wszystkim boi się, że oprócz alimentów będzie musiał płacić choćby w połowie za internat.

— Moim zdaniem córka powinna mieszkać z matką, bo jest nieodpowiedzialna. Bez kontroli dorosłych znowu wyląduje w jakiejś melinie. Uprzedzam tylko, że drugi raz nie będę jej już stamtąd wyciągał — mówi.

Lekarka przypomina mu, że jako rodzic też ma prawo, a nawet obowiązek włączyć się do opieki nade mną. Mój szarmancki tatuś odpowiada, że skoro wychowuje mnie matka, nie będzie się mieszał w te sprawy. Zresztą gdybym od początku była z nim, nie byłoby żadnych problemów.

— Skoro sąd powierzył dziecko matce, nie mogłem wpływać na jej postępowanie ani eliminować błędów wychowawczych, co najwyżej nieco je korygować — oświadcza głosem nie budzącym sprzeciwu. Patrzy na matkę z nieskrywaną pogardą, nie słyszy komentarza pani psycholog, że wyznaczył sobie dosyć wygodną rolę w moim wychowaniu.

Spotkanie dobiega końca, za tydzień będę na wolności. Ta wiadomość dodaje mi skrzydeł. Wychodzę na korytarz, żeby pogadać z matką. Żal mi jej, każde spotkanie z ojcem to wielki stres, a dzisiaj dał wyjątkowy popis swojej elokwencji.

— Nie łam się. Zawsze umywał rączki od problemów. Obraził się, bo nie realizuję jego oczekiwań. Dureń! — mówię.

A gdybym urodziła się sparaliżowana albo jako debilka? Tak też mogło być. Wtedy miałyby prawo mówić, że z powodu tragicznego zrządzenia losu nie spełniłam jego nadziei. Teraz mu nie

wolno, to nieuczciwe. Najchętniej wygarnęłabym mu, że widocznie słabo się przyłożył, kiedy mnie płodził, skoro wyszłam inna, niż zaplanował. Niestety, nie dał mi szansy, na szpitalnym korytarzu ominął mnie i matkę dużym łukiem.

— Spadaj, facet — wycedziłam przez zęby. I takie było nasze pożegnanie.

Nigdy więcej w Z.

Kiedy dziewczyny z sali dowiedziały się o mojej planowanej wypisce, kazały mi zrobić dwadzieścia przysiadów. No to zrobiłam, zresztą każda z nas zrobiłaby ich nawet dwieście, gdyby w tej chwili mogła zamknąć za sobą drzwi wariatkowa.

Beatę też mają wypisać. Snujemy plany, jak to będzie, kiedy ta chwila nastąpi. Myślałyśmy nawet o tym, że może uda się chodzić razem do liceum, ale ona, niestety, jest w klasie francuskiej, a ja o tym języku nie mam zielonego pojęcia.

Przysłuchująca się naszej rozmowie Maja niespodziewanie wylewa na nas kubek zimnej wody.

— Zawsze tak jest na początku. Obracasz się tylko wśród swoich znajomych z wariatkowa, bo to jest twój świat, który dobrze znasz. Ale do czasu. Szybko nastąpi taki moment, kiedy będziecie chciały zapomnieć o tym, że tu w ogóle byłyście. Ze mną i z Jagną też tak było. Dzisiaj, kiedy się spotykamy, udajemy, że się nie znamy. To podobno naturalny mechanizm czyszczenia pamięci i dowód zdrowienia. Ja nie za bardzo się nadaję na przykład, bo znowu tu jestem, ale Jagna nabrała ciała, czyli dała sobie spokój. Zresztą tego się spodziewałam. Trzeba mieć charakter, żeby żyć tak jak się chce — mówi i z wysoko podniesioną głową wychodzi z sali.

Postanowiłyśmy nie wierzyć Majce.

— Zarozumiała mała — wyrywa mi się. — Jest zazdrosna o naszą przyjaźń, głupia gówniara.

— Pozerka, cały czas się zgrywa. Co taka może wiedzieć o prawdziwej przyjaźni? — dodaje Beata.

Planujemy wszystko w szczegółach. Przede wszystkim nie dać się sprowokować, żeby nie cofnęli decyzji o wypisce, żadnych numerów na terapii. W końcu, jak chcemy, to potrafimy, no nie?

— Oby się tylko udało z tym internatem — martwi się Beata, ale ją uspokajam. Nie zna mojej mamuski. Jak się zawężmie, będą na mnie czekały trzy miejsca, a nie jedno.

Czuję się tak, jakby wyrastały mi skrzydła. Wreszcie koniec wariatkowa. Jeżeli tylko wyjdę stąd na wolność, już nikt mnie tu nie zobaczy. Pacjentka dochodząca — chyba musieliby dostarczyć mnie w kaftanie. I co? Jeśli mi się pogorszy, znowu mnie tu wsadzą? Niedoczekanie! Na szczęście niebawem będę już pełnoletnia, a wtedy wszyscy mogą mi skoczyć!

Najchętniej od razu zaczęłabym się pakować, ale jeszcze nie pora. W nocy z podniecenia nie mogę spać, myślę o miesiącach spędzonych w zniechęcającej szpitalnej sali, o moim życiu w odosobnieniu. Bilans nie wypada najgorzej. Nie poddałam się, moje ciało nadal należy do mnie, ja nim rządę, ja je karzę i nagradzam. Jest moje, tylko moje. Nawet jeśli boli, to przecież mój ból. I nikt inny nie ma do niego prawa.

Przedemną jeszcze kilka rozmów, pani doktor wypisuje recepty na prozac i inne leki, omawiamy plan moich kolejnych wizyt w szpitalu. Oczywiście na wszystko chętnie się zgadzam, bo tylko tak kupuję sobie spokój. Co zrobię, to już wyłącznie moja sprawa. Nawet Beacie nie zwierzam się z mojego postanowienia, by nigdy tu nie wrócić. Nie ufam nikomu. Licho nie śpi.

Tydzień mija pod znakiem rozstań. Pierwsza wychodzi Magda, okazała się naprawdę fajną dziewczyną. Tylko po pobycie tutaj rzeczywiście została jej dziura w mózgu. Nic nie pamięta, ani jak leżała bez kontaktu z otoczeniem i jakiegokolwiek świadomości, ani jak się tu dostała. Chociaż może wie, tylko nie chce powiedzieć? Jeszcze niedawno wydawało się, że ze szpitalnej sali trafi wprost na cmentarz, a teraz wygląda jak okaz zdrowia. Matka przyjeżdża po Magdę ze wszystkimi dziećmi. Nagle na szpitalnym korytarzu robi się tłok jak na dworcu. Nie ma tylko psa. Jej młodsze siostry wnoszą dwa wielkie torty. Jeden dla lekarzy i pielęgniarek, drugi dla nas. Są nawet świece. Wprawdzie Magda swoje urodziny będzie obchodzić za kilkanaście miesięcy, ale tu, w szpitalu urodziła się przecież na nowo. Era kuje tylko balonów, żeby było jak na pikniku.

Na pożegnanie jej matka wszystkie nas całuje i kreśli na czoło znak krzyża. Kiedy tak stoimy w kółku, czekając na błogosławieństwo tej wiejskiej kobiety, trochę chce mi się śmiać, ale nic nie wypada. Zresztą jest w tej podniosłej chwili jakaś magia, wszystko się jej poddajemy.

Moje pożegnanie już bez fanfar, bo i powodów do świętowania brak. Jestem chuda jak byłam, więc terapia nie na wiele się zdała. Jeszcze mniej zrobiono z moją świadomością, ale nie dałam im żadnych szans. Dostaję tylko kopa na szczęście od dziewczyn. Każą mi też wszystko zabrać, bo jeżeli zostawię cokolwiek, bankowo tu wrócę.

Na korytarzu spotykam moją ulubioną gderającą pigułę. Nie mam dla niej nawet kwiatka. Daje mi całusa na pożegnanie i mówi:

— Mięty się napijemy, jak będziesz tu wpadać po leki.
Obiecuję, że tak. Ogarnia mnie ramieniem, czuję jej bliskość.;
Chciałabym jej powiedzieć, że tylko za nią będę tęsknić, ale się
wstydzę, nie wiem, jak przyjęłaby takie wyznanie. Więc lepiej
nic nie mówić.

Po chwili zamyka się za mną szpitalna brama. Matka taszczy
torby, a ja biegnę witać wolność. Jej słodki smak. Już nigdy nikt
mnie tu nie zobaczy. Przyrzekam!

Nowe życie

Najpierw dwie godziny siedzę w wannie, chcę z siebie zmyć szpitalny zapach. Wyrzucam do śmieci dres, w którym „mieszkałam” przez kilka miesięcy w Z. Chciałabym wymazać z pamięci także czas, ale wiem, że to niemożliwe.

Po południu dzwoni Beata, umawiamy się na spotkanie w Z., jednak w bezpiecznej odległości od szpitala. Dziwne, nawet Igły nie chce mi się zawiadomić, że wróciłam. Nagle wydaje mi się kimś tak dalekim, jak moja klasa, szkoła, dawne koleżanki. Ten świat już dla mnie umarł. Przestałam do niego należeć. W domu traktują mnie jak kogoś ciężko chorego i obchodzą się ze mną jak z jajkiem. Matka biegnie do apteki po lekarstwa. Nie protestuję, bo nie chce mi się wychodzić z domu. Gapię się w telewizor, snuję z kąta w kąt. Nie wiem, co mam robić.

Przeładam książki, kompletuję zeszyty, chociaż tak naprawdę nie mam ochoty jechać do żadnej szkoły. Najlepiej byłoby, gdyby pozwolili mi zostać na drugi rok, leżeć na wersalce i patrzeć w sufit aż do znudzenia.

Jak się spodziewałam, matka załatwiła to co niemożliwe w ekspresowym tempie. Za dwa dni mam się zgłosić w szkole i internacie. Na biurku czeka na mnie świadectwo z ocenami z dawnego liceum. Nie wiem, jakim sposobem, ale zaliczyli mi semestr. Oczywiście na samych miernych. A więc i tym razem moja rodzicielka dokonała cudu. Pyta, czy rzeczywiście nie zmieniłam zdania i chcę mieszkać poza domem. Uświadamiam jej, że jest to jedyne wyjście, jeżeli mam wrócić do szkoły. Widzę, że nie ma już sił ze mną walczyć. Ojczym jak zwykle komentuje „życzliwie”:

— Niech jedzie, jeszcze jej się wody do uszu należy. Zabraknie mamusi i babci na usługi. Nie wypierze majtek, będzie chodziła w brudnych.

Nie wytrzymuję. Krzyczę:

— Przywiozę je do domu, żeby mamusia miała zajęcie!

Ale mój wybuch złości jest tym razem wyjątkowo krótki. Nie chce mi się słuchać tych bezsensownych uwag, zakładam na uszy walkmana i odgradzam się Jimmym Hendrixem od całego świata. Potem idę spać.

Jestem tak zmęczona, że nawet nie mam siły zaparzyć ziółek oczyszczających. W szpitalu nie bardzo mogłam, bo mimo wszyst-

ko byłoby to dosyć niebezpieczne ze względu na „życzliwe” osoby. Obiecałam sobie, że kiedy wrócę, zrobię cały termos prawdziwej siekiery. Trudno, co się odwlecze, to nie uciecze. Za kilka dni będę prawdziwie wolna, wtedy powetuję sobie dzisiejszą stratę. Rano podkradam babci 50 złotych. Wiem, że ze strachu nikomu nie zakabluje. Potem jadę na spotkanie z Beatą. Moja kumpela już czeka na dworcu. Najpierw robimy krótki rekonesans po mieście, żeby sprawdzić, ile minut potrzeba na przejście z jednej szkoły do drugiej. Niestety, aż pół godziny. Nie najlepiej, ale dla chcącego...

Potem wpadamy do knajpy, przychodzą kumple Beaty, dosyć fajni. Po dwóch piwach mam ochotę na coś mocniejszego. Jeden z nich od razu wie, o co chodzi.

— Służę uprzejmie, towar pierwsza klasa, tylko pieniądze do rączki — mówi. Wiadomo, obcemu na krechę nie da. I tu go rozumiem, jego biznes, więc pilnuje.

Starcza nam na małe działki amfy, muszę przecież mieć forszę na powrót do domu. Beata opowiada o naszym pobycie w wariatkowie. Widzę, że wyraźnie ją rozkręciło. Trudno, niech pepla, jak musi. Ja mimo wszystko staram się być ostrożna. Jeden z kumpli stwierdza z radością:

— O, to wy świry jesteście, a ja myślałem, że normalne, tylko naćpane.

— Sam jesteś świr. Chodź Bea, spadamy — zarządzam odwrót. Moja koleżanka wyraźnie nie ma ochoty, ale jestem nieustępliwa. Nie pozwolę, żeby jakiś łachmyta nas obrażał. Co prawda, ma niezły towar, ale to jeszcze nie wszystko.

Trzeba wracać. Dwa dni szybko miną i znowu będziemy razem. Beata odprowadza mnie na dworzec, wsiadam do autobusu, który wlecze się jak pijana gąsienica, w dodatku śmierdzi w nim spalinami. Jest okropnie. Po amfie zaczynam mieć dreszcze, nic dziś nie jadłam, może dlatego? Albo mój organizm odzwyczaił się od prochów.

W domu natychmiast padam na łóżko. Nie jem kolacji, babcia przynosi mi herbatę. Matka nieproszona tu nie wchodzi. Nie ma odwagi, chociaż to trochę głupie, żeby bała się wejść do pokoju własnego dziecka. Taki układ. Nie wymyśliłby go sam Elia Kazań.

Następnego dnia upycham do torby mój skromny majątek: jakiś sweter, trochę bielizny, spodnie. Nie zapominam o termosie. Podjęłam decyzję, że jeszcze dzisiaj wynoszę się do Z. Przez chwilę waham się, czy zdjąć ze ściany ukochany plakat, ale w końcu

rezygnuję. Zostań tutaj, Marilyn. Będę miała do kogo wracać. Beata obiecała mi godne powitanie, mamy się zabawić u jej przyjaciółki, gdzieś na peryferiach. Teraz najważniejsza jest kasa. Otwieram znaną mi szufladę. Okazuje się, że mamusia straciła czujność, bo pieniądze leżą sobie ot tak, jakby na mnie czekały. Odliczam 600 złotych. Babcia poszła z małą na spacer, więc teren jest bezpieczny. Ale trzeba się spieszyć. Zostawiam kartkę: Wyjechałam do internatu. Żegnam, odezwę się!

Dobrowolne zesłanie

Po imprezie u przyjaciółki Beaty mam gigantycznego kaca. Drugi, ale pewnie nie ostatni raz w życiu urwał mi się film. Dzisiaj trzęsie mnie z głodu i zimna. Głowę mam ciężką jak lekarska piłka, a tu jeszcze trzeba się wlec z torbą do wymyślnego przeze mnie miejsca dobrowolnego zesłania.

Biorę taksówkę, chociaż podprowadzona matce forsa topnieje w oczach. Ciekawe, czy już się zorientowała, że w znacznym stopniu uszczupliłam jej budżet? A może czeka na mnie u wrót internatu razem z policją? Nie, na to na pewno nie byłoby jej stać. Jak się okazuje, w ohydny szarym budynku, przypominającym więzienie, najważniejszym miejscem jest portiernia. W okienku siedzi jakaś straszna ropucha i glamie bułkę.

Mówię:

— Dzień dobry, jestem nowa. Gdzie mam się ulokować?

Patrzy na mnie z niechęcią, sprawdza coś w zeszycie, potem ogląda moją legitymację szkolną tak, jakby to było zaświadczenie o tym, że zachorowałam na tyfus plamisty albo inną zarazę. Wreszcie, nie patrząc w moją stronę, rzuca klucz — pokój numer 13. Otwieram drzwi, zamek lata na wszystkie strony. Wnętrze obrzydliwe. Na stoliku słoik ze smalcem, pokruszony chleb. Moje łóżko stoi w rogu, między zlewem a szafą. Zastanawiam się przez chwilę, jak w takim upiornym miejscu można w ogóle żyć. Na dłuższą refleksję nie mam siły i chęci. Walę się na łóżko, przykrywam burym kocem i ruszam w kimę. Do wieczora nie zbudzi mnie nawet armatni wystrzał.

W końcu słyszę jakieś głosy, widocznie wróciły właścicielki dwóch pozostałych łóżek. Chyba w moim wieku, ale straszne wieśniary. Otwieram jedno oko i mówię:

— Te, panna, zrób mi herbaty.

Po chwili dziewczyna stawia przede mną gorący kubek ledwie zabarwionego wrzątku. Ohyda, bez smaku i koloru. Łykam i znowu padam na poduszkę.

Nie chce mi się z nimi gadać, ale będę musiała, przynajmniej po to, żeby ustalić jakieś zasady. Muszą wiedzieć, co mówić, kiedy zadzwoni ukochana mamusia, odmeldować wyjazd do domu, gdy nie będzie mi się chciało wracać tutaj na noc. Co do palenia, nie zamierzam wychodzić z pokoju, więc muszą się przyzwyczaić, jeżeli nie palą. Innych wymagań nie mam, poza tym, żeby nie wtrącały się w moje życie.

Przestraszone słuchają co mam im do powiedzenia. Zaczynam od herbaty i komunikuję, że sików nie piję. Na przyszłość co najmniej dwie łyżeczki esencji, niech sobie zapamiętają, bo nie lubię się powtarzać. Jeśli na mnie zakablują, że palę w pokoju, pożałują. Na szczęście też palą, ustaliśmy dyżury przy oknie i drzwiach — to znaczy one będą dyżurować na zmianę, żebym mogła spokojnie kopcić. W nocy mogą się uczyć, do której chcą, tylko niech pamiętają, że kiedy stuknę w szybę (mieszkamy na parterze), mają mi otworzyć okno, tak by nikt nie słyszał. Zgadza się, obiecują nawet robić ściągi na klasówki.

Nie wiem dlaczego są takie uległe, może ze względu na moją prawie łysą głowę. Jeżyk wprawdzie trochę odrósł, ale nadal wyglądam podejrzanie. Jedna z nich pyta, czy chorowałam. Uspokajam, że przeciwnie, zdrowotnie nic mi nie dolega, a włosy strzygę na pałę, bo taki mam styl.

— W tej szkole cię zjedzą — uprzedza drobna blondynka, która na pewno nikomu nie podpadnie. Doceniam jednak szczerą jej wypowiedź.

— Nie martw się, nie pozwolę się gnębić, nie tacy próbowali — wyjaśniam. Dziewczyna milknie, nie wiem czy ją przekonałam, ale do tematu już nie wraca. Oglądam ich zeszyty, niewiele straciłam mimo pobytu w wariatkowie. Z materiałem jestem do przodu. Marna ta szkoła, bez problemów dam sobie radę, oceniam.

Późnym wieczorem dzwoni matka.

— Jak mogłaś mi to zrobić? — płacze do słuchawki. — Miałam odłożone pieniądze na czynsz. Zaufałam ci, a ty mnie okradłaś. — Za wielkie słowo, od razu okradłaś, po prostu wzięłam, bo były mi potrzebne na zagospodarowanie. Gdybyś sama dała mi wcześniej jakąś godną kwotę, nie musiałabym zabierać — tłumaczę.

Matka nie chce słuchać moich wyjaśnień.

— Dla mnie to, co zrobiłaś, jest zwykłym złodziejstwem. Po raz kolejny się na tobie zawiodłam.

— No to cześć — kończę i rzucam słuchawkę, bo portierka wystawia ucho ze swojej komórki. Postanawiam, że nieprędko pokażę się w domu.

Nowa wychowawczyni stara się nie widzieć mojej prawie łysej głowy albo nie robi to na niej specjalnego wrażenia. Podejrzewam, że przezorna mamusia zrobiła mi tak zwane mocne wejście. Wygadała wszystko o mojej chorobie, uprzedziła, że jestem trudna, ale trzeba mi pomóc, żebym wyszła na ludzi. Inaczej na

pewno nie byłaby taka miła. Na polskim daję swój popisowy numer o egzystencjalizmie, bo akurat trochę pasuje do tematu. Matoły siedzą i nie czają, o czym mówię, ale belferka wyraźnie się zapala:

— O widzę, że będę miała partnerkę w dyskusjach.

Znam ten typ egzaltowanych i nawiedzonych polonistek, dla nich każda, która potrafi popleść na jakiś temat, to skarb. Już jest moja, czuję to. Trochę się pozgrywam, założę bajer na przerwie i będzie można załatwić jakieś zwolnionko, usprawiedliwić nieobecne godziny.

Sąsiadka z ławki daje ściągnąć na sprawdzianie z matmy.

Jestem zobowiązana, bo matma nie jest moim ulubionym przedmiotem. Dostaję czwórkę, matematyka jeszcze nie wie, jaki ze mnie orzeł. Nie będę jej uświadamiać. Są przedmioty, które olewam totalnie, chemia, fizyka to nie dla mnie.

Byłam w klasie humanistycznej, a tu tak zwany profil ogólny.

No, ale nie po to wywalczyłam samodzielność, żeby się przejmować szkołą. W takie idiotyzmy mogła uwierzyć tylko ukochana mama. To jej zależy na mojej edukacji, mnie wyłącznie na świętym spokoju.

Najpierw miałam pomysł, żeby wykupić w internacie obiady, ale mi przeszło. Myślenie o tym, że mam jeść, napawa mnie wstrętem. Tylko kawę mogę przełknąć bez obrzydzenia. Wieczorem zjadam kanapkę ze smalcem. Z trudem dobiegam do toalety. Jedzenie mnie zabija, niejedzenie również. Więc co mam robić?

Co ja tu robię?

Meta u Beaty, niestety, jest słaba, można z niej korzystać tylko kiedy jej starych nie ma w domu. I to też bywa dosyć niebezpieczne, bo mają zwyczaj wpadać w ciągu dnia. Kiedyś przysnęliśmy po paru piwach, a tu afera. Mamusia staje w drzwiach i wrzeszczy:

— Miałycie być w szkole! Oszukujesz mnie, Beata! Już tyle zajęć opuściłaś z powodu tej twojej wariackiej choroby i znowu to samo!

Zerwana ze snu kumpela nie bardzo potrafi się bronić, plecie, że nauczycielka od francuskiego zachorowała i odwołali sprawdzian. Matka oczywiście nie wierzy, chce dzwonić do szkoły, w końcu trzaska drzwiami, wygrażając:

— Żeby mi to było ostatni raz!

Mnie traktuje jak powietrze, myśli, że jestem złym duchem Beaty, i ma trochę racji. Tylko po co ta obłuda? Najpierw była niby zadowolona, że jej córka znalazła sobie przyjaciółkę w szpitalu, bo z powodu wspólnej przypadłości lepiej się rozumiemy, a teraz nie może na mnie patrzeć.

Wychodzi na to, że wszystkie matki są do siebie podobne. Ich dziecko jest w porządku, tylko ta druga jest zła. Za swoją pociechę dałyby sobie odrąbać rękę, chociaż tak naprawdę szkoda ręki. Może

po prostu łatwiej im żyć z tą myślą. Nie chcą wierzyć, że splodziły coś tak ułomnego, jak sprawiający kłopoty potomek.

Udaję, że nie widzę spojrzeń matki Beaty, zresztą moja jest taka sama. Winna była Igła, Karolina, Wilk i jego kumple, wszyscy, tylko nie ja. Inaczej musiałyby się przyznać do klęski.

Ojciec nie ma takich dylematów, może zwalić winę na mamusię, co zresztą robi, więc jego rączki pozostają czyste. Dobrze się ustawił, ma nieskalane sumienie, jest ponad to. Nie chce się babrać w bagnie, któremu na imię córeczka z problemami. Może sobie chodzić z dumnie podniesioną głową i mówić światu: „To nie ja, nie ja”. W końcu wystarczy nie patrzeć w lustro, nawet jeżeli się z tego powodu zatnie przy goleniu, i jest w porządku... Łapię się na tym, że ostatnio za dużo o nim myślę. Beata sprowadza mnie na ziemię.

— Co z tego, że mam oboje rodziców, skoro warczą na siebie jak wściekle psy. Ojciec ma jakąś babę na boku, matka z rozpaczy popija ze znajomą marynarzową, której ślubny ciągle w rej-

sie. Jaka masz gwarancję, że u ciebie nie byłoby tak samo? — tłumaczy mi jak dziecku.

— Nienawidzisz ich, bo cię zostawili, a ja dlatego, że nie stać ich na to, by powiedzieć sobie: dosyć, sorry i bye, bye. Nie będziemy się już więcej dręczyć. Może wtedy miałabym dla nich trochę szacunku — przekonuje mnie.

— Jak zaczynają się kłócić, od razu idę się wyrzygać. Czasami robię to tak głośno, że słyhać chyba na ulicy. A oni nic, tylko dalej sączą ten swój jad. Mogłabym utopić się w klozecie i nie zauważą. Tylko przed obcymi się zgrywają: proszę, dziękuję, przepraszam. Obłuda i nic więcej.

Nieglupie to, co mówi Bea, pod warunkiem, że założy się wariant pesymistyczny. A gdyby było inaczej?

— Przecież kiedyś się kochali. Ojciec z radości podobno pocałował lekarza w rękę, kiedy się urodziłam, bo nie zauważył, że to facet. Prał pieluchy, tarł marchewkę. Po dwóch latach małżeństwa byłam wymarzoną i wytęsknioną dziewczynką. I ta piękna bajka mogła trwać.

— Nie wszyscy się przecież rozwodzą i gnębią. Może miłość się z czasem wypala albo zmienia, jednak nie musi od razu przedać się w nienawiść. Dziecko to nie tylko źródło kłopotów, ale i radości — odpowiadam.

Beata, najpierw słucha tego, co mówię, wreszcie nie wytrzymuje:

— Naczytałaś się gazet, naoglądałaś kina rodzinnego. Obudź się, to nie film.

— Dlaczego nie pozwolisz mi wierzyć w bajki, dlaczego mi tego zabraniasz?! — krzyczę. — Ty także? Nawet jeśli prawdą jest to, co mówisz, nie chcę tej twojej prawdy, wolę mój film!

— W porządku, tylko gdzie ci wspaniali aktorzy? — pyta Beata. — Mamuśka z nowym facetem i nowym dzidziusiem, tatuś z żoneczką, psem i samochodem, a ty z anoreksją w ohydny internacie. I tak wygląda to twoje kino!

Nie mogę się opanować, walę pięścią w ścianę, kopię w nią, Beata mnie uspokaja:

— No już dobrze, przestańmy głupio gadać, bo trzeba cię będzie za chwilę ubrać w kaftan. I nie demoluj mi chaty. Głową muru nie przebijesz, nawet jeśli, jak mówisz, masz twardy łeb. Robi mi herbatę, palimy, powoli opadają emocje. Chce mi się już tylko płakać.

W sobotę pakuję się i jadę do domu. Trudno, najwyżej mnie matka spierze. Nie mogę dłużej wytrzymać w tym obcym mie-

ście, w moim miejscu na życie między zlewem a szafą. Czas zrobił swoje, matka nie wraca już do tematu pieniędzy, choć czuję, że ma do mnie ogromny żal o to, co zrobiłam. Pyta, jak mi w nowej szkole i dlaczego ciągle nie może porozmawiać ze mną przez telefon.

— Ty w ogóle bywasz w tym internacie? — pyta zrozpaczona. Uspokajam, że tak, tylko bałam się podejść do telefonu i kazałam mówić dziewczynom, że mnie nie ma. Nie wiem, czy mi wierzy, ale udaje, że tak. Zasypiam wreszcie w swoim łóżku, za którym dziwnie się stęskniłam. Jesteś ze mną, Marilyn. Dotykam plakatu, twojej sukienki, włosów. To takie nasze powitanie, znak, że jesteś mi potrzebna, żeby cierpienie, które w sobie noszę, podzielić na dwa. Wtedy łatwiej je dźwigać.

Towar i kasa

Matka przyjeżdża na wyznaczone spotkanie do szpitala. Jest punktualnie, widzę ją, bo stoję po drugiej stronie ulicy. Obiecałam, że się nie spóźnię. Niestety, zawiedzie się. Nie wejść tam za żadne skarby. Może mnie wypisać z rodziny. Patrzy nerwowo na zegarek, sprawdza godzinę, po dziesięciu minutach wchodzi sama, pewnie chce mnie wytłumaczyć. Ciekawe, co wymyśli na moją obronę? Na wszelki wypadek nie zjawię się w internacie do wieczora. Na pewno po powrocie zadzwoni. A ja jak zawsze nakłamię coś mniej lub bardziej prawdopodobnego. I długo nie będę mogła pokazać się w domu. Trudno, wolę to, niż się poddać, złamać dane sobie słowo. Za domem zresztą nie tęsknię. Jedyne, co mnie interesuje, to kasa. Z nią, niestety, krucho... Zawsze miałam lekką rękę do wydawania, nie umiem odmówić sobie piwa, po jednym musi być drugie, trzecie i tak dalej. Trzeba pomyśleć, żeby coś zarobić. Ale w tym celu potrzebny jest towar. Wiem, jak go rozprowadzić, przećwiczyłam to u Wilka, ale tu nikt mnie nie zna, jestem obca, a takim nie ujawnia się kontaktów. Żeby wejść w rynek, dobre chęci nie wystarczą.

W pubie przy barze siedzi gość. To on kręci biznesem, oczywiście nie sam, tylko przez podstawionych ludzi. Przysiadam się, korzystając z okazji, że nikogo oprócz mnie nie ma w lokalu. — Chcę wejść w branżę — zaczynam. Odwraca głowę, obserwuje mnie dłuższą chwilę. Nic nie mówi, więc kontynuuję, że już to robiłam na dyskotekach i w klubach. Mieli do mnie zaufanie, podaję ksywy kumpli, którzy się tym trudnią w moim mieście, to w końcu niedaleko. Przecież ci ważni muszą się znać.

Po długiej chwili przerwy na lustrację, wreszcie się odzywa:

— Za dużo słów, mała, za długi język, tego nie lubimy.

I zapuść włosy, z taką fryzurą nie masz szans, policja będzie cię trzepać na okrągło. Trzeba wzbudzać zaufanie, a nie straszyć. Za duże ryzyko, nikt na to nie pójdzie. Zresztą — dodaje po chwili wahania — ktoś mi chwilowo wypadł. Zgłoś się do Krzyśka, będzie tu o osiemnastej.

No, jest nadzieja. Od razu poprawia mi się humor. Nie powiem o niczym Beacie, za duża z niej panikara, bałabym się, że mnie wsypie.

Nic dzisiaj nie jadłam od rana, ale nie chce mi się. Czuję skurcz w żołądku, nie wiem, czy przełknęłabym nawet małe

jasne. Jestem kłębkiem nerwów, nie pomógłby mi chyba nawet prozac, zresztą i tak go już nie mam.

Najpierw funduję sobie długi spacer, potem czekam. Zegar powoli odmierza godziny. W końcu wchodzi, wiem, że to ten. Siedzę przy barze, przysiada się, zamawia guinnessa. To taki nowy szpan, dla wyrafinowanych klientów coś więcej niż żywiec, czy okocim.

— Podobno chciałabyś popracować — zaczyna rozmowę. — Zasady znasz, jak sądzę, ale dla porządku przypomnę: żadnego dawania na krechę, nie ma, że boli, ani zmiłuj się. Towar, kasa do ręki, rozliczenie. Jeśli wpadniesz, nigdy mnie nie widziałś, ktoś ci podrzucił prochy, masz je na własne potrzeby. Zwiększ z towarem albo sypniesz, znajdziemy. Tu nie ma się gdzie schować, wszędzie mamy swoich ludzi, nawet nie próbuj. Twoją szkołę już ktoś obstawia, zresztą jest taka zasada, że pracujemy na obcym terenie. I jeszcze jedno, nie wolno ci ćpać. Ty musisz dbać o to, żeby robili to inni, zarabiać na nich. Jeśli popłyniesz, przepadłaś. Możesz sporo zarobić, ale zdajesz sobie sprawę, że jeśli wpadniesz, nikt ci nie pomoże. Przemysł to, masz czas do jutra. Jeśli się zdecydujesz, kelnerka da ci pierwszą partię. Nic nie musisz mówić, podejdiesz, dostaniesz. U niej zostawisz szmal, jak się ze wszystkim uwiniesz. I pamiętaj, jest konkurencja, wejdiesz komuś na jego teren, możesz pożałować. Dyskoteki, kina są już zajęte, spróbuj w parku albo na deptaku.

Wracam do internatu. Dziewczyny meldują, że matka dzwoniła już dwa razy. No i dobrze, nie ma mnie, nie było i nie będzie.

— Powiedzcie, że zostałam na noc u koleżanki, bo przygotowuję się do sprawdzianu. Teraz idę spać.

Przestraszone obiecują, że nakłamią mamusi zgodnie z instrukcją.

Chciałabym zasnąć, ale nie mogę, przewracam się na łóżku, mój żołądek skręca się z głodu, jednak na samą myśl o jedzeniu mam szczękościsk. W bluzie od dresu i grubym podkoszulku trzęsę się z zimna. W końcu zapadam w drzemkę. Jestem w parku na ławce, za mną stoi policjant i mówi: „Idziemy.” Obok klęczy matka i płacze: „Chciałam cię uratować, córeczko, ale nie dałaś mi szansy.” Budzę się przerażona. Już rano, dziewczyny mówią:

— Idziemy, a ty, jak chcesz zdażyć chociaż na drugą lekcję, też musisz już wstawać.

O cholera, zasnęłam, a pierwsza jest matka, znowu mi wpiszą nieobecność. Trudno, może skołuję jakieś zwolnienie. Olewam szkołę, teraz muszę zarobić jakieś pieniądze, inaczej zdechnę z głodu. Urywam się, idę do Beaty, poczekam, aż skończy lekcje, a potem pogadamy. Może uda mi się pożyczyć trochę szmalu. Przypominam sobie też, że matka ma w Z. bliską przyjaciółkę. Kiedyś tam byłam, na wszelki wypadek ustalam adres, może poratuje mnie kasą. Oddam, jak zarobię.

Beata, goła jak święty turecki, ostatnią bułkę zjadła na przerwie. Nie mamy co palić, pić i jeść. Trudno, sytuacja przymusowa. Zbieram się na odwagę i naciskam dzwonek w drzwiach. Przyjaciółka matki z trudem mnie poznaje, ale w końcu zaprasza do środka.

— Mama prosiła, żebym złożyła wizytę — zmyślam. Kobieta kupuje bajer i miło się uśmiecha.

— Pewnie jesteście głodne — mówi i przynosi stertę kanapek z wędliną.

Nie mogę się powstrzymać, po chwili taca jest pusta. Po moim sytym brzuchu rozchodzi się miłe ciepłko. Pijemy aromatyczną
(BRAK)

Debiut na deptaku

Nie mogę usiedzieć na lekcjach, ciągle myślę o tym, jak mi pójdzie handel. Kiedyś ubezpieczał mnie Wilk, a tu będę sama. Nie powiem, że się nie boję, ale pokusa zarobienia szmalu jest silniejsza niż strach. W końcu nie ja pierwsza i nie ostatnia, pocieszam się. Skoro inni jakoś sobie radzą, więc nie można od razu zakładać czarnego scenariusza. Zresztą tak naprawdę nie ma już odwrotu, wzięłam towar, muszę przynieść kasę. Głupio byłoby się przyznać, że pękłam i chcę się wycofać.

W portmonetce zostały mi dwa złote, na hojność mamusi nie mam co liczyć. Odmówiłam współpracy z psychologiem, nie chcę się leczyć, nie chcę wracać do domu. Decyzję podjęłam sama, więc sama muszę teraz myśleć, jak zapewnić sobie byt.

Od Beaty nie mogę zbyt wiele wymagać, nie ma grosza, nie może też ciągle mnie żywić. Jem wprawdzie symbolicznie, żeby, jak mówię, podtrzymać funkcje życiowe, ale za darmo nikt nie da mi nawet suchej bułki. A oprócz jedzenia muszę mieć co palić. Bez papierosów ginę, lubię też szmerek po piwku, które ponadto rozpycha żołądek. Nie czuję wtedy tego wiecznego ściskania, jakby ktoś zamknął go w pudełku od zapalek.

Deptak o tej porze dnia jest wyjątkowo oblegany, wybieram miejsce przy sklepie, obok jest ławeczka, jakieś panny z liceum ciągną jasne.

— Wieczorem impreza — przypomina krótko obcięta laska w modnych okularach. — Macie coś, żeby nie było nudno?

— Niestety, posucha — stwierdzają zgodnie. — Trzeba poszukać rozweselacza, najlepiej u Mariana.

— Mogłabym pomóc — zaczynam niepewnie. Patrzą na mnie trochę zdziwione i zaciekawione. W końcu jedna pyta:

— Co masz?

Pokazuję maleńką zgrzewkę z białym proszkiem. Biorą cztery porcje, nie targują się o cenę, widocznie jest stała. Po chwili, ławeczka pustoszeje. No, pierwsze koty za płoty!

Sprzedaję jeszcze dwie torebki z amfą chłopakowi, który też płaci, ile trzeba. Potem kilka rundek na bulwar, niedaleko deptaka. Nie spodziewałam się, że tak łatwo mi pójdzie, ale dzisiaj trzynasty — mój szczęśliwy dzień.

Odnoszę szmal do baru, dostaję swoją pierwszą dołę, czterdzieści złotych, majątek. Biorę następny towar, kelnerka zaprasza mną na zaplecze. Tutaj mogę spokojnie załadować wszystko do plec-

ka. Zastanawiam się, ile ma za pośrednictwo. Zresztą na pewno sama się kręci, żeby rozprowadzić prochy, nie wychodząc z miejsca pracy. Kelnerka chyba odgaduje moje myśli, bo mówi:

— Pamiętaj, nie wolno handlować w tym barze. Lokal musi być czysty, przychodzą tu ci od narkotykowej prewencji. Kiedyś ci pokażę, którzy to.

O dziewiętnastej umawiam się z Beata, wcześniej nie mogła, bo starzy akurat siedzieli w domu. Nie mówię, skąd mam szmal, szykuje się fajny wieczór. Golimy piwo, jedno, drugie, trzecie. ,
— Ale rozpusta, widocznie mamusia się złamała — komentuje lekko wstawiona Bea.

— Pij, nie pytaj, czasami lepiej nie wiedzieć zbyt wiele.

— Nie zrobiłaś skoku na bank, bo już dawno byśmy siedziały; w Mariotcie — nagły przyływ gotówki wyraźnie ją ciekawi.

Nie daję się sprowokować, w końcu w tej branży dyskrecja przede wszystkim. Siedzimy aż do zamknięcia lokalu, zamawiamy pizzę, ale mój żołądek wyraźnie się buntuje. Niestety, muszę porozmawiać z sedesem. Znowu zaczyna się to, co przed szpitalem, nie chcę wymiotować, ale nie potrafię panować nad tymi odruchami.

Już mi nawet nie zależy, żeby być jeszcze szczuplejszą, osiągnęłam swoje, wystarczy. Jednak, nie wiem dlaczego, mój organizm choruje nie z powodu braku jedzenia, ale kiedy dostarczam? mu to paliwko. Na okrągło trzęsę się z zimna. I coś złego dzieje się z moją pamięcią. Czasami mam problem z przypomnieniem sobie najprostszyc rzeczy. Czy to możliwe, żeby w moim wieku zachorować na Alzheimera?

Na razie odsuwam od siebie wszystkie czarne myśli, w końcu świętuję pierwszy sukces finansowy. Skoro jednego dnia udało mi się zarobić aż tyle, można, a nawet wypada mieć dobry humor.

Nie chce mi się wracać do internatu, ale nie ma innego wyjścia, chyba że zdecyduję się na nocleg na dworcu. Beata odprowadza mnie na kwaterę. Śmiejemy się, gadamy, nagle wyrasta przed nami policyjny patrol. Natychmiast trzeźwieję, w plecaku mam przecież towar. Wyjmujemy legitymacje szkolne, tłumaczymy, że wracamy z imienin koleżanki, dlatego nam tak wesoło. Policjant mówi, że trochę za dużo było szampana, ale zapieramy się, że wypiliśmy tylko dwa keliszki. W końcu daje nam spokój.

Biegniemy, ja do internatu, Beata do domu. Drzwi oczywiście zamknięte, bo jest po północy. Stukam w okno, dziewczyny

na szczęście nie śpią.

— Ktoś cię szukał, chyba twój ojciec. Rozmawiał z portierkami. Powiedziałyśmy, że musiałaś nagle wyjechać do domu i nie zdażyłaś poinformować.

No, ładna historia, jeszcze tego brakowało, żeby tu przyjeżdżał na przeszpiegi. Na pewno matka poskarżyła mu, że nie ma ze mną kontaktu. Niech szlag trafi tę nagłą solidarność. Robię wszystko, żeby o nich zapomnieć, ale nie, nie pozwolą. I dalej będą gnębić.

Do rana nie mogę usnąć. Ciekawe, co mu te mały portierki powiedziały? Staram się nie wchodzić im w drogę, ale nie zawsze jest to możliwe. Kilka razy musiały otwierać drzwi po dwudziestej drugiej i notowały potem skwapliwie moje spóźnienia. Trzeba będzie pomyśleć o innej chacie, nie zniosę tej wiecznej inwigilacji. Dlaczego moje życie nie może być tylko moim? Przecież wystarczy zastosować się do znanej maksymy: Żyj i daj żyć innym. Proste, ale widocznie za proste...

Na pozycji lidera

W szkole jestem tylko gościem. Teraz interesuje mnie wyłącznie szmal. Już dwa tygodnie przemierzam deptak, bulwary, dworzec autobusowy. To ostatnie miejsce jest znakomite, jeżeli chodzi o zbyt, ale, niestety, opanowane przez konkurencję. Nie kręcę się po budynku dworca, tylko w pobliżu peronów. Szczególnie w piątek, gdy pełno tu uczniów i studentów, można się niezłe obłowić.

Muszę tylko uważać na Krasnała, to taki mały w czerwonej; czapce. Szybko się zorientował, że podprowadzam mu klientów. Już kasowałam za towar, kiedy chwycił mnie za rękę i pieniądze wypadły na ziemię. Udało mi się je podnieść i uciec, o mało nie przejechał mnie autobus. Krasnał dał sobie spokój, nie chciało mu się widać za mną biec, ale od tej pory jestem czujna. Kilka razy go przechytrzyłam. Takie zwycięstwa cieszą.

Marzę o chwili, kiedy gromada takich krasnali będzie pracowała tylko dla mnie. Na razie boss jest zadowolony. Mówi, że powinnam dać sobie spokój ze szkołą, bo mam żyłkę handlową. Ciekawe odkrycie, nie ma co.

Gdyby moja kochana mama wiedziała, że jej chora córeczka, zamiast grzecznie wkuwać, stoi na deptaku i sprzedaje gówniarzom białą śmierć, chyba strzeliłaby sobie w głowę.

Finansowo powodzi mi się coraz lepiej, wspieram nawet trochę Beatę. Może już niedługo zarobię na moje upragnione martensy, bo te, w których chodzę od dwóch lat, trochę się złachały. W każdym razie nie muszę specjalnie się krępować, kiedy chcę kupić piwo albo dwa.

Kelnerka zawsze ma przygotowany towar, porządnie zapakowany proszek w małych torebkach, wszystko szczelne, tak jak powinno być. Czasami podaje mi go w pustym pudełku po papierosach albo idę z nią na zaplecze, kiedy jest sama. I wszystko jakoś się kręci.

Niestety, matka dzwoni każdego dnia, więc wieczorem muszę być w internacie. Już się nie wymigam od wizyty w domu, bo jeżeli nie ja, to ona tu przyjedzie.

W piątek melduję swoim szefom, że muszę wziąć krótki urlop. Oddaję towar na przechowanie w znanym mi lokalu. Zostawiam sobie tylko jedną torebkę. W końcu nie złamałam dotychczas zasady i jak pracuję, to nie ćpam. Ale jadę przecież na weekend i na małą działeczkę solidnie zarobiłam.

Trochę się boję powrotu do domu, bo znowu zaczną się pretensje i wygadywania, że nie dzwonię, nie przyjeżdżam, oszukuję. W autobusie postanawiam dodać sobie odwagi. Po pół godziny jest już zupełnie inaczej, cały świat mi się podoba, jestem lekka, wesola i wszyscy mogą mi skoczyć.

Gapię się na ludzi zajętych swoimi myślami, zastanawiam się, do kogo jada, jakie jest ich życie. Niektórzy czytają, inni śpią. Mnie nie chce się spać, chce mi się śpiewać. Och, jak cudownie znowu poczuć ten spid. Szybka jazda we wlokącym się autobusie — paradoks, a jednak możliwy.

Wchodzę wreszcie do domu radosna jak szczygieł na wiosnę. Biorę małą na rękę i podrzucam do góry. Nie jest przyzwyczajona do takich czułości. Widzę, że się mnie boi, wrywa się, ale trzymam ją mocno. W końcu stawiam na ziemię, bo bołą mnie rękę. Biegnę do mojego pokoju.

— Cześć, Marilyn — wołam do ściany.

Matka zaprasza na obiad, więc myję rękę i siadam do stołu. Nagle nie wiem, co się ze mną dzieje — mój kotlet rusza się i rośnie. Krzyczę:

— Zabierzcie to natychmiast, w jedzeniu są robaki! Kto mi postawił przed nosem takie świństwo?

Babcia zaczyna płakać. Ogląda moją porcję mięsa.

— Przecież tu nic nie ma. To panierka — mówi przerażona.

Ja ciągle krzyczę:

— Sa, widzę je!

I, słowo daję, mam prawie pewność, że kotlet się rusza, rusza się także sufit i podłoga. Po chwili czuję skurcz w żołądku i dopadam klozetu. Widocznie mój organizm odwykł od prochów, długa abstynencja nie najlepiej mu zrobiła.

Trzęsę się, nie mogę ustać na nogach. Matka chce wezwać karetkę, ale wrzeszczę, że nic mi nie jest. Od razu by się zorientowali, że jestem naćpana, tylko w moim świętym domku nikomu nie przyjdzie to do głowy.

W końcu przykrywam się dwoma kocami i kołdrą i trochę przestaje mnie telepać. Śpię, ale to nie jest sen, tylko jakiś koszmar. Chodzą po mnie mrówki, karaluchy, myszy. Boję się otworzyć oczy. Chyba zwariowałam. Siadam na łóżku, sięgam po papierosa, palę jednego za drugim. Chce mi się pić, ale nie mam siły, by pójść do kuchni. Otwieram okno, zimne powietrze nocy sprawia, że czuję ulgę. Gdybym teraz wybrała się do ciebie, Marilyn, znaleźliby mnie dopiero rano. Oceniam sytuację. Z mroku wyłaniają się jakieś krzaki. Nie wiadomo, czy się na nich nie

zatrzymam i tylko połamię sobie nogi albo kręgosłup, a potem do końca życia wózek. O nie!

Trzymam się futryny, jestem tchórzem, nie potrafię żyć, nie umiem się zabić, będę zdychać powoli w męczarniach, aż zjedzą mnie robaki i w ten sposób spełni się mój sen. Powoli, krok po kroczku, trzymając się ściany idę do kuchni, nabieram zimnej wody z kranu i piję.

Dlaczego jestem ułomnym produktem moich wiedzących jak żyć rodziców? Widocznie nie zasługuję na nic innego niż to, co przeznaczył mi los. A na walkę z nim nie mam już siły.

W niedzielny rano budzę się obolała, ale szczęśliwa, że skończył się ten koszmar. Słońce wpada przez okno, twoje jasne włosy, Marilyn, błyszczą jak złoto.

A może po prostu powiedzieć matce: „Nie pojedę więcej do Z. pozwól mi zostać, tam zginę. Tylko w domu, chociaż go nie lubię, czuję się bezpieczna. Nie każdy musi mieć średnie wykształcenie, odpuść mi, daruj. Potrzebuję czasu, żeby uporać się ze sobą, mam dopiero 17 lat. Jeden darowany rok nie ma przecież znaczenia, daj mi go w prezencie”.

Może mnie zrozumie, nie będę musiała uciekać przed policją, Krasnałem i innymi, dla których jestem tylko śmieciem. Dają mi zarobić, ale to przecież oni mają z tego prawdziwe pieniądze. Tylko że ja ryzykuję wszystkim, oni nie muszą się bać, nie muszą marznąć, nie obawiają się, że ktoś im odbierze towar i jeszcze da po twarzy, jak mu się spodoba.

Nagle dzwonek do drzwi. No tak, przyjechał pan i władca tego domu. Zaraz się zacznie.

O, już słyszę;

— Prawie południe, a panienska jeszcze śpi. Nie może pomóc przy śniadaniu, chleba nie ukroi, tylko wszystko jej podaj pod nos.

„Milutki” głos ojczyzna uświadamia mi, że pora wracać do rzeczywistości.

A więc, przysły zmysły. Po obiedzie spadam. Ucieszyłam rodzinę swoim widokiem, nakarmiłam się szczęściem domowym i starczy.

Więcej, więcej, więcej

Dealer nie ma łatwego życia, ale nikt mu przecież nie obiecywał, że będzie łatwo. Nie tylko policja na niego czyha. Powoli staje się niewolnikiem samego siebie. Zaczyna wierzyć, że zarobi wielkie pieniądze, jeśli się tylko postara, potem je zainwestuje w jakiś spokojny biznes i na zawsze skończy z tym bagnem. Niestety, to tylko złudzenie.

Nie poznałam takich, którym się udało. Głównie dlatego, że nie potrafili zapanować nad nałogiem. Skoro w tym siedzisz, prędzej czy później się złamiesz, a potem idziesz na dno. Z dealera stajesz się klientem, który żebrze u swoich dawnych kumpli o najmniejszą choćby działkę. Staje się szmata. Na jego miejsce przychodzi ktoś inny. Potem i on podzieli los swojego poprzednika.

Wiem o tym wszystkim, ale nie potrafię zrezygnować. Musiałabym wrócić do domu, a po ostatniej wizycie nie mam na to ochoty. Zresztą idzie mi coraz lepiej, odwrotnie niż w szkole.

Na zajęcia najczęściej przychodzę nieprzygotowana. Nałapałam trochę pozytywnych stopni na początku, ale teraz zupełnie nie mam czasu na książki. Wieczorem jestem tak zmęczona, że padam na łóżko i mam wszystko w nosie. Od ciągłych spacerów bolą mnie nogi, czuję się jak maratończyk po treningu.

Najważniejsze, że jestem niezależna finansowo, co oczywiście nie zwalnia mojej kochanej mamy od przysyłania mi szmału, bo jestem w ciągłej potrzebie. Pieniądze najpierw robiły na mnie wrażenie, a teraz, kiedy widzę, ile się tego przewala w rękach bossów, nie jest to już taki szok. Szmał, czyli tak zwaną kapustę, liczą jednak starannie.

Powoli poznaję, kto jest kim, niepisane prawo oraz zasady fair play, które i w tym fachu mają zastosowanie. Nie wchodzimy sobie w drogę, nawet Krasnal przestał się mnie czepiać. Chyba mam niezłe notowania, zyskałam sobie sympatię. Wielu klientów podchodzi do mnie bez obaw, wiedzą, że towar pewny, nie oszukany. Na szczęście udaje mi się też unikać policji, bo wiem, gdzie najczęściej chodzą patrole i umiem się w porę wycofać.

Przez moje nowe zajęcia trochę ucierpiała przyjaźń z Beata, nie mam czasu, stąd to wszystko. Nie chcę jej wtajemniczać w ten cały syf. Zawsze istnieje pewien procent ryzyka, że komuś sypnie. Beata ćpała tyle co nic. Nie chcę, żeby wdepnęła w gówno. Niestety, sama nie mam takich oporów. Po robocie, szczególnie kiedy jestem zmęczona, nie mogę się opanować. Biorę niewiele,

żeby nie podpadło. Powoli przyzwyczajam organizm do paliwka. Doświadczenia po incydencie w domu uświadomiły mi, że za wcześnie chciałam pójść na całość. Dzięki codziennej małej dawce nie czuję ściskania w żołądku. Nie muszę myśleć o jedzeniu, nie wymiotuję. Niepotrzebna mi recepta na prozac, którą przysyła matka, mam swój sposób na poprawienie sobie nastroju. Chudnę jednak jeszcze bardziej, a na rękach i twarzy pojawia się wysypka. Wygląda jak trądzik młodzieńczy. Do tej pory nie miałam żadnych problemów ze skórą, poza tym, że była sucha jak u jaszczurki i trochę swędziała. Krępuje mnie to, ale co mogę poradzić? Trzeba polubić siebie, tak mówili w szpitalu. Myślenie pozytywne, samoakceptacja i inne pierdoły, znam na pamięć ten repertuar. Zapomnieli tylko dodać, że aby myśleć pozytywnie, trzeba się tak czuć. Kelnerka coś podejrzewa. Polubiła mnie i chyba dlatego zachowuje się jak mamusia — robi herbatę, mówi, żebym więcej jadła, a teraz udziela mi przestróg:

— Nie zaczynaj, bo to będzie twój koniec. Jeżeli jeszcze raz zobaczę, że brałaś, powiem, komu trzeba i stracisz robotę. Wyjaśniam, że chciałam tylko spróbować, ale już nigdy więcej. Nie jestem narkomanką, nie jestem uzależniona. Czy mi wierzy? Chyba nie.

Znam już miasto i swoich klientów, to gówniarze z liceów, trochę z zawodówek i dzieciaki z podstawówki. Starsi dealerzy obsługują dorosłych, są wśród nich studenci, pracownicy banków, dziennikarze, szczególnie radiowcy. Nie wytrzymują zmęczenia na nocnych dyżurach, więc biorą. Jest nawet jeden lekarz. Najlepsze dni do handlu to piątek i sobota, towar idzie też nie najgorzej przed sprawdzianami i egzaminami. Jeśli rośnie tak

zwane zapotrzebowanie, zwykle jest jakaś konkretna przyczyna. W piątki zazwyczaj urywam się ze szkoły, bo szkoda mi okazji. Nie sprzedam ja, sprzedadzą inni.

Ostatnio wychowawczynie sprawdziła dziennik i wezwała mnie do siebie, żeby wyjaśnić, dlaczego tyle opuszczam, szczególnie pod koniec tygodnia. Byłam w dość podłym nastroju, ale się zmobilizowałam i wygłosiłam ckliwą historyjkę, o tym że mamusia zapadła na chorobę nowotworową, więc odwiedzam ją w klinice. Żeby zarobić na swoje utrzymanie, w piątki wieczorem i w soboty pracuję w barze. Moje zdolności aktorskie zrobiły na niej duże wrażenie, zaproponowała nawet, że spróbuje wystąpić dla mnie o stypendium, jeśli poprawię stopnie.

— Ale masz bajer — Beata o mało nie posikała się ze śmiechu,

kiedy powiedziałam jej, jaki kit sprzedałam wychowawczyni. Postanawiamy pierwsze stypendium w całości przeznaczyć na piwo. Na razie muszę wracać do internatu, bo mamuśka zapewne wykona kontrolny telefon. Na szczęście mogę liczyć na moje sąsiadki. One chyba mnie podziwiają. Imponuje im mój luzik, a może to strach?

Czasami przychodzą do mnie kumple, z którymi ciągnę ten biznes. Nie wzbudzają zaufania u grzecznych panienek, ale zachowują się poprawnie. Tylko portierka nie chce ich wpuszczać do pokoju. Taka już jej dola, że robi za cerbera.

Moje panienki częstują kawą, ale nie za bardzo wiedzą, jak się zachować. Widocznie u nich na wsi takich egzotów nie ma. Obowiązuje uroda pszenno-buraczana i nos czerwony od gorzały, a nie łysy łeb, kolczyk w brwiach, kapsel w uchu i inne wariactwa.

Mnie to w każdym razie nie przeszkadza, chętnie bym się jakoś wyróżniła z tłumu, ale mi tego wyraźnie zabroniono.

Ulubiony język zmienił się teraz w chudą grzywkę, nie jestem pewna, czy wygląda to lepiej, ale mam wzbudzać zaufanie. Kiedyś znowu wrócę do ulubionej fryzury albo, jak mi odbije jeszcze bardziej, zapuszczę włosy i utlenię się na blond. Taki pastisz na temat: dziewczyna z plakatu. Jaka? Wiadomo!

Ide w górę

Nie chcę się chwalić, ale ciągle udaje mi się utrzymać pozycję liderki. Bywa, że w ciągu jednego wieczoru potrafię zgarnąć niezły szmal, niestety, nie dla siebie.

Niespodziewanie boss wzywa mnie na rozmowę, podaje adres. Z trudem trafiam do eleganckiej willi. Niełatwo tam wejść, pies, kamery i inne bajery. Boss przyjmuje mnie w jakimś małym pokoiku, chyba dla klientów takich jak ja. Od razu uprzedza, że ten adres już oczywiście zapomniałam. Nie muszę się nawet specjalnie starać. Na dworze ciemno, więc na dobrą sprawę nie bardzo wiem, gdzie się znajduję.

— Widzę, że jesteś dobra w tym fachu, więc dostaniesz pierwsze poważniejsze zlecenie. Trzeba przewieźć trochę towaru do miejscowości G., bo zaczynamy opanowywać nowy rynek. Załadujesz to, co tu leży, i pojedziesz. Sądzę, że znasz cenę ryzyka i obecną wartość twojego plecaka. Jeśli nie będzie wpadki, dostaniesz 5 tysięcy.

Od takiej kwoty kręci mi się w głowie. Pokusa jest wielka, zresztą gdybym chciała i tak nie mogłabym się wycofać. Nareszcie spełni się moje marzenie, wynajmę chatę na mieście i nie będę musiała wracać do tego podłego internatu. Rozpocznę nowe życie.

— Na miejscu przeszkolisz kilka osób, powiesz, jakie są zasady, na co trzeba uważać — kontynuuje boss. — To małe miasteczko. Do tej pory zaopatrywali się u nas, teraz sami będą rozprowadzać. Zresztą jesteś bystra i dasz sobie radę. Tylko pamiętaj, koniecznie aktualna legitymacja szkolna, żadnego podróżowania na gapę. Grzeczna uczennica jedzie do mamusi albo cioci. Na dworzec wyjdzie umówiony chłopak, wie, kim jesteś, kilka razy brał u ciebie towar. No, jak już wszystko wiesz, to spadaj. Nie mam czasu na długie gadanie.

Idę z towarem przez uśpione miasto, nie widać policji, ale przyspieszam kroku, żeby nie kusić losu. Chciałabym już być w internacie.

Nareszcie z ciemności wyłania się szary gmach. Brakuje tylko krat w oknach i strażnika. Jestem bezpieczna. Myknę do pokoju i z głowy. Nagle słyszę:

— Halo, halo, panienka się zatrzyma — portierka zaczepia mnie w drzwiach. — Już dwa razy mamusia dzwoniła.

Cholera, jeszcze tego brakowało. Trudno, muszę się uspra-

wiedliwić.

— Nie mogę przyjechać na sobotę i niedzielę, bo wybieramy się z klasą na wycieczkę — kłamię do słuchawki. Matka nie bardzo mi wierzy, ale mam to w nosie. Obiecuję, że za dwa tygodnie na pewno będę w domu. Może to ją trochę uspokoi. Z ulgą kończę rozmowę. Nienawidzę tego tonu ciągłej pretensji w głosie, od razu odechciewa się gadać, nawet o pogodzie.

Zaczynam robić porządek w plecaku, nagle kilka torebek wypada mi na podłogę. Dziewczyny to widzą, nie są takie głupie, żeby się nie domyślić. Na wszelki wypadek tłumaczę, że to nie moje, tylko koleżanki.

— Chyba nie będziesz tego trzymać tu w pokoju?! Przecież nie tylko my mamy klucze, zapasowe wiszą w portierni — mówią przestraszone.

— Dobra, bez paniki, jutro towar zniknie — uspokajam. — A teraz zróbcie mi herbaty!

— Sama sobie zrób. Nie będziemy ci więcej usługiwać. Przychodzisz po nocy i się rządysz. — Po raz pierwszy dają znać, że mają mnie dosyć.

— O, to coś nowego. Może jeszcze pójdziecie zakablować? — proponuję. — No to w porządku, skoro tak. Zresztą chcę wam przekazać interesującą wiadomość. Niebawem się stąd wyprowadzam. To znaczy formalnie dalej będę mieszkać, ale odpoczniecie od mojego widoku. Mam tylko prośbę, żeby mamuśce o tym nie mówić.

Zgodzą się na wszystko, to pewne. Widzę, że się boją, głupie panikary. Wkurzyły mnie, otwieram jedną torebkę i podprowadzam trochę proszku. Klienci się nie domyśla.

Nastrój mi się poprawia, ale nie mogę usnąć. Myślę o tej podróży, ale przede wszystkim o samodzielnym mieszkaniu. Wiem, że jeśli dadzą mi nawet tyle szmalu, ile obiecali, to też nie starczy na długo. Ale dobry i miesiąc, żeby odpocząć do tego upiornego miejsca. W końcu jakoś zasypiam, budzę się dopiero w południe. Słyszę chrobotanie w zamku. Nie bardzo wiem, co się dzieje. Po chwili wchodzi pielęgniarka, sprzątaczką i kierownik internatu. Inspekcja sanitarna!

— A ty nie w szkole? — pytają zdumieni. Bredzę, że mam grypę, więc musiałam zostać w łóżku.

Dzielna ekipa grzebie w szafkach. Moją otwierają ze wstrętem: brudny nóż, szklanka z zaschniętymi fusami po herbacie, zestaw ziół odchudzających, tabletki na przeczyszczenie.

Pielęgniarka komentuje:

— Już wiadomo, czemu jesteś tak przeraźliwie chuda. Twój organizm nie ma sił walczyć, nic dziwnego, że chorujesz. Wy-
rzuć te świństwa do śmieci, zacznij jeść!

Dziękuję jej za troskliwość, obiecuję poprawę, tłumaczę, że miałam kłopoty z żołądkiem. Cały czas myślę o plecaku. Chyba nie będą w nim kopać? Na szczęście w szafie jest taki burdel, że trudno się połapać. Z odrazą zamykają drzwi.

W punktacji porządkowej dostałyśmy zero. Nie powiem, zde-
nerwowałam się, oczywiście nie tymi durnymi punktami. Do-
piero teraz czuję ulgę, ale niespodziewana wizyta uświadamia
mi, że trzeba się stąd jak najszybciej wynosić. Już nie mam obaw,
żeby pojechać z towarem.

Wsiadam do pociągu z legalnym biletem. Na wierzchu książki
i zeszyty, na dnie torebki. Dużo. A gdyby zwać z nimi w Polskę,
może nie od razu by mnie złapali? Jest o co powalczyć. Nie musia-
łabym martwić się o zbyt, potrafię sprzedać debiutantowi i temu,
dla którego to już niemal ostatnia działka. I wyciągnąć swoje.
Pokusa jest wielka, ale wiem, że boss by mi nie darował.

Dopiero teraz dociera do mnie, ilu i jakich ludzi zaangażowa-
nych jest w ten biznes. Wpadają płotki, takie jak ja. Ryb nikt nie
ruszy. Za to ryby upomną się o swoje płotki, choćby te chciały się
schować Bóg wie gdzie. Więc lepiej nie kombinować.

Wysiadam na dworcu w G. Peron prawie pusty, bo to dziura,
jakich mało. Poza służbą ochrony kolei nikt się tu nie kręci.
Chłopak bierze plecak. Prowadzi mnie do jakiegoś mieszkania.
Wysypuję towar na ławę. Dostaję szmal. Nie wiem, ile tego jest,
nie moja sprawa.

Potem idziemy do innego mieszkania, siedzi w nim kilka
panienek i jakiś łysy grubas. Zaczynam prelekcję, jakbym była
w domu kultury, a nie na mecie. Mówię, że mają szansę sporo
zarobić, pod warunkiem że sami nie będą ćpać.

Łysy pyta:

— To po cholere się babrać? Żeby nic z tego nie mieć? Przy-
najmniej wiem, jakim obracam towarem, mam pewność, że nikt
mi nie sprzeda przemielonej aspiryny.

Rozumiem go, ale, niestety, nie mogę się do tego przyznać. Przy-
jechałam z konkretnym zadaniem. Tłumaczę podstawowe zasady:
— Najpierw kasa do ręki, potem towar, podzielcie miasto na stre-
fy, pamiętajcie — najlepsze dni do handlu są przed weekendem...
Słuchają mnie, jakbym była jakimś guru. Widzę, że są gotowi
na wszystko. I nie mam wątpliwości — ćpają, tylko łysy mówi
o tym bez skrępowania. Panienki mają ogryzione paznokcie jak

ja, mrużą oczy, bo razi je światło. Jestem prawie pewna, że próbowały też kompotu. Widać po nich długą narkotykową przeszłość, znam się na tym, niejedno już widziałam. Oj, czuję, że niedługo pociągną w biznesie. Ale to przecież nie mój ból. Zrobiłam swoje, teraz trzeba zgarnąć obiecaną dołę. Wracam nocnym pociągiem, po krótkiej drzemce w internacie idę do znanego mi baru. Oddaję kasę, barmanka na zapleczu odlicza mi 5 tysięcy. Szczypię się na dowód, że to nie sen. Na chodniku wykonuję indiański taniec, połączony ze skokami misia Jogi. Jakiś emeryt przygląda mi się z zainteresowaniem.

— Ot i młodość — komentuje życzliwie.

— Racja, dziadku, racja! — krzyczę. — Tylko młodość się liczy!

A ty do piachu — już pora!

Na swoim u babci

Jestem szczęśliwa. Dawno zapomniałam, jakie to uczucie, ale muszę stwierdzić, że całkiem przyjemne. Nareszcie mogę myśleć o jakiejś chacie. Rano, jeszcze przed lekcjami biegnę do kiosku po gazetę, żeby sprawdzić oferty. Zakreślam pisakiem te, które wydają mi się interesujące. Mieszkanie przy rodzinie skreślam natychmiast, przecież chcę się wybić na samodzielność. Po południu idziemy z Beatą na rekonesans. Niestety, nie mam aż tyle kasy, żeby zapłacić za pół roku z góry, jak sobie życzą w paru miejscach. W końcu trafiamy do babci. Jest stara i głucha, ale można się z nią dogadać. Sama mieszka u córki, chce wynająć swój pokoik w domku gospodarczym. Zimny, byle jaki, ma jednak swoje zalety. Nikt tu nie mieszka, to podstawa. Mogę też zapłacić tylko za miesiąc z góry, a resztę w późniejszym terminie. I na szczęście wiosna już blisko, więc nie będę musiała palić w piecu.

Wyposażenie marne, dwie stare kanapy, chyba z pluskwami, krzywy stół, umywalka, kuchenka jak dla liliputa, z maszynką gazową i czajnikiem. Ale mnie podoba się tu wszystko, nareszcie wyzwolę się spod wiecznej kontroli. Nie będę musiała meldować się przed dwudziestą drugą. Mogę wracać, kiedy chcę, i robić, co mi się podoba. Beata podprowadzi mi z domu trochę pościeli, na początek wystarczy.

Jest tylko jeden mankament: żeby zdążyć do szkoły, muszę wstawać o szóstej rano i jechać dwoma autobusami z przesiadką. Cóż to jednak jest wobec świadomości, że nareszcie zacznę stanowić o sobie.

Na wszelki wypadek idziemy kupić budzik. Wybieram wielki jak talerz, z dwoma złotymi dzwoneczkami. Poderwałby z grobu umarłego. — Ten będzie w sam raz — decyduję się natychmiast. Na szczęście jest przeceniony. Widać nikt nie chciał takiego szkaradztwa. Pora opić sukces. Nie możemy iść na całość, zadowolamy się tylko jednym piwem, Bea musi wracać do domu, ja do internatu, żeby dyskretnie wynieść niezbędne rzeczy. Oczywiście nie wszystko, bo przecież nadal oficjalnie tu mieszkam. Odbijemy sobie w weekend, wtedy będzie można trochę popłynąć.

Przynoszę pannom z pokoju dwie pizze i po piwku, niech znają mój gest. Poza tym zależy mi, żeby mnie kryły. Nikt nie ma prawa się zorientować, że zmieniłam lokal. Aby uprzedzić telefony mamuśki, sama będę do niej dzwonić. Od czasu do cza-

su muszę się jednak pokazać w internacie.

Na stoliku zostawiam jakieś gazety, kubek, grzebień. Resztę pakuję do plecaka, dziewczyny podadzą mi go przez okno. Pijemy pożegnalną kawę, mówię:

— Co złego to nie ja.

Widzę, że się cieszą, ale nie chcą tego okazać. Bawimy się więc w teatr wzajemnych uprzejmości. Śmierdzi fałszem na kilometr. Przed dziesiątą wychodzę, odbieram podany plecak.

Nareszcie

jestem wolna!

Do nowego domu docieram o północy. Oczywiście jechałam na gapę i mnie złapali. Proponowałam, żeby nie niszczyli bloczku mandatowego, bo i tak nie zapłacę. Ale ambitnie wypisali mandat za jazdę nocnym autobusem i za przewóz plecaka bez biletu. Wyszła niezła sumka. A to się mamusia ucieszy!

Postanawiam, że nie będę się przejmować takimi głupstwami, choć nie najlepiej zaczęła się moja samodzielność. Na szczęście nie jestem przesadna, a dziś nie trzynasty.

Po trudach podróży padłam na łóżko i zasnęłam w ubraniu.

Do przykrycia miałam tylko kurtkę i jakiś śmierdzący wilgocią koc, ale czułam się jak królowa.

Po raz pierwszy przyśniłaś mi się, Marilyn, w tej swojej jasnej sukience, z burzą złotych włosów. Nora nagle zmieniła się w pałac. Jaki piękny sen!

Oczywiście zasnęłam, budzik dzwonił jak oszalały, a ja nie mogłam się zwlec. Trudno, pora skończyć z wyrzutami sumienia, nie potrafię się zmusić do żadnego wysiłku, kiedy mój organizm nie podejmuje chęci współpracy. Tym razem wyraźnie odmówił.

Przez cały wczorajszy dzień niczego nie ruszyłam, byłam tak podniecona zmianami w moim życiu, że zupełnie nie mogłam się przemóc, żeby zjeść nawet suchą bulkę. Teraz też mi się nie chce, ale cholernie chce mi się palić. Z wściekłością wywracam kieszenie w kurtce. Nic, nawet marnego pokruszonego peta.

Chyba zwariuję.

Na szczęście zjawia się Beata, taszczy śpiwór, Jaśka, jakiś koc, prześcieradło. Ona rzeczywiście nadaje się na siostrę miłosierdzia. Za cholere nie chciałoby mi się ciągnąć z takim majdanem. I, co najważniejsze, ma papierosy.

Też urwała się ze szkoły, żeby zdążyć to wszystko wynieść z domu, zanim wścibska mamuśka odkryje braki w swoim stanie posiadania. Przyniosła drożdżówkę i butelkę mleka. Nie cierpię go, ale doceniam wysiłek. Obciążam litr białego szaleństwa,

zagryzam ciastkiem. No, nie jest źle!

Pora się trochę zagospodarować. Ścielimy babciną kanapę, wieszamy w kulawej szafie kurtkę, spodnie i jeszcze kilka rzeczy z mojej niezbyt bogatej garderoby. Beata myje nawet okno. Widzę, że ta kwatery wyraźnie przypadła jej do gustu. Mam nadzieję, że nie za bardzo, bo nie zamierzam z nikim dzielić mojej samotni.

Po południu zrywamy się do miasta. Bea spada do domu, ja biorę się za rozprowadzanie towaru. Idzie mi nie najgorzej, myślę, że dzisiaj znowu uda się zarobić na kilka piw. Przed seansem w kinie sprzedaję aż siedem porcji. Nie wiedziałam, że kinomani muszą się jeszcze dodatkowo wzmacniać emocjonalnie. Widać słabe to kino albo cenią sobie inne doznania.

Kelnerka odlicza kasę, dla bezpieczeństwa oddaję też towar, boję się z nim wędrować po nocy. Licho nie śpi, a potem się nie wypłacę. Do mojego domu na odludziu docieram przed północą, bo zaliczyłam jeszcze klub studencki i portiernię w akademiku, gdzie zawsze można spotkać klientów. Pozbyłam się wszystkich zapasów, które miałam na takie okazje. W domu okazuje się jednak, że nie wszystkich...

Nie mogę się powstrzymać, żeby nie spróbować. Za chwilę nie będę widziała brudnych ścian, kulawego krzesła, całego tego syfu, który mnie otacza. Zanim odpłynę, czytam i oczom nie wierzę. To przecież o nas. Skąd wiedział, jak to jest? Przecież musiał, inaczej nie potrafiłby tego napisać. I miał odwagę, której nie mieli inni — powiedzieć wprost. Nazywa się to „Sekret.”

Posłuchaj, Marilyn:

I Chrystus ciągle uzdrawiał chorych, oświecał ślepców, oczyszczał trędowatych. I gdyby Ewangelii było nie cztery, ale osiem, czy dwanaście ksiąg — ciągle by robił to samo: odkulawiał chromych, oświecał ślepców, oczyszczał trędowatych. I przebaczał po siedemdziesiąt siedem razy. Ale — po co? Czemu był taki obłudny? Czemu ani razu nie obciął nikomu ręki, nie wydlubał oka, nie połamał nóg? Czemu robił z siebie baranka? Czemu udawał, że n i e j e s t odpowiedzialny? Przecież wiedział, że on sam odejdzie, a ślepi, chromi i trędowaci pozostaną... Na świecie stworzonym przez Boga, za którego Syna się podawał*

* Jerzy Krzysztoń, Sekret i inne opowiadania, PAX, Warszawa, 1956

Falowanie i spadanie

Wizytę w domu odwałam w niedzielny poranek. Zjadam obiad, biorę trochę kasy i uprzedzam, że przez jakiś czas nie będę przyjeżdżać, bo mam trochę kłopotów z zaliczeniem kilku przedmiotów i nadrabiam zaległości. Koleżanki z internatu udzielają mi korepetycji i w ogóle bardzo się staram. Nie mam też żadnych problemów ze zdrowiem, apetyt mi dopisuje, a że nie tyję, to wina przepracowania i nerwowej sytuacji w szkole. Będę jednak robić wszystko, by zaliczyć rok. Matka patrzy na mnie z niedowierzaniem, a ja bez skrępowania leję jej miód do uszu. Na szczęście nie muszę zbyt długo się wysilać, bo pora biec na dworzec. Wieczorem znowu jestem w Z. I robię starą trasę: deptak, bulwary, kilka sklepów, klub studencki. Po skończonym dniu pracy walę piwo, by spokojnie udać się na zasłużony odpoczynek. Niestety, okazuje się, że ktoś podprowadził mi z plecaka trochę towaru. Kiedy odkrywam, co zaszło, od razu trzeźwieję. Odnoszę resztę do kelnerki i mętnie tłumaczę, że nie wiem, jak to się stało, ale mnie okradli. W rozliczeniu zostawiam walkmana, bo nic cenniejszego nie mam. Trochę kosztował, chociaż zdaję sobie sprawę, że nie zrekompensuje wartości towaru. Mogłabym jeszcze dodać martensy, ale przecież nie pójdę boso... Wybucham płaczem, nie wiem co robić, boję się. Kelnerka jest wściekła.

— To się musiało tak skończyć! Ćpasz, pijesz, jesteś łatwym obiektem dla złodzieja! Sama wiesz, że ten, kto jest na głodzie, nie powstrzyma się przed niczym.

To moja pierwsza wpada. Zupełnie nie wiem, co dalej. Sprawdzam, ile zostało mi po opłaceniu pokoju. Za mało. Trudno, obiecuje kelnerce, że odpracuję. Rzuć szkołę i będę się zajmowała tylko rozprawianiem towaru, choćbym miała w ogóle nie spać. Od tej pory ani jednego piwa, plecak na plecy i w trasę.

Nie ma solidarności, na nikogo nie można liczyć w przypadku najmniejszych problemów. Myślałam, że kelnerka nie sypnie. Myliłam się. Boss po kilku dniach znowu wezwał mnie do siebie.

— Ty odpowiadasz za towar, nie obchodzi mnie, że nie masz pieniędzy. Musisz oddać co do grosza, nieważne jak to zrobisz. Tłumaczę, że nie wiem, jak to się stało, ale zwrócę dług, zrezygnuję z nauki, będę pracować na okrągło.

— Stracisz miejsce w internacie — boss stara się sprowadzić mnie na ziemię. Wyjaśniam, że już tam nie mieszkam, bo wy-

najęłam chatę.

Ta wiadomość wyraźnie go zaskoczyła. Po długiej chwili milczenia nagle zwraca się do mnie z propozycją, od której niemal zaniemówiłam.

— Jest taki jeden sposób, żebym mógł o wszystkim zapomnieć. To trochę inna robota, ale ty byś się do niej nadawała.

Potem pyta o moją metę, czy mam sąsiadów, gdzie to dokładnie jest. Wyjaśniam, chociaż na początku nie bardzo kapuję, do czego zmierza. Z nerwów pytam, czy mogę zapalić. Zgadza się. Wreszcie wyjaśnia o co chodzi:

— Wśród naszych klientek są takie, które cierpią na stały brak gotówki, ale muszą ćpać. Jak wiesz, nic nie jest za darmo. Nie mają kasy, ale mają co innego. Chyba już się domyślasz, że chodzi o seks. Trochę terminowałeś w dealerskim fachu, wiesz, która na to pójdzie i nie wypowiada się przed mamusią. Oczywiście nie tylko je namówisz, ale udostępnisz też lokal. Nie wszystkim. Najatrakcyjniejsze będą to robić gdzie indziej. Ty je tylko dowieziesz na umówione spotkanie pod wskazany adres. Pamiętaj, że nawet najgorszy towar musi być do przyjęcia — odpadają panny, które biorą w żyłę, są zniszczone ćpaniem, choćby chciały dawać za darmo z własnej woli. I żadnego HIV ani chorób wenerycznych. Tylko zdrowe, chętne, dyskretne. Przyjmij moją propozycję jako dowód zaufania, zresztą nie masz wyboru, inaczej nie oddasz kasy. Chyba, że zdecydujesz się okraść mamusię i tatusia — boss stara się być dowcipny, ale wiem, że nie żartuje.

Wychodzę z jego domu, jakbym była na wielkim hajcu. Po nieoczekiwanej propozycji kręci mi się w głowie. W co ja się, do cholery, pakuję? Przecież to prosta droga do kryminału. I znowu on niczym nie ryzykuje, tylko ja i te niedoćpane panny. Nie wiem, co robić, nie ma się kogo poradzić.

Po drodze spotykam Krasnała.

— O, widzę, że ciągle w trasie. Czy nie przesadzasz z tą pracowitością? Już głośno na mieście o twoich sukcesach — mówi.

— O ostatnich też? — Krasnał nie bardzo czai, o czym mówię, więc wyjaśniam, że zrobili mnie na ładnych parę baniek.

— Wiedziałem, że to się tak skończy. Na pewno nie był to nikt obcy, tylko swoi. Nie wierzę w przypadki, ktoś musiałby wiedzieć, że akurat masz towar. Nie pierwszą tak urządzili. Stare metody, za szybko szłaś w górę. Teraz muszą odebrać szmal, który zdecydowali się zapłacić ci na zachętę.

Chce mi się płakać z bezsilności, przypominam sobie ciąg zda-

rzeń feralnego dnia. Przecież na sali byli tylko ludzie z ekipy. Zawsze spotykamy się w barze po robocie. Wychodziłam do kibelka, jak to po piwku, więc było tysiąc okazji, żeby to zrobić. Krasnal ma rację, to ja okazałam się naiwna jak dziecko zakonniczy. — Co dalej? Co robić? — pytam chłopaka, który jeszcze niedawno był moim konkurentem, a teraz wyraźnie mi współczuje. — Uciekać jak najszybciej! Ja spadam za granicę, zaciągnę się do Legii Cudzoziemskiej, zacznę nowe życie. Tam będę musiał skończyć ze ćpaniem i może jeszcze jakoś się z tego gnoju wyciągnę.

— A ja? Przecież mam dług. Znajdą mnie, nie darują! — krzyczę zrozpaczona. Po chwili orientuję się, że Krasnala już nie ma, przepadł w ciemnościach.

Idę przez śpiące miasto, nikt nie widzi moich łez, nie słyszy mojego płaczu. Jestem sama i cholernie się boję. Zaczynam się modlić, choć wątpię, żeby pomogła mi Boża opatrzność. Powtarzam półgłosem, jak kiedyś, gdy byłam mała i chciałam, żeby ojciec wrócił: „Aniele Boży, stróżu mój...”

Nowe zajęcie, stary strach

Nie wiem, jak zacząć rozmowę z laskami. W końcu trochę głupio podejść i powiedzieć: „Cześć, cieszę się, że cię widzę, mam propozycję — zostań kurwą.” Siadam na ławce na bulwarze i myślę, jak to rozegrać. Nagle ktoś łapie mnie za ramię. To Kinga, jest naćpana niczym tramwaj-widmo, który nie może trafić do zajezdni. Płacze jej się język, ale stara się mówić składnie. Każdy, kto przekroczył barierę dźwięku, zachowuje się tak samo: rozdygotany, oczka szklą się jak przy wysokiej gorączce, zamiast żrenic małe szpareczki. I ta trzęsionka.

— Poratuj mnie, już nie mogę, wiesz, jak to jest. Jutro skończę z tym syfem, ale teraz nie dam rady.

— Dobra, zaraz ci ulżę — sięgam do plecaka. Wyjmuję małeńką zgrzewkę. — Jest twoja, a teraz szmal.

Kinga płacze.

— Nie mam. Jutro oddam, obiecuję.

— Nic z tego, dosyć skamlania — chowam towar do plecaka, a po chwili, nie wiem co mnie podkusiło, recytuję, jakbym cytowała bossa: — Pójdiesz z takim jednym gościem, to dostaniesz. Wiem, że jest gotowa na wszystko. Najpierw się broni, wyzywa mnie od świń, a za chwilę pyta, gdzie jest ten facet.

— Dobra, dobra, nie tutaj, nie chodzi o to, żebyś mu dawała w krzakach.

Idziemy do baru, każe jej zaczekać. Podchodzę do kelnerki i melduję:

— Zgodnie z umową jest chętna.

Po godzinie zjawia się gość od bossa, siedzi z jakimś drugim w taksówce, tamten ma bejsbolówkę na oczach. Jedziemy do babci, daję klucz, czekam w samochodzie.

Po dwóch kwadransach wychodzą. Kinga nie patrzy na mnie i nic nie mówi, wyciąga tylko rękę po towar. Facet od bossa kiwa głową, że tak. A do mnie mówi:

— Mogłabyś tam trochę posprzątać. Nawet w podłym burdelu musi być porządek.

Łatwo poszło. Boję się tylko, co będzie, jak babcia wybierze się na inspekcję, otworzy drzwi i zobaczy, że pod jej świętym obrazkiem ćpunka robi riki tiki tak. Staruszka gotowa tego nie przetrzymać. Na wszelki wypadek sama jej zawiozę opłatę za czynsz przed terminem. Tylko muszę na nią zarobić.

Interes się kręci, chociaż nie najlepiej. Chyba łatwiej być

ćpunką niż kurwą. Panny się boją, szczególnie jakiś narwanych zboczeńców. Za to gwarantować nie mogę, nie ja ich wybieram. Dostają też pierwsze zlecenie, by dostarczyć lepszą sztukę. Nieoczekiwanie spotykam Maję, tę z wariatkowa. Wyszła ze szpitala, chuda jak ja. Teraz leczy się amfą. Najpierw gadamy o tym i owym, w końcu Maja stwierdza, że nie ma kasy, a musi się nawalić. Już się nie boję mówić wprost, o co chodzi, więc lecę otwartym tekstem:

— Jest okazja, żeby ci to zasponsorować, tylko trzeba się prześpać z pewnym gościem.

— Dobra, nie ma sprawy, nawet to lubię, nie mam uprzedzeń, tylko niech mi nie każe mówić, że go kocham, bo tego bym nie zniosła — dodaje, sędzę, że jak zawsze dla szpanu.

— Myślę, że możesz być spokojna — przekonuję. — Oni kochają tylko to, co będą z tobą robić. Nie licz na nic więcej. Nie zależy im na twojej miłości.

Osobiście jestem bardzo zadowolona z tego spotkania. Za urodę Majki mogę gwarantować. Wprawdzie nie ma biustu jak Pamela Andersen, prawdę mówiąc, nie ma go wcale, ale co do reszty, to nic jej nie brakuje. I najważniejsze, że jest małomówna. Nie wiem tylko, po co zgrywała się na strasznie niedostępną i zarozumiałą, skoro tak szybko postanowiła się zeszmacić. Ale nie mnie sądzić, w końcu nie jestem święta. Nikt mi tego nie zarzuci, cha, cha. Jedziemy do motelu, jakieś dwadzieścia kilometrów od Z. Facetów jest dwóch. Majka godzi się tylko na jednego. Drugi woła: — Przecież nie będę beczynn timer czekał, aż skończy! — I nieoczekiwanie ciągnie mnie za rękę z baru do pokoju. Tłumaczę, że tego nie było w umowie, ale nie skutkuje. Jest napalony jak martenowski piec.

W końcu krzyczę:

— Zostaw, nie ruszaj, jestem zarażona!

Nie wiem, co się dzieje, nagle spada na mnie grad pięści, facet bije mnie po twarzy, kopie, wreszcie wyjmuję z kieszeni tak zwaną choinkę z nożykami na sznurku i uderza mnie w brzuch. Czuję, jak pod koszulką spływa krew, a do tego ten piekielny ból.

— Wynoś się, szmato! — wrzeszczy, otwiera drzwi i wykopuje mnie na korytarz.

Uciekam, najpierw przez las otaczający motel, potem drogą w kierunku szosy. W końcu łapię stopa. Nie wyglądam najlepiej, moje podbite oko nabiera rumieńców, powoli mieni się jak tęcza. Kierowca pyta, czy nie trzeba mnie zawieźć na pogotowie

albo na policję. Dziękuję mu za ten gest, ale stanowczo odmawiam. Mówię, że mam cholernie zazdrosnego chłopaka i czasami mu odbija.

— Rzuć, dziecino, tego damskiego boksera, chyba, że przez całe życie chcesz wyglądać tak jak dzisiaj — radzi mi. Obiecuję to zrobić.

Kierowca przejął się moim losem, bo podwiózł pod sam dom babci. Dopadam zlewu z ledwie ciurkającą zimną wodą, przykładam do twarzy zmoczony ręcznik. Co za ulga. Powoli odklejam podkoszulek umazany krwią, rany na szczęście nie są głębokie, ale strasznie pieką. Zamiast plastra zakładam inną koszulkę. Teraz mam już w głowie tylko jedno — uciekać. Obolała pakuję swoje rzeczy do plecaka, dokładam do tego majdan Beaty, zamykam drzwi na klucz. Nie zostanę tu ani chwili dłużej. Miał rację Krasnal, trzeba uciekać. Tylko dokąd? Przecież mam legalne miejsce w internacie, przypomina mi się. Na dzień albo dwa mogę się tam schować. Co dalej? Nie wiem.

Autobusem wlokę się ze wszystkimi manelami na drugi koniec miasta. Bez kłopotów mijam portiernię, babusy z okienka są zajęte oglądaniem jakiegoś serialu. W pokoju zastaję obie lokatorki, rzucam na łóżko plecak i melduję, że chwilowo wróciłam. Nic nie mówią, ale widzę, że są wściekłe, szybko się przyzwyczaiły do dobrego. Wiem coś o tym. Przyglądają mi się z zainteresowaniem. Faktycznie, jest się na co gapić. Moje oko wygląda jak fioletowy pączek, wyjątkowo dobrze wyrośnięty.

— No co, miałam spotkanie z tygrysem — wyjaśniam. — Nigdy nie spotkałyście tygrysa? A szkoda. Duże przeżycie, naprawdę! — próbuję się uśmiechnąć, ale jest to niewykonalne, kładę więc zimny okład i idę spać.

Uciekam do... szkoły

Niespodziewanie przeobraziłam się w pilną uczennicę. Moje tęczne oko skryłam pod ciemnymi okularami. Chodzę do szkoły, potem wracam do internatu i nigdzie nie wyściubiam nosa. Boję się, wiem, że mnie szukają. Jak długo będę się ukrywać? Pewnie do końca świata i jeden dzień dłużej. Przecież nie wywloką mnie z lekcji siłą.

Wychowawczynie powiedziała, że mama znajduje się już w stanie agonalnym, więc kiedy nie było mnie w szkole, siedziałam przy jej łóżku w szpitalu. Popłakała się i jednym gestem usprawiedliwiła wszystkie nieobecności.

— Bądź dzielna, dziecko. Jestem z tobą — powiedziała na koniec naszej rozmowy. Czulałam się tak, jakby ktoś dawał mi w twarz.

Nie wiem, czy to z nerwów, ze strachu czy z tysiąca innych powodów, na przykład narkotycznego głodu, zemdlałam. Wezwali lekarza, dał jakiś zastrzyk, stwierdził, że jestem mocno niedożywiona. I tyle.

Beata odnalazła mnie w internacie. Przyszła odebrać swoją pościel, skoro już mi niepotrzebna.

— Szukałam cię u babci, dwa razy jeździłam na to zadupie i dwa razy pocałowałam kłamkę. Mogłaś mnie uprzedzić.

— Widocznie nie mogłam, skoro tego nie zrobiłam — tłumaczę.

— I kelnerce nie powiedziałaś, gdzie znikasz. Pytałam o ciebie, a ona na to, że też chciałaby wiedzieć, gdzie się podziewasz.

— Mam nadzieję, że nic jej nie powiedziałaś?

— No co ty — zapiera się. — Myślałam, że wyjechałaś do domu albo gdzieś w Polskę.

— Najchętniej do Nowej Zelandii, ale, niestety, tak się składa, że nie mam forsy na bilet. I zapamiętaj sobie: od dzisiaj umarłam, nie ma mnie, nie było i nie będzie...

Beata nie bardzo rozumie.

— Coś ty? Chcesz popełnić samobójstwo? — pyta zdezorientowana.

— Ja już nie żyję. Nie rozumiesz?

Moja koleżanka trochę łapie komunikat, ale nie do końca.

— W co ty się wplątałaś? — chce na mnie wymóc jakieś informacje. Jestem jednak stanowcza:

— Nie ma mowy, mniej wiesz, spokojniej śpisz. Zniknęłam jak kamfora. Nie widziałaś, nie słyszałaś. A teraz idź i kup mi zapas

papierosów, bo zdechnę. Potem zabierzesz klucz i oddasz go babci. O mnie ani słowa, jej też, zapadłam się pod ziemię i tyle.

Wiem, że Bea nie zdradzi, gdzie jestem, ale skoro tu dotarła, inni też dotrą. Boss nie jest idiotą. Nie da się zrobić przez taką płótkę jak ja, honor by mu nie pozwolił.

Wieczorem dziewczyny wołają mnie do telefonu. Wyrwana ze snu, nie bardzo wiem, kto wyraził chęć rozmowy ze mną o tak późnej porze. Jestem pewna, że to matka. A tu słyszę:

— Cześć, szef się niepokoi, czekamy na zwrot kasy.

— Nie mam — wypalam, nie bawiąc się w żaden wersal. —

Wiesz, że chciałam oddać, ale w umowie nie było bicia po pysku i dawania dupy w zastępstwie chętnych na te numery. Na takie warunki się nie godziłam. Przekaż to szefowi, a jak mi nie dacie spokoju, zacznę sypać.

Po drugiej stronie słyszę trzask odkładanej słuchawki.

Rozmowa kompletnie mnie zdołowała, przez całą noc nie zmrużyłam oka. Nad ranem nie mogłam się już powstrzymać przed wymiotami, z trudem dobiegłam do umywalki. Dziewczyny oczywiście słyszały moje boje nad zlewem. Jest mi głupio i wstyd. Ale co mam robić, nie panuję nad własnym żołądkiem i nerwami. Tak naprawdę nadaję się z powrotem do wariatkowa. Na lekcjach oczywiście nie mogę się popisać wiedzą. Mimo marnego poziomu, jednak poszli trochę do przodu. Najgorsze, że ciągle muszę spadać do kibelka, żeby uwolnić żołądek od sama już nie wiem czego. Na pewno nie jest to jedzenie, bo nie jestem w stanie niczego przełknąć. Papierosy najpierw przynosiły ulgę, a teraz powodują niemal natychmiastową reakcję. Nie mam też ani grama amfy, a przecież nie poproszę nikogo o taki zakup. Nawet Beata by mi chyba nie pomogła.

Słaniam się więc na nogach i po raz kolejny mdleję na lekcji.

Wychowawczynie bez uzgodnienia ze mną dzwoni do domu, żeby poinformować o moim stanie zdrowia. Telefon odbiera babcia.

Nauczycielka najpierw gorąco przeprosza, że w takiej sytuacji zawraca głowę moimi problemami, a potem pyta, czy ktoś z rodziny mógłby jednak przyjechać. Babcia nie rozumie, o co chodzi, więc prosi mamuszkę. Ta była chyba bliska omdlenia, słysząc że nauczycielka nie chciała jej wcześniej niepokoić, bo wie, że leży na onkologii i jest w ciężkim stanie.

W każdym razie zjawiała się następnego dnia. Akurat byłam na lekcjach, kiedy rozmawiała z kierownikiem internatu i portierkami. Nie zostawili na mnie suchej nitki. Opowiedzieli o moich nocnych powrotach, podejrzanym towarzystwie, które mnie tu

odwiedza. Radzili matce, żeby mnie zabrała do domu, nim będzie za późno.

Wychowawczynie od razu domyśliła się, że ją oszukałam.

Z matką w całkiem dobrej kondycji gadały ze dwie godziny. Ja siedziałam pod drzwiami i czekałam na wyrok. W końcu zaczęło się przesłuchanie. Oczywiście udawałam niewiniątko. Plotłam, że trudno

mi było się zaaklimatyzować w nowym miejscu, czułam się samotna i nikomu niepotrzebna. Mimo moich starań nie widzę sensu dalszego życia i nauki, jestem chora i nie potrafię sobie pomóc. Matka najpierw słuchała moich dobrze sobie znanych wyjaśnień, a potem wyciągnęła komórkę i gdzieś zadzwoniła. Słyszałam tylko:

— Dobrze, będzie miejsce, proszę przyjechać.

— O nie, do wariatkowa w Z. nigdy! — krzyczę. Matka uspokaja, że nie tam. Rozmawiała z tym doktorem, który mnie kiedyś leczył, a on zgodził się przyjąć mnie od jutra na oddział szpitala w naszym mieście.

I znowu nie mam siły się bronić, choć wcale mi się nie uśmiecha kolejny dom wariatów. Po chwili, kiedy opadają ze mnie emocje, kalkuluję, że takie rozwiązanie spadło niespodziewanie z nieba. Tam mnie przecież nie dopadnie boss ani jego kumple. Zresztą, co można wyegzekwować od wariata?

Nieoczekiwanie zmieniam front:

— Dobrze, mam, zgadzam się, muszę się leczyć, wiem o tym. Potem znowu czekam na korytarzu, matka załatwia jakieś formalności. W końcu przynosi arkusz z moimi ocenami i hiobową wieścią:

— Gotowi są zaliczyć ci rok, jeżeli zdasz trzy egzaminy: z chemii, matmy i niemieckiego. Dali ci taką szansę.

Powstrzymuję się, żeby nie wykrzyknąć, że nikt mi niczego nie dał, to ona dla mnie znowu coś wyżebrała, wypłakała, załatwiła. Pakuję swoje rzeczy, nie ma tego wiele, bez trudu mieści się w dwóch torbach. Matka zamawia taksówkę, jedziemy na dworzec. Jestem wolna! Zdaję sobie jednak sprawę z ceny tej wolności. Czuję się jak zwierzę wiezione do rzeźni, do tego z własnej woli...

Gorzki powrót

W drodze powrotnej nie odzywamy się do siebie. Matka milczy jak zaklęta, tylko jej drgające policzki świadczą o tym, jaka jest wściekła. Wiem, że nie uniknę awantury, ale chciałabym ją odwlec jak najdłużej.

W internacie w Z. byłam ponad dwa miesiące, a tyle się w moim życiu wydarzyło. Powoli uwalniam się od strachu. Jeszcze na dworcu nerwowo rozglądałam się, czy nie spotkam Kra- | snala albo innych kumpli z branży. Osiągnęłam pozorny spokój. Wiem jednak, że nie na długo.

W końcu to żaden problem mnie odnaleźć, moje miasto dzieli od Z. zaledwie 50 kilometrów. Liczę jednak (chyba oszalałam) na to wariatkowo, robię błyskawiczny bilans zysków i strat. Po jednej i po drugiej stronie wychodzi tyle samo. Kto wie, co znaczy strach, nie ten ze złego snu, ale realny, potrafi zrozumieć. Tylko, do cholery, co mi z tego?

Wlokę się do domu noga za nogą, tym razem sama dźwigam) plecak. Matka nadal się nie odzywa, jej milczenie zwiastuje! jak najgorzej. Znowu usłyszę to samo: „Zawiodłam się na tobie, niszczysz siebie i mnie, jesteś dnem.” Zwisa mi totalnie) jej opinia.

A może przestać ją oszczędzać? Wyrzucić wprost: „Jestem narkomanką, dealerką i kurwą, a nie twoim chorym, nieszczęśliwym, porzuconym przez tatusia dzieckiem. Powinnaś się mnie wyrzec, zmienić nazwisko, zostawić, kopnąć w dupę.” Ale jak to powiedzieć mojej dobrze wychowanej mamusi, która rumieni się przy świńskich dowcipach?

Głupia mała siostra piszczy z radości:

— Przyjechałaś! Chodź, pokażę ci pieska.

Ciągnie mnie do swojego pokoju i wręcza pluszową maskotkę. Babcia wita się serdecznie, ale to tylko babcia. Nie liczy się.

W milczeniu jemy obiad, potem matka zaczyna swój monolog. Znam na pamięć te święte słowa o poświęceniu, wysiłkach, by ratować moje zdrowie i życie, o tym, że ją oszukałam, olewałam szkołę, zadawałam się z podejrzanym towarzystwem. Nie chce mi się tego słuchać, więc przystępuję do ataku:

— Tak, jestem nienormalna, wariatka, więc trzeba mnie umieścić w kolejnym szpitalu. Proszę bardzo, jestem do dyspozycji. Możesz mnie nawet ubezwłasnowolnić i trzymać w meta-

lowej klatce jak wściekłego tygrysa. Skoro stwarzam zagrożenie dla otoczenia, tam jest moje miejsce. W końcu szpitale są pełne takich jak ja. Poprawię więc tylko statystykę, zgłaszając się dobrowolnie, bo tak chce moja mamusia!

Udało się, matka płacze.

— Musisz się leczyć, nie poradzisz sobie inaczej, sama widzisz, że innej drogi nie ma. Spróbowałaś, nie wyszło, ale nie można się załamywać, leczenie nie od razu przynosi skutek. Będziesz pod dobrą opieką, na innym oddziale niż w Z., wśród dorosłych ludzi, może ta droga okaże się właściwa. Lekarze, którzy chcą ci pomóc, są fachowcami. Uwierz, musisz się poddać leczeniu, bo inaczej zginiesz! Przecież nie po to cię urodziłam, żeby teraz patrzeć, jak cierpisz. Jesteś młoda, ładna, masz wszystkie atuty, aby być szczęśliwą.

Matka jest prawie w euforii. Zapewne chce zagłuszyć swoje sumienie, że wysłała mnie do wariatkowa. Obiecuje nawet wspólny wyjazd na wakacje, może na jakieś zagraniczne wczasy.

— Jezusa sprzedali za trzydzieści srebrników, a ty mnie chcesz prehandlować za jakiś kretyński wyjazd! Sama sobie jedź! Do Honolulu, na Hawaje, gdzie tylko chcesz, ja się z tobą nigdzie nie wybieram! — wybucham płaczem i wybiegam z pokoju.

Udało mi się, uniknęłam wielkiej awantury, ale co z tego.

Teraz już beczę nie na pokaz. Nie wierzę w żadne humanitarne metody leczenia, nie chcę znowu siedzieć w jakimś beznadziejnym miejscu, odpowiadać na bzdurne pytania, być królikiem doświadczalnym dla psychiatrów i psychologów.

Dlaczego nie mogą dać mi świętego spokoju, przestać zajmować się moim chorym żołądkiem? Tylu ludzi żyje jak chce, a ja żyję tylko według scenariusza wymyślonego przez moją matkę: matura, studia, potem mąż, dzieci i domek z ogródkiem. Ale już niedługo, bo za miesiąc będę pełnoletnia. Wtedy stąd spadam i niech mnie szukają nawet przez Interpol.

Próbuję zasnąć, jednak mój ściśnięty żołądek domaga się pomocy. Biegnę do toalety. Puszczam pawia za pawiem.

Babcia krzyczy na matkę:

— Zobacz, co się dzieje! Ona jest chora, nie można jej denerwować!

Matka też krzyczy:

— Jest chora, wiem! I co, mam jej pozwolić umrzeć?!

Trzaskam drzwiami od swojego pokoju, zapalam papierosa, ręce mi latają jak alkoholikowi w delirce, cała się trzęsę. Aby to

powstrzymać, zawijam się w koc i siedzę bez ruchu. Mija godzina, dwie, a może trzy. Już wieczór, w pokoju ciemno, nie chce mi się zapalać światła.

W mroku widzę kontury twojej sylwetki, Marilyn. Przynajmniej miałaś odwagę, żeby ze sobą skończyć, a ja umieram ze strachu przed bossem, przed kolejnym domem wariatów i ciągle żyję. Czy jest jakiś istotny powód, dla którego warto to wszystko znosić? Na jaką nagrodę mogę liczyć?

Nie wierzę w takie pierdoły jak miłość, która podobno nadaje życiu sens. Nie umiem kochać. Nie chcę przeżywać kolejnych rozczarowań, nie nadaję się do takich eksperymentów. Już się ze mną wystarczająco pobawili moja mamusia i tatuś. Potem zabawa im się znudziła, laleczka stała się zwykłą nudną szmacianką, którą rzucili w kąt i poszli szukać nowych zabawek. Ciebie, Marilyn, też zostawili, okradli ze złudzeń, zbrukali. Przestałaś być potrzebna, stałaś się ciężarem. Jak ja.

Łzy płyną mi po policzkach, nie wycieram ich, poduszka robi się mokra, wreszcie zasypiam. Śni mi się góra, na którą nie mogę wejść. Już prawie sięgam szczytu, kiedy jakaś nieznana sita spycha mnie w dół. Ponawiam próby i znowu to samo. Nie mam sił, spadam. Nie czuję lęku, tylko radość, że to koniec. Budzę się z ulgą, że nareszcie dzień, ale natychmiast trzeźwieję. Wariatkowo na bis! Oto, co mnie czeka. Palę papierosa za papierosem, niestety, nie mam nawet marnego skręta, żeby sobie poprawić nastrój. Wyglądam przez okno, czy nie stoi pod nim nikt podejrzany, ale tylko jakiś pies podlewa trawnik...

Trędowata

— Ona jest zarażona — oznajmia piguła, która mnie waży; i mierzy. Rzeczywiście, mój trądzik wydał niebywały plon. Plecy to jedna rana, twarz wygląda nie lepiej. Nie wiem, czy to wynik stresów, zaburzeń hormonalnych, a może pamiątka po amfie albo trawce. Mogłabym straszyć za pieniądze jako skrzyżowanie kiły z syfilisem. Ale nie będzie mnie głupia larwa obrażać. Mówię jej spokojnie, że się myli, ale moją wściekłość widać na milę. Po chwili robi się zamieszanie, sprowadzają młodego doktora, który ogląda mnie jak babę-dziwo. Stwierdza, że to typowy trądzik młodzieńczy. Jednak piguła nie daje za wygraną. Po chwili jadę na oddział dermatologiczny po werdykt. Tam znowu pijawki toczą krew do probówek i robią z nią różne czary-mary. Jakiś ważny profesor, autorytet w sprawie krost, ogląda moje wykwitki pod szkłem powiększającym, potem macha ręką wyraźnie zawiedziony, mówiąc, że to trądzik.

— A czego się pan spodziewał? Że choruję na trąd? I jakim prawem traktujecie mnie właśnie jak trędowatą? — pytam bezczelnie.

Patrzy na mnie zdumiony. Widocznie nie spodziewał się, że zwykły pacjent ma prawo się wkurzyć. Potem wciska mi do ręki receptę na maść, wyraźnie ma mnie dosyć. Ja go również, podobnie jak tego nowego wariatkova. Oddam kretynce profesorskie rozpoznanie, żeby mieć odrobinę satysfakcji, kiedy zobaczę jej głupią minę, i spadam. Nie wiem jeszcze, gdzie. Po prostu gdzieś. I nie zobaczy mnie tu już więcej.

Piguła ogląda receptę, czyta profesorskie bazgroły, a potem bez słowa chowa do moich szpitalnych dokumentów. Teczka jest pokaźna, widocznie moja mama zatroszczyła się, by mieli komplet. Rozpoznaję swój szpitalny wypis. A to suka, widocznie już od dawna chciała mnie tu umieścić. Niedoczekanie, za chwilę zrobię grzeczne pa, pa.

— Może ktoś by mnie wreszcie przeprosił — mówię do piguły. Udaje głuchą i niekumatą. I nagle słyszę:

— Ja cię przepraszam.

Oglądam się, by ustalić, kto te słowa mówi i czy rzeczywiście do mnie. Rozpoznaję lekarza, który najpierw załatwił mi wariatkowo w Z., a teraz umieścił tutaj.

— Niestety, nie mogłem być w szpitalu, kiedy się zgłosiłaś, bo miałem umówioną konsultację w innym szpitalu, ale bardzo

się cieszę, że się spotykamy.

— A ja nie bardzo. Jestem wariatką, bo tylko takie tu przecież siedzą, a jeszcze zrobiliście ze mnie trędowatą. Cholernie dobry początek, nie ma co...

Lekarz zaprasza mnie do swojego gabinetu. Jest miły, więc idę. Zresztą muszę mu wyjaśnić, że za chwilę spadam i żadna siła mnie nie powstrzyma. Podobno to oddział otwarty. Zaraz się o tym przekonamy.

Prosi pigułę o dwie herbaty. Wredne babsko stawia przede mną szklanekę z taką miną, jakby chciała mi wylać wrzątek na spodnie.

— Wybacz to niefortunne przyjęcie, ale podobno co się źle zaczyna, nie najgorzej się kończy. Ta pielęgniarka jest trochę nerwowa — usprawiedliwia swój personel.

— Jak to w domu wariatów — stwierdzam filozoficznie, a moja uwaga wyraźnie bawi rozmówcę.

— Trzeba przy tobie uważać, masz celne riposty. Lubię inteligentne dziewczyny — stara się zrobić wszystko, by poranne zdarzenie poszło w niepamięć. Oznajmiam jednak, że nie zamierzam zostawać w szpitalu i skoro mogę wyjść, zrobię to natychmiast.

— Te drzwi rzeczywiście są otwarte, ale nie musisz podejmować decyzji pod wpływem emocji. Przemyśl ją, daj czas sobie i mnie — namawia. — Bardzo chciałbym ci pomóc w rozwiązaniu problemów, z którymi się borykasz. Potraktuj to miejsce jak sanatorium, gdzie zamiast operacji proponują ci spacer, kąpiele albo tylko możliwość przemyślenia wszystkiego, co cię trapi, porozmawiania z kimś, komu na tobie zależy.

„Pewnie każdemu zakłada taki bajer”, myślę, ale jakoś nie mogę się zdobyć na manifestowanie niechęci wobec tego dosyć miłego faceta. Pozwalam mu więc kontynuować wywód na temat szpitala-sanatorium. I muszę przyznać, że jego głos ma rzeczywiście działanie terapeutyczne. Mówi bardzo spokojnie, precyzyjnie buduje zdania, widać, że jest fachowcem.

— Leczenie na oddziale młodzieżowym nie przyniosło spodziewanych rezultatów, ale to nie znaczy, że nie należy próbować. W końcu w tak skomplikowanej chorobie jak twoja nielato o sukces. Nie możesz jednak rezygnować. Chcę ci pomóc i mam pewien plan. Na przykład w ogóle zrezygnujemy z kontrolowania wagi. Zajmiemy się psychiką, a nie liczeniem kilogramów. Jeśli zaczniesz zdrowieć twoja — nazwijmy ją ładnie —

dusza, również ciało przestanie sprawiać kłopoty. Jest tylko jeden warunek: oboje — ty i ja — musimy chcieć, żeby się to udało. Jeżeli, tak jak deklarowałaś, nie podejmiesz współpracy, będzie to moja porażka jako terapeuty, ale twoja również. Dajmy sobie trochę czasu. Nie proponuję ci żadnych specjalnych leków. Oczywiście, jeśli czujesz się lepiej po prozacu, nie ma problemu, ale wolałbym, żebyś nie zażywała tabletek bez wyraźnego powodu. Na początek dwa tygodnie pobytu na oddziale, zanim zdecydujesz się, czy chcesz go opuścić. Będziesz brała udział w naszych zajęciach, ale głównie chodzi o pracę indywidualną. Jutro poznasz swoją opiekunkę, a teraz przedstawię ci współmieszkańcom pokoju, który zajmiesz. Nie ma tu drzwi bez klamek, wystarczy powiedzieć pielęgniarce, że chcesz wyjść, i kiedy wrócisz. Na soboty i niedziele dostaniesz przepustkę do domu. I co ty na to? Mogę liczyć na te dwa tygodnie?

Jakoś nie potrafię powiedzieć nie. Ale powodem wcale nie jest uzdrawiający głos pana doktora, po prostu się boję. Ciągłe mam wrażenie, że śledzą mnie ludzie bossa, dzwonek do drzwi powoduje, że umieram ze strachu. Dwa tygodnie spokoju to już coś. Więc chociaż cholernie nie chce mi się tu zostawać, zgadzam się.

Pan doktor wstaje, podaje mi rękę i mówi:

— Dziękuję. Wiem, że nie była to łatwa decyzja. Nie wnikiem, co na nią wpłynęło.

Nie wytrzymuję:

— Nie pańskie kazania o partnerskiej współpracy tylko mój strach. Jestem tchórzem, to wszystko. Jedni dają się czasem zamknąć ze strachu do więzienia, ja do wariatkowa.

Sanatorium

Na łózkach siedzą jakieś dwie starsze ciotki i piją kawę. No to wpadłam, ani z kim pogadać, ani się pośmiać. Zamieniłam moją mamusię na dwie inne mamuśki, nie wiem czy nie jeszcze gorsze? Patrzą na mnie ze zdumieniem, z powodu trądziku nie wyglądam kwitnąco, a może szokuje je, że trafiła im się taka gówniara jako dama do towarzystwa.

Na wszelki wypadek proponują, bym dołączyła do kawy. Jedna gada jak nakręcona, druga milczy, wygląda na otepiałą. Po godzinie wiem o nich prawie wszystko. Ta gadająca jest lekarką, która ma problemy osobiste z mężem, ta milcząca to nauczycielka; podobno uczniowie tak jej dali w kość, że wylądowała w domu wariatów.

Wiem też, że w skrzydle obok leżą alkoholicy, bynajmniej nie anonimowi, którym one robią różne dowcipy: umawiają się na randki albo posyłają karteczki z miłosnymi wyznaniem. Pewnie kiedyś jeździły na obozy harcerskie albo na kolonie. Śmiejesz mnie, że bez skrępowania opowiadają o tym takiej gówniarze jak ja. Przed spaniem jedna modli się gorliwie, druga odśpiewuje jakieś skoczne kawałki.

Na szczęście każda z nas pali; wszystkie robimy to w podobny sposób: szybko i nerwowo. Nie zauważamy, kiedy jeden papieros się kończy, a już sięgamy po drugi. Parzymy sobie palce co chwilę któraś syczy:

— O kurcze! Ale piecze! — I po chwili to samo.

Użalają się nade mną, bo jestem taka chuda, obiecują dokarmiać. Jedna jest na diecie, a druga ma z nerwów chory żołądek i nie może jeść, więc dla mnie wypadają podwójne porcje.

A może lekarka chce się upewnić, czy mam anoreksję? Wiem, że nie powinnam się przyznawać, bo co komu do tego, w sumie jednak lata mi to.

— No, w porządku, jestem anorektyczką — mówię. Mam jeszcze parę nałogów, ale niech się nie obawiają. Zęby wampira mi nie wyrosły, nikogo nie udusiłam, a na podryw do alkoholików nie pójdę, bo z moim trądzikiem nie mam szans, a do tego nie gustuję w facetach fioletowych od denaturatu.

Potem zasypiam i znowu śnią mi się koszmary. Krzyczę:

— Nie mam towaru, nie wiem, gdzie jest towar!

Lekarka siada przy moim łóżku, bierze za rękę i uspokaja:

— Jakiś sklep ci się przyśnił z towarami. Nie przejmuj się,

nie mamy kontroli nad swoimi snami, pomieszkasz tu trochę, uspokoisz się i będzie dobrze. To minie.

Na wszelki wypadek do rana nie zasypiam. Robię rachunek sumienia z ostatnich miesięcy. Klęska za klęską. Nie mam na czym budować swojego życia, jestem chora ze strachu. Moje ciało buntuje się przeciw dalszemu wyniszczaniu, mam dziury w pamięci, nie potrafię myśleć, z niczym nie umiem sobie poradzić. Właściwie jest mi już wszystko jedno, powinnam być zadowolona, gdyby ktoś od bossa wsadził mi nóż w plecy. Jutro wychodzę na ulicę, niech się stanie, co ma się stać!

Jednak to szpital, z odrętwienia budzą mnie znajome hałasy, brzęczy wózek ze śniadaniem, piguły roznoszą termometry i wołają na badania. Pijawki znowu toczą krew. Proponuję, że od razu mogę zostać honorowym krwiodawcą. Niech mi wypiszą legitymację i dadzą przydział na darmową czekoladę. Te głupie flądry nie mają jednak poczucia humoru, zresztą, czego się spodziewałam? Nie widzę tu żadnej z prawdziwym sercem dla pacjenta, odwalają tylko robotę. Mają w nosie, czy ktoś je lubi, czy nie. Za to chętnie przyjmują tak zwane dowody wdzięczności: pudełka czekoladek, kawusie, drogie papierosy. Ot, takie sobie, zwykle szpitalne obyczaje.

O tym, że to jednak szpital, a nie żadne sanatorium, przypomina również obowiązek spotkań w grupie. To chyba powszechnie stosowany model terapii. Od grupy wykręcić się nie można, ale można milczeć. To już mam opracowane. Siadam więc grzecznie w kąciку i słucham, jak prowadząca spotkanie wywołuje do odpowiedzi. Na pierwszy ogień idzie moja sąsiadka lekarka. Opowiada o swoich zamiarach pozbawienia życia znienawidzonego męża, o tym, jak wymyślała różne sposoby, by zrealizować ten plan. Rzeczywiście, wszystko, co mówi, przypomina filmowy scenariusz niezłego kryminału, tylko spisać. Po chwili z łatwością orientuję się, że pani doktor to mitomanka, umie zmyślać nie gorzej ode mnie. Prowadząca próbuje ją powstrzymać przed dalszymi wywodami, przypomina, że mitomania to jeden z jej problemów, z którymi musi się tu uporać, aby móc dalej żyć.

— Przepraszam — sumituje się pani doktor. — Rzeczywiście przesadziłam, znowu szybciej mówię, niż myślę.

(BRAK)

narysować kilka karykatur. Obiecuję gwarantowane podobieństwo do modelu. Pani, jak tu mówimy, od prac ręcznych i rysunków się zgadza. Na początek walę całkiem udany jej własny konterfekcik.

Jest wyraźnie zadowolona.

— Doskonale czytelne są twoje problemy — mówi, oglądając dziełko. — Te wszystkie przerysowania, złośliwe akcentowanie pewnych mankamentów mojego wyglądu dowodzą, ile w tobie żalu do świata i ludzi. Podobne są rysunki dzieci molestowanych, nieakceptowanych, pozbawionych miłości.

Gratuluje jej psychologicznych zdolności, ale złośliwie dodaje, że jest to przecież karykatura i jako taka opiera się właśnie na przerysowaniach i akcentowaniu niekoniecznie tego, co piękne.

— W porządku, następnym razem będziesz tkła makatkę — stwierdza specjalistka od psychologicznych zawłości i ręcznych robótek. — Może lepiej ci pójdzie.

Rozstajemy się w uprzejmej niezgodzie.

Idę odmeldować swoje wyjście na miasto. Dostaję zgodę na dwie godziny. Nikt nie posyła ze mną żadnego anioła stróża, więc praktycznie mogłabym wcale nie wracać, ale obiecałam sobie te dwa tygodnie jakoś wytrzymać. I widzę, że w tych warunkach jest to całkiem możliwe.

Zamykam drzwi i jestem wolna. Nie mam jednak odwagi pójść do miasta, krążę jak sęp wokół szpitalnych budynków. Oglądam się za siebie, szukam znajomych twarzy, przez chwilę mam wrażenie, że po chodniku idzie Krasnal. Ale to nie on. Jestem cholernie zdenerwowana, tak bardzo, że wymiotuję w najbliższych krzakach. Za chwilę robię to kolejny raz, wyrzucam swój strach.

I zamiast po dwóch godzinach, już po kwadransie odmeldowuję powrót do szpitala. Kładę się na łóżku, przykrywam poduszką i płaczę. Na szczęście jestem sama. Jedyne świadki mojej rozpaczy to popołudniowa szpitalna cisza.

Zaczynamy terapię

Wieczorem poznaję moją opiekunkę. Jest młoda, ładna, dobrze ubrana. Świetnie prezentuje się w markowych butach i spodniach. Zaprasza do pokoju. Ma dyżur, więc możemy sobie rozmawiać, ile chcemy. Na biurku widzę kilka fajnych książek, chyba nie tylko psychiatria to jej hobby. No, nie najgorzej. Nie trafiło mi się jakieś prymitywne babsko, chociaż życie już mnie nauczyło, żeby nie wyciągać pochopnie wniosków.

Przedstawia się. Ma na imię Małgorzata, co po grecku oznacza perłę. Gdzieś o tym czytałam, nie pamiętam, gdzie. Jestem trochę zaskoczona tą poufałością, bąkam swoje imię i rumienię się po czubki palców. Pytam, czy mogę zapalić. Podsuwa popielniczkę. Widocznie dostrzegła moje zdenerwowanie, więc stara się zrobić wszystko, żeby mnie oswoić.

— Wiem, że twoje kłopoty to sprawa kilku lat i ciągle nie potrafisz się od nich uwolnić, trochę cię przerosły. Na początek pomyśl sobie, że to żaden wstyd. Wszyscy, którzy się tu leczą, są w podobnej sytuacji. Nagle z jakiś powodów nie potrafią sobie radzić ze sobą, z otoczeniem, z pracą. I tak jak ty, szukają pomocy.

— Ja nie szukam — prostuję wypowiedź.

— W porządku, ujmijmy sprawę bardziej precyzyjnie: to twoja matka szuka jej dla ciebie. I jako matka ma takie prawo.

— Ustalmy jedno: czy pani jest jej rzecznikiem? Bo jeżeli tak, to nie mamy o czym rozmawiać.

— Interesujesz mnie wyłącznie ty, a nie twoja matka — oświadcza doktor Małgosia. — Sama ustalisz granice własnej szczerości. Będiesz mówiła tylko o tym, o czym będziesz chciała. Nie znam twojego życia, problemów, przed jakimi stanęłaś, złych i dobrych doświadczeń. Dla mnie dzisiaj jesteś jeszcze czystą kartą.

— Czysta karta z zachlapanym życiorysem — kwituję — można na niej wypisać drugi pobyt w wariatkowie. Moja kryształowa przeszłość, z taką tylko iść w świat.

Czuję, że żołądek podchodzi mi do gardła, za chwilę puszcę pawia na biurko. Wybiegam do toalety. Po chwili jest po wszystkim, mogę kontynuować rozmowę.

— Szpital to nie więzienie — doktor Małgosia próbuje mnie uspokoić, ale nie pozwalam na to.

— Niedługo i tam trafię, nie można ciągle uciekać —

Ona nie daje za wygraną:

— Skoro jesteś tutaj, a nie tam, widocznie zbyt pochopnie siebie oceniasz. Pamiętaj, że nie ma rzeczy nieodwracalnych, oprócz tej jednej, wiadomej, która będzie udziałem nas wszystkich. Sądzę, że tacy ludzie, jak ty, bardzo potrzebują akceptacji, a jednocześnie chcą czuć się wolni, chociaż nie zawsze w sposób właściwy z tej wolności korzystają. Trochę wiem, co to znaczy lęk przed życiem. Kiedyś cholernie nie chciałam zdawać matury, wydawało mi się, że nie dorosłam do tego, by opuścić szkołę, bałam się pójść w świat. I przestałam się uczyć, rodzice myśleli, że się zakochałam, nauczyciele prowadzili ze mną ostrzegawcze rozmowy, a ja ledwo przebrnęłam przez pierwsze półrocze, nie wiedziałam, jakie studia wybrać, nie chciałam o niczym decydować. Pomógł mi katecheta, któremu wyznałam swój problem. To on poradził, abym znalazła taki kierunek studiów, dzięki któremu lepiej poznam swoją psychikę, który pozwoli osiągnąć równowagę, będę też mogła pomóc innym, jeżeli z jakichś nieuzasadnionych i, zdawałoby się, mało racjonalnych powodów stanęli przed ścianą nie do pokonania. Na tej decyzji zaważył również pewien powód bardzo osobisty, ale nie chcę o tym mówić. Też mam prawo do swoich tajemnic. W końcu się przełamalam, ale wiem, że najtrudniej pokonać siebie. Czy podzielasz moje zdanie?

Nie wiem czemu, ale dałam się wciągnąć w rozmowę na tak zdradliwy temat. Zaczęłam mówić o poczuciu krzywdy z powodu rozvodu rodziców. Opowiedziałam, jak jedna z głupich nauczycielek spytała przy całej klasie, czy ojciec bił matkę i dlatego się z nim rozwiodła. Byłam wtedy w pierwszej klasie. Rozpłakałam się, a ona jeszcze: „O, jaka beksa! Śmiejcie się dzieciaki, płacze bez powodu!”

Potem z moją koleżanką Ełką wymyślałyśmy różne sposoby zemsty. Przechowywałyśmy spleśniałe ciasto w słoiku z robakami, żeby wyprodukować truciznę i załatwić tę małpę. Oczywiście po tygodniu zapomniałyśmy o wszystkim, a kiedy matka Ełki znalazła słoik w szafie, była wielka awantura. Ełka kłamała, że nie wie, skąd się wziął, nie mogła za karę jeździć na rowerze, ale pożyczyłam jej swój, więc i tak jeździła.

— Hasło: rozwód — od tego powinnyśmy zacząć — decyduje pani doktor. — Pomyśl, jak daleko czasami trzeba sięgnąć, by znaleźć przyczynę tego, co naprawdę istotne, co nas na całe życie okaleczyło albo zbudowało. I, jak widzisz, czas nie ma tu znaczenia. Zdarzają się pacjenci, którzy doznali różnych trau-

matycznych przeżyć w znacznie młodszym wieku, kiedy, зда-
wałoby się, ich pamięć nie miała prawa jeszcze tego zapisać,
a jednak tak się stało. I nie jesteś tutaj wyjątkiem. Wczesne
dzieciństwo to bardzo ważny czas dla naszej psychiki, ważne
jest nawet to, w jakiej kondycji psychicznej była matka podczas
ciąży. Jak powitałaś ten świat, łagodnie czy gwałtownie. Mówi
się o dzieciach dobrze urodzonych, co wcale nie znaczy, że
w rodzinach majątnych czy z rodowymi tytułami.

Fajnie nam się rozmawia, więc ciągnę wątek: mam preten-
sje do matki, bo wtrąca się w moje życie, chce je ustawiać po
swojemu. Wydaje jej się, że wie, co dla mnie dobre, ale na-
prawdę puste miejsce w moim sercu to ojciec. Nie umiem go
niczym zapełnić, nie potrafię przestać myśleć. A kiedy się spo-
tkamy, ostatnio zresztą coraz rzadziej, nie wiem, jak z nim roz-
mawiać.

Doktor Małgosia radzi:

— Pisz to wszystko, co chciałabyś mu powiedzieć. Przelewaj
na papier swój żal i gniew. Nie musisz tych listów nigdzie wysy-
łać. Może za dziesięć lat staną się kanwą jakiejś książki albo
spalisz je, jak przeszłość, z którą się uporasz. Nie mówię, że to
najlepszy sposób, ale możesz spróbować.

Na dzisiaj kończymy nasze spotkanie. Załatwiam jeszcze, że
nie będę musiała się publicznie zwierzać z moich problemów na
tak zwanej grupie, przynajmniej przez jakiś czas. Obiecuje, że
porozmawia z prowadzącą. Umawiamy się na następny wieczór
za dwa dni. Od tej pory tak już będzie, stanę się nocną pacjentką
pani doktor Małgosi.

Zeszyt w kratkę

Moje współmieszkancki są dosyć uciążliwe, bo bez przerwy rozmawiają, jedna szeptem, za to druga dudni tak, że słyhać ją na parterze. Komentują wiadomości telewizyjne, seriale, obgadują szpitalny personel. Pani doktor nie jest w stanie nawet na chwilę skupić się nad gazetą, najchętniej czytałaby na głos i analizowała zdanie po zdaniu. Nauczycielka robi mi egzamin z literatury i bardzo się cieszy, jak nie daję się zagiąć.

— Taką jedną mieć w klasie i jest z kim pogadać — komplementuje moją wiedzę.

Sprowadzam ją jednak na ziemię, mówiąc że lektur nie czytam z zasady, a moje zainteresowania literackie też są wybiórcze, ale ona i tak uważa, że jestem na szóstkę. Widać ci, którzy doprowadzili ją do rozstroju nerwowego, stanowili przykład wyjątkowego tumaństwa. Nie miała fartu, biedaczka.

Najbardziej mnie śmieszy, kiedy rozmawiają o facetach. Bez skrępowania mówią o swoich kochankach, zdradzają intymne szczegóły anatomiczne. Czuję się głupio, ale im to nie przeszkadza. Wprawdzie co chwilę upominają:

— Nie słuchaj, dziecko, bo ci uszy zwiędną — ale pytują jak przekupki na targu:

— Wiesz, jakiego on miał, cha, cha! I co nim robił, cha, cha!
I było ucha cha!

Trudno w takich warunkach pisać, ale postanowiłam spróbować. W końcu mam pewną podzielność uwagi, przećwiczoną przez tyle lat treningu z pamiętnikiem. Zatytułowałam mój zeszyt w kratkę: „Listy do ...”

Czas sprawił, że nie pamiętam już, jak to było, gdy zajmowałam ważne miejsce w moim sercu. Na pewno zostawiłam ci go bardzo dużo, bo jako dziecko nie umiałam jeszcze niczego dawać i odbierać, potrafiłam tylko dawać. Myślałam, że wystarczy cię kochać, żeby nic złego się nie zdarzyło. Wierzyłam, że to magiczne słowo „kocham”, to coś na zawsze. I że nie można go zabrać. Ty je jednak zabrałeś, odszedłeś wraz z nim i zostawiłeś mnie samą. Czasami jeszcze mówiłeś „kocham”, ale było to słowo obce, nieprawdziwe, miało inny dźwięk. Nie było w nim słońca, stało się martwe, jak spod ziemi. To „kocham” mówiły tylko twoje usta, a nie ty sam. Twoje usta powtarzały to słowo tak jak „do widzenia”, jak „dzień dobry”, zwyczajnie, bez uśmie-

chu, niczym informacje o pogodzie na koniec dziennika. Potem przestałaś mówić, zaczęłaś formułować komunikaty, precyzyjne, pozbawione przymiotników. W komunikatach nie ma słowa „kocham”, bo nie daje się zdefiniować. A jeżeli czegoś nie można zdefiniować, to znaczy, że nie istnieje. Więc wykreśliłaś słowo „kocham” ze słownika. Zamiast niego wprowadziłaś nowy termin: obowiązek alimentacyjny.

Od tej pory stałam się więc twoim obowiązkiem alimentacyjnym. I jestem nim do dzisiaj. Ciągłe słyszę: „Jeżeli nie będziesz się uczyć, nie spełnisz moich oczekiwań, przestanę wywiązywać się ze swojego obowiązku.” Nie wiem, czy masz takie prawo. Może nie masz, nie obchodzi mnie to. Odkąd zabrałaś słowo „kocham”, nic już nie jest ważne.

Pani doktor nie wytrzymuje:

— Co ona tam tak skrobie w tym kajecie, pewnie do chłopaka? Masz rację, dziecko, sztuka pisania listów umiera. Może trafisz do literatury.

Nie daję się sprowokować, ale też nie mogę zebrać myśli.

W takich warunkach trudno rozliczać się z przeszłością. Poczekałam, kiedy pójdą na telewizję. Wtedy znowu spróbuję.

Na razie wychodzę na wieczorny spacer, majowa wiosna szaleje, pachną drzewa i krzewy. Przyroda zaczęła swój wielki spektakl życia. Tylko mnie brakuje na nie sił, jestem jak stara kobieta, której już nawet laska nie pomaga chodzić. Moja zgarbiona sylwetka w mroku rzeczywiście przypomina postać staruszki.

Jestem sama w środku miasta, niedaleko od domu, do którego nawet nie chce mi się zadzwonić. Nikomu niepotrzebna, anonimowy przechodzień. Idę w noc z garbem starej kobiety na plecach. Pamiętam taką piosenkę, hymn Piwnicy pod Baranami: Ta nasza młodość, ten piękny czas... Nucę ją — brzmi jak song szyderycy. Przez chwilę wydaje mi się, że słyszę śmiech. To życie ze mnie drwi...

Wracam w końcu, ciągnąc nogi i chandrę. Piguła napada na mnie w korytarzu:

— Już po dwudziestej drugiej, a ty gdzie się włóczysz?

Tłumacząc grzecznie:

— Wyszłam na wieczorny spacer.

Upomina mnie, że każde wyjście trzeba zgłaszać, wieczorne również. Podobno dzwoniła matka i bardzo się denerwowała, że 'mnie nie ma.

— Zaraz ją uspokoję, niech się nie martwi, nie wrócę do niej na kwaterę — wyjaśniam pigule. Patrzy na mnie i nie bardzo

rozumie, o czym mówię.

— To już matka nie ma prawa martwić się o swoje dziecko?

— wzrusza ramionami. — Ale z ciebie ziółko, nie ma co.

— Pokrzywa, niech się pani odsunie, bo parzę — ostrzegam.

Wkurzyła mnie. Nie zna mojej mamuśki, na oczy jej nie widziała, a już by broniła. Wszyscy tacy sami, lekarze i pielęgniarki: mamusia i tatuś są cacy, tylko dzidzia jest be. Taka ciekawostka genetyczna, materiał bez zarzutu, a produkt? No, jakoś nie wyszło... Z reklamacją zadzwońcie do Pana Boga. To moja rada.

W pokoju nie ma nikogo, więc sięgam po zeszyt w kratkę.

Może nie pamiętasz, ale ja pamiętam doskonale, że kiedy wracaliśmy z przedszkola, nigdy nie trzymałeś mnie za rękę.

Nie wiem, dlaczego. Twoja dłoń była daleko. Już wtedy czułam, że coś jest nie tak. Moje koleżanki podskakiwały z radości, czepiając się ojcowskiej ręki, a ja maszerowałam obok jak mały żołnierz. Musiałam uważać, żeby się nie przewrócić, a jeśli się potknęłam, byłeś zły. Przecież byłam mała i wszystko mnie interesowało. Nie mogłam się skupić tylko na tej jednej czynności — stawianiu nóg bez zarzutu.

Tylu rzeczy ode mnie wymagałeś, a ja tak bardzo się starałam. I po co? Kiedyś w nocy, zanim trzasnęłaś drzwiami, słyszałam, jak mama prosiła: „Nie odchodź, przecież mamy dziecko.” A ty powiedziałaś: „Takich jak ona zrobię sobie sto.” Wtedy zrozumiałam, że to już koniec, starałam się na próżno. Wiem, że może nie chciałeś, by te słowa padły, bo przecież byłeś zły, spieszyłeś się do tamtej kobiety, ale je wypowiedziałaś, a ja usłyszałam. I ciągle je słyszę, kiedy dopada mnie bezdenne rozpacz. Wiem, że nawet gdybym zakleiła uszy woskiem i tak ciągle będą we mnie.

Pokochaj swój żołądek

Nasze drugie wieczorne spotkanie z doktor Małgosią. Miałam sama wymyślić, o czym będziemy rozmawiać, ale nie ze mną te numery. Nie wierzę nawet takiej miłej osobie jak ona, to moja wada charakteru, sorry, przykro mi.

Zaczynamy więc niewinną z pozoru gadkę-szmatkę, która po chwili przeradza się w zrećźnie prowadzone badanie mojej duszy, chociaż tym razem chodzi wyłącznie o ciało. Najpierw opowiadamy, co chciałybyśmy zmienić w swoim wyglądzie. Doktor Małgosia na pierwszym miejscu wymienia nogi. Ja mówię o twarzy. To znaczy nie o poszczególnych jej elementach, tylko o całości. Ciągłe wydaje mi się zbyt pulchna.

Obie wykluczamy jednak jakiegokolwiek korekcje plastyczne, ona odsysanie tłuszczu, bo jest to ingerencja w tak zwaną intymność, a ja ze strachu. Świadomość, że ktoś mógłby okaleczyć mi twarz skalpelem, byłaby nie do zniesienia.

Zdaniem pani doktor nie lubię mojej twarzy, bo jest jak dobrze wykonana mapa, zbyt czytelna, z wyraźną mimiką i ekspresją. Trudno na niej cokolwiek ukryć. Odchudzaniem chcę ją pomniejszyć, zmienić naturalny obraz, zakłócić rzeczywistość. To taka moja forma obrony przed światem. Nie wiem, czy ma rację, ale nie będę polemizować.

Następna rzecz, której nie lubię, to ręce, a właściwie dłonie. Są kształtne ale ciągle zimne, odmroziłam je kiedyś na złość mamie i teraz bardzo się ich wstydzę, najchętniej upycham w kieszeniach spodni, chowam pod stół. Nie mogę się też oduczyć ogryzania paznokci.

Doktor Małgosia jest zdania, że człowiek bardzo wiele może zrobić dla siebie sam.

— Kiedy boli cię żołądek, spróbuj mu ulżyć inaczej niż przez wymioty. Dotykaj go, ogrzewaj dłońmi, nawet mów jakieś miłe słowa. Zresztą zaraz zrobimy mały trening.

Każe mi podnieść podkoszulek i wykonać kilka kolistych ruchów w okolicach żołądka. I mówić: „Lubię cię brzuszku, jesteś mój, nie możesz mi sprawiać kłopotów.”

— Dodaj mu w ten sposób siły, by walczył ze skurczami — proponuje.

Trochę się wstydzę, ale doktor Małgosia także dotyka swojego brzucha i pokazuje, jak to robić. Po chwili obie gadamy do nich jak przysłowiowy dziad do obrazu. Gdyby ktoś nagle wszedł do

pokoju, zapewne pomyślałby, że obie jesteśmy niezłe stuknięte. Chociaż właściwie w domu wariatów wszystko jest możliwe. Potem omawiamy włosy. Jej są ciemne, dobrze przystrzyżone, zadbane. Moje sterczą jak pióra ptaka chorego na łysienie plackowate. Nieco odrosły, ale po wielokrotnym goleniu maszynką zostały dziury i prześwity. Pani doktor pyta, jakie były przed chorobą. Wyjaśniam, że chyba niezłe, ale też ich nie lubiłam, kręciły się w jakieś niesforne loczki. Pamiętam z dzieciństwa swoją głowę pełną warkoczyków, bo inaczej trudno było sobie z tym bogactwem poradzić. A ja chciałam być chłopakiem, bo tego pragnął tata. Ciągłe moczyłam pod kranem swoją grzywkę, szarpałam grzebieniem, żeby się wyprostowała. Po pierwszej komunii natychmiast ścięłam tę lwią plerezę, aż wreszcie nożyczki zamieniłam na maszynkę do strzyżenia.

Zdaniem doktor Małgosi świadomie pozbawiam się atutów kobiecości, bo nie chcę być kobietą, boję się braku akceptacji. Swoim destrukcyjnym działaniem dostarczam więc z góry argumentów na nie. Z premedytacją niszczę to, co we mnie ładne, nie chcę się wyróżniać. Wszystko to wynik niskiej samooceny, okaleczonej psychiki. Odchudzając się, świadomie chcę, aby było mnie mniej, a jednocześnie chcę zyskać uznanie wśród rówieśniczek. Decyduję się na wyrzeczenia, do których one nie byłyby zdolne, udowadniam swoją siłę, nie chcę się poddać. Anoreksja to choroba duszy, ale przekłada się na ciało. To już wiem. Ale jak polubić to, czego nie potrafię zaakceptować? Moja terapeutka proponuje mi, żebym często patrzyła w lustro nie po to, aby ocenić, jak bardzo jestem chuda, ale by mówić sobie na przykład; „Mam interesującą twarz, ładne oczy, nos.” Zauważam trochę złośliwie, że pani doktor chce, żebym zajmowała się wyłącznie sobą, a to się nazywa egoizm i nie należy do zbioru szlachetnych ludzkich cech.

— Przecież i tak to robisz nieustannie — sprowadza mnie na ziemię. — A czym jest walka, którą prowadzisz? Nie masz czasu na nic innego, nie interesuje cię twoja przyszłość, nie masz planów, jak dalej żyć. I nie możesz ich mieć, dopóki będziesz skupiona wyłącznie na sobie, ale w tym złym, destrukcyjnym znaczeniu. Nie można lubić i akceptować świata i ludzi, kiedy człowiek nie lubi siebie. Powinnaś to zmienić, inaczej nie ruszysz z miejsca. I nic się nie stanie nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Takie są tylko w bajkach. Ty sama dla siebie możesz być dobrą wróżką. — Zacznij od drobnych spraw, zrób sobie jakąś małą przyjemność, chociażby zaparz dobrą herbatę. Delektuj się jej sma-

kiem, pij ze świadomością, że to prezent dla ciebie.

— Nie chce mi się, nie potrafię — wypalam, ale doktor Małgosia nie daje za wygraną.

— Tego argumentu używasz nieustannie, jest jak zgrana płyta. Skoro potrafisz mówić „nie”, umiesz także powiedzieć „tak.” Chcę je właśnie teraz usłyszeć — głośne i wyraźne. I nie dlatego, żebym się od ciebie odczepiła i dała spokój. To „tak” musi być prawdziwe. Więc mówię:

— Tak, chcę to zrobić dla siebie.

Po chwili obie wybuchamy śmiechem.

— No, bez przesady z tym egoizmem, ja też się z przyjemnością napiję — mówi pani doktor. — Zaczęłam od herbaty, bo jestem jej wielkim smakoszem. W szufladzie znajdziesz paczkę oryginalnej angielskiej, mam też dwie porcelanowe filiżanki. W kącie stoi mineralna, wlej do czajnika.

Ręce mi się trzęsą, jakbym robiła to po raz pierwszy w życiu.

Uff, ale jestem spocona. Po chwili napełniam filiżanki naparem, pijemy małymi łyżkami. Tyle razy opróżniałam szklanki z herbatą i nie wiedziałam, że może mieć taki wspaniały smak.

Znowu ćпам

Dostaję przepustkę na sobotę i niedzielę, dwa dni wolności. Odruchowo sprawdzam, czy na ulicy nie ma nikogo podejrzanego, ale z radością stwierdzam, że coraz mniej się boję. Na wszelki wypadek nie pojedę do Z. przez najbliższych kilka lat. A może po prostu o mnie zapomnieli? Przecież muszą zakładać ryzyko wypadki. Nie zawsze jest sukces, czasami trzeba stracić. Nie były to zresztą wielkie pieniądze, przynajmniej nie dla nich.

Wariatkowo też nie jest takie najgorsze, tylko co dalej? Nie będę w nim siedzieć do końca życia. Nie potrafię niczego zaplanować na dłużej niż jeden dzień, ale coraz częściej zadaję sobie to pytanie. Za rok matura. Chyba jednak nie dla mnie. Musiałabym uwierzyć w cud, a takim jak ja cuda się nie zdarzają. Chandra sprawia, że z trudem znoszę panujący w autobusie tłok, widzę koleśków z plecakami, jadą ze szkół. Rozmawiają o sprawdzianach i jakichś zaliczeniach. Słucham i trochę im zazdroszczę. Skończą szkołę, będą mieli z głowy, a ja? Mam polubić siebie, ale jak to zrobić, skoro zamiast sukcesów same klęski. Beznadzieję też można polubić, czemu nie, tylko jaka z tego satysfakcja?

W domu rzucam w kąt torbę ze szpitalnymi ciuchami. Jest tylko babcia, która walczy z małą, by założyła rajstopy. Gówniara co chwilę ucieka, a biedna staruszka miota się od pokoju do pokoju. Wreszcie pyta:

— Jak ci tam, kochanie? Bardzo źle?

— Wspaniale, rewelacyjnie i cudownie. Jak w domu wariatów — wyżywam się na niej, bo jest pod ręką. Potem biegnę do łazienki, by zmyć z siebie szpitalny zapach. Godzinę siedzę w wannie. Moje chude nogi przypominają dwa kije, jestem płaska jak deska, biust kompletnie zanikł, tylko trądzik na plecach ma się doskonale. I co tu lubić? Pani doktor naczytała się mądrych książek i chce zbawiać świat głaskaniem. Nie umiem jednak myśleć o niej źle. Potrafi w taki sposób prowadzić rozmowę, że nie wiadomo kiedy ze słuchacza stajesz się uczestnikiem.

Nasze wieczory wyglądają zupełnie inaczej niż spotkania w Z., które głównie mnie wkurzały; ten wszystkowiedzący ton, niczym nie kamuflowane poczucie wyższości. Ty jesteś nikiem, masz się podporządkować regulaminowi, który wyraźnie wyznacza, co jest dobre, a co złe. Zasłużysz — dostaniesz. Nie — poma-

chają ci marchewką.

Może jednak za bardzo się zachwycam panią doktor, dopiero dwa razy rozmawialiśmy, a ja już dostrzegam tylko pozytywy. Pora wziąć zimny prysznic na otrzeźwienie.

Kąpiel w domowej wannie sprawiła, że trochę się wyluzowałam. Nawet nie czuję bólu żołądka, zasiadam do obiadu, babcia skacze nade mną, przynosi sałatkę z pomidorów, stawia deser. Jem i wyjątkowo wszystko mi smakuje. Potem gapię się w telewizor i przeglądam jakieś gazety. Co dalej z odzyskaną wolnością? Przecież nie będę wiecznie tkwiła w domu. Zbieram się na odwagę i wykręcam numer do Igły.

— Niemożliwe! To ty?! Gdzie się ukryłaś, do cholery, że nie mogłam cię znaleźć? — krzyczy, jakbym dzwoniła z Hongkongu. Nie chce mi się jej niczego wyjaśniać. Umawiamy się „Pod Kasztanami.”

— Tylko nikogo ze sobą nie przyprowadzaj, nie mam ochoty na żadne spotkania — zastrzegam. Igła wie, że potrafię się wkurzyć, więc na pewno nie zaryzykuje.

Jadę do centrum, ale z nieznanych sobie powodów wysiadam przy dworcu, węszyć jak pies po peronach, czy nikt mnie nie szuka. Najchętniej wszłabym jeszcze do dworcowego kibla, ale w końcu daję spokój.

Igła jest jeszcze chudsza ode mnie i ma się nie najlepiej. Jest załamana. Mówi, że nie może się skupić na nauce, bo mnóstwo czasu zabierają jej ćwiczenia, a tych za nic nie potrafi sobie odpuścić. Znam to. Poszła też ostro w trawkę, żeby nie czuć głodu. Częstoje całkiem pokaźną porcją. Nie odmawiam, dawno mnie korciło, żeby zapalić i poczuć ten błogi stan. Już trochę zapomniałam jak to jest, gdy zaczyna brakować paliwka, jak trzęsie i mdli.

Po godzinie jestem niezłe wstawiona, opowiadam Igle o wariatkowie, proponuję, że gdyby się zdecydowała, to trzymam dla niej miejsce. Wtedy nie będzie się musiała przejmować maturą, a kochana mamusia przestanie truć. Jednak Igła nie chce o tym słyszeć.

— Nie zrobię jej przyjemności. Znowu pasłaby mnie kompotami i roladkami z kremem, dobrze znam swoją mamusię. Ani entuzjastyczna opowieść o miłej pani doktor nie jest w stanie jej zachęcić, ani przepustki.

— Jeżeli już mam zawalić rok, to trudno, najwyżej pójdę do wieczorówki. Tam mniej wymagają, a poza tym tak naprawdę wisi mi, obleją mnie, czy nie.

Więc kończymy temat, bo jakie ja mam, do cholery, prawo, by sprowadzać Iglę na drogę cnoty, skoro robię dokładnie to samo, co ona.

Obgadujemy znajomych, wszyscy przez ten rok sporządzili. W szkole nudno jak cholera, zaczęła się walka o stopnie, nie ma imprez, jak to przed końcem roku. Mnie, niestety, nikt już nie wspomina, mają nowe tematy. Trudno, nie rozplączę się, ale trochę głupio, że największa szpanerka w klasie stała się dla nich nikim.

Nie mam kasy na taksówkę. Żeby zdążyć na ostatni autobus, muszę niestety, spadać. Namawiam Iglę, żeby mnie odwiedziła w szpitalu. Najpierw się wzbrania, a w końcu mówi:

— Spoko, wpadnę. Nigdy dotąd nie byłam w domu wariatów. Chyba siłą mnie tam nie zatrzymają?

W domu czeka na mnie matka, jest wściekła, że wracam tak późno. Wtóruje jej ukochany małżonek:

— Podobno chora, a włóczy się po nocach.

Jak ja nienawidzę tego faceta i tego domu, w którym ciągle wszystkim przeszkadzam.

Nie potrafię się powstrzymać, bo po trawce wstąpił we mnie duch walki.

— Proszę uważać, jestem wariatką, a takiej wszystko wolno! Radzę się dokładnie zamykać w sypialni.

Potem z radością idę się wyrzygać. Robię to głośno i bez skrępowania. Mszczę się, ja i mój żołądek.

Pisklę wypadło z gniazda

Wracam z przepustki na kolejny obiecany lekarzowi tydzień odsiadki, mam nadzieję, że ostatni. Moje sublokatorki są w konflikcie. Staram się im jakoś pomóc. Kroję ciasto, które upiekła babcia, parzę kawę, ustawiam wszystko na stoliku, opowiadam dowcip o blondynkach. Już po chwili po burzy nie ma śladu. — Coś ty taki skowronek? — pyta pani doktor. — Pewnie z chłopakiem się spotkałaś i bara, bara. Każda z nas musi od czasu do czasu.

Widzę, że bardzo ją rajcuje ten temat. Mnie, niestety nie. Nienawidzę facetów za siebie i za Marilyn. Żadnemu nie oddam władzy ani w życiu, ani w łóżku. Jeśli miałabym trafić na takich smętnych dupków jak mój ojciec albo ojczym, wolę kwitnąć w staropanieństwie do stu lat. Nie rozumiem, jak można biegać za byle spodniami, a potem znosić różne upokorzenia. Wolność wyboru daje mi prawo, żeby nie być jak ślepy baran w stadzie. — Nigdy nie wyjdę za mąż — deklaruje zdecydowanym tonem. Moje sąsiadki wybuchają śmiechem.

— Zobaczymy. Każda tak mówi, a potem nie może się doczekać, żeby zaciągnąć chłopca do ołtarza.

— A po kilku latach biega po sądach, żeby dostać rozwód — nie mogę się powstrzymać od złośliwego komentarza. — W międzyczasie urodzi przyszłe sierotki, bo kochanym rodzicom przestanie się chcieć budować własne gniazdko. Najpierw powyrzucają z niego swoje pisklęta, a potem sami się wyprowadzą. A że się pisklakowi w czasie takiego lądowania z gniazda złamie nóżka, urwie skrzydełko, to trudno. Pokuśtyka sobie jakoś przez to życie.

Zdumione, słuchają moich argumentów. Po chwili pani doktor podchodzi do mnie, przytula i mówi:

— Nie chciałyśmy robić ci przykrości. Fajna z ciebie dziewczyna. I bardzo nieszczęśliwa.

Wyrywam się z objęć. Biegnę się wyplakać do kibla.

Wreszcie przychodzi Igła. Urwała się z lekcji, bo mieli sprawdzian z matmy, a ona jak zwykle była nieprzygotowana. Załatwiam przepustkę, mówię, że nie będzie mnie na obiedzie i zmywamy się do miasta.

Z Iglą jestem wyluzowana, nie oglądam się ciągle za siebie, nie wypatruję, czy ktoś za mną idzie. Mam trochę kasy, zamawiamy więc po piwku, które wyraźnie poprawia mi nastrój. Znowu chce mi się palić, koleżanka solidarnie dzieli się swoją por-

cją. Jak dobrze, żeby tylko nie trzeba było wracać do wariatkowa... Igła jest już prawie pewna, że przypadnie i nawet mamusia swoim błaganiami niczego nie załatwi. Jestem w podobnej sytuacji. Wprawdzie mogłabym zdawać po wakacjach, ale nie czuję takiej potrzeby. W końcu jestem chora, przynajmniej za taką mnie uważają, więc chyba wolno mi skorzystać z prawa do długich wakacji. Planujemy wyjazd za granicę. Można się załapać na niezłą robotę, trzeba tylko pogadać z dawnymi kumplami. To ma zrobić Igła, bo ja jakoś nie mam odwagi. Jeżeli nie wyjdzie, pójdziemy zmywać talerze w knajpie. Ja z moimi zdolnościami nie wiem, czy zarobię na te, które potłukę, ale przynajmniej piwo będzie za darmo. Obie nie mamy jasnych planów na przyszłość. Igła gardzi tymi wszystkimi ambitnymi dupcami, które nagle zapragnęły zostać prawniczkami czy lekarkami. Głupie drobne mieszczki, tylko kasa się liczy, zero romantyzmu. Potem schemacik: mąż, dzieciątka, domek, działeczka. Nuda i nic więcej. Na pewno bardziej oryginalnie jest nie mieć żadnych planów niż takie. Moje marzenie to kupić sobie harleya albo zostać kierowcą ciężarówki w Teksasie. Igła mówi, że najchętniej poszłaby do wojska i czołgała szeregowych do krwi ostatniej. Po chwili lustrujemy swoje chude sylwetki i ryczymy ze śmiechu. Ja, bo wyobrażam sobie, jak w takiej wielotonowej ciężarówce zmieniam koło, a Igła, jak biega z bronią i ciężkim plecakiem po poligonie. Naszym układnym koleżankom spadłyby kapcie z nóg, gdyby okazało się to prawdą.

Niestety, czas na mnie, muszę spadać do wariatkowa. Może do końca tego tygodnia jakoś wytrwam, a co dalej? Będę myśleć, gdy przyjdzie na to pora.

Nie mam odwagi wrócić do szpitala nawalona, więc grzecznie rezygnuję z propozycji Igły, żebyśmy wzięła coś na nerwy. Na szpitalnych schodach spotykam lekarza, któremu obiecałam dwa tygodnie odsiadki. Zaprasza do gabinetu, rozmawiamy o doktor Małgosi, jest zadowolony z naszych kontaktów. Widzę, że orientuje się w tematach wieczornych rozmów. Następnym razem chyba ugryzę się w język.

— Chciałbym, żeby nasza terapia przyniosła skutek i mam nadzieję, że wszystko idzie we właściwym kierunku — mówi. — Czasami człowiek potrzebuje sporo czasu, by dojść ze sobą do ładu, ale najważniejsze, żeby ruszyć z miejsca. Jeżeli już tak się stanie, nie wolno się zatrzymywać. Dlatego mam prośbę: przemyśl, czy nie warto побыć tutaj trochę dłużej. Nie oczekuję odpowiedzi od razu, ale daję ci tę sprawę pod rozwagę. I nie

ukrywam, liczę na zrozumienie.

— No tak, mogłam się tego spodziewać! Najpierw dwa tygodnie, potem trzy albo nie wiadomo ile jeszcze. Tak pan to zaplanował?

— Nie tak — usprawiedliwia się. — Powiem wprost: obawiałem się, że w ogóle nie ruszymy z miejsca, a wtedy trzymanie cię tutaj nie miałoby żadnego sensu. Teraz zaczynam być optymistą. Rozważ moją propozycję. Jeśli się nie zgodzisz, po jakimś czasie będziesz musiała zaczynać wszystko od nowa. Będzie jeszcze trudniej.

Wybiegam z gabinetu wściekła, że tak się dałam podejść.

Nie wierzę nikomu, nie chcę, nie zgadzam się! Z nerwów mój żołądek reaguje w sobie znany sposób, ledwo dobiegłam do toalety. Potem padam na łóżko mokra od potu, jak foksterier, który wleciał do kałuży.

Jeżeli myślę — matka

Nadal nie chcę proponować tematów do naszych rozmów, więc doktor Małgosia mnie w tym wyręcza.

— Mówiliśmy o ojcu, nie unikniemy więc rozmowy o matce.

Czy mogłabyś określić uczucia, jakie do niej żywisz?

— Proszę bardzo: nienawiść, pogarda, litość — wypalam bez zastanowienia.

Jest trochę zaskoczona moją szybkością w formułowaniu opinii o ukochanej mamusi. Prosi, żebym w sposób bardziej precyzyjny uzasadniła, co to znaczy.

— Nienawidzę dlatego, że w swoim życiu dokonała złych wyborów, za które ja teraz cierpię.

— Czy tylko ty? — chce się upewnić moja rozmówczyni. —

A ona? Pomyślałaś o niej?

— Być może. Nie obchodzi mnie — oświadczam. — To jej decyzja, więc cierp ciało, jak się chciało. Natomiast ja na pewno nie chciałam.

— Nie zostawiasz innym prawa do błędu — to typowe dla osób bardzo skupionych na sobie. Gdyby człowiek wiedział, że upadnie, to by się położył, ale nie wie, że upadnie.

— Banaly — przerywam niezbyt grzecznie, ale nienawidzę okragłych zdań. — Nikt jej nie kazał wychodzić za męża za mojego tatusia. Nie była w ciąży, nie była ani stara, ani brzydka, mogła poczekać!

— A jeśli się zakochała? Nigdy nie przeżyłaś tego stanu, nie wiesz jak to jest? — wypytuje pani doktor.

— Wiem, ale do głowy mi nie przyszło, żeby za jakiegoś dupka wychodzić za męża. Gardzę tym, a ona jak ślepy kot. Dostała po nosie i co? Niczego się nie nauczyła, znowu mężulek, dzieciątko. A jak nam się znudzi, to bierzemy zabawki i opuszczamy piaskownicę.

Nie mogę się powstrzymać od płaczu. Jak zawsze nie mam chusteczki, wybiegam więc do toalety. Chce mi się wymiotować. Układam ręce na brzuchu i kolistymi ruchami staram się opanować skurcz mięśni. Pomaga!

Po moim powrocie doktor Małgosia robi herbatę, siedzimy w milczeniu.

— Jeżeli ta rozmowa jest zbyt trudna, możemy ją przerwać — proponuje.

— Nie ma sprawy, może lepiej mieć to już z głowy. Mam

pretensje, że nie zatrzymała ojca, są przecież jakieś babskie sztuczki — uzasadniam opinię o matce. Mogła mu wybaczyć ten romans, a ona nie, od razu czarna rozpacz, nie daruję i do widzenia.

— Może to ojciec nie dał jej szansy? A jeśli po tym, co się stało, nie potrafiła mu już zaufać? — pani doktor stara się kontrować moje oskarżenia.

— Ciągle ona i ona. A ja? — Znowu chce mi się płakać. — Jak umierała z rozpacz, nie liczyło się nic, nie obchodziło jej, że ja też cierpię. Byłam dzieckiem, a miałam spełniać rolę powiernicy. Musiałam oglądać jej zapłakaną twarz, jej smutek, bezradność. Chciała, żebym to ja była silna za nią i za siebie. Nie rozumiała, że ta rola była dla mnie za trudna. Przecież właśnie wtedy to ja potrzebowałam silnej matki, żebym sama w przyszłości mogła być silna. Myślałam, że jeżeli się taka stanę za nią, to nie będzie jej już potrzebny żaden inny facet. Więc się starałam. Ale otrząsnęła się w końcu jak kura z piasku i poszła szukać innego koguta. Odtąd nie musiałam już walczyć o nią, rozpoczęłam walkę z własnym ciałem. I nie rozumiem dlaczego teraz to ona chce mnie ratować, dlaczego wysyła do domu wariatów, prowadzi po lekarzach. Niech się zajmie swoim życiem, a moje pozostawi mnie.

Doktor Małgosia milczy, chociaż chciałabym, żeby wreszcie się odezwała, powiedziała, kto tu ma rację, matka czy ja?

Nareszcie słyszę jej głos:

— A jeśli cię kocha, tak jak potrafi kochać tylko matka? Nie zakładasz, że to jest właśnie miłość? Walczy o ciebie, chociaż dawno już miałyby prawo się zmęczyć, chociaż jej tego wcale nie ułatwiasz. Nie tylko ty. Także twój ojciec i jej obecny mąż. Ta walka przypomina taniec pajaca na linie, chce uratować ciebie, ale ma też już nową rodzinę, której potrzeby są równie ważne. Lina wypręża się więc w różnych kierunkach. I jak tu utrzymać równowagę? Każdy chce ją przeciągnąć na swoją stronę.

Widzę, że moje argumenty nie wypadają zbyt przekonująco, więc kontynuuję:

— Nienawidzę tego błagalnego tonu, tych wiecznych prośb, tego wydeptywania ścieżek, choćby do samego Pana Boga, żeby wyprosić dla mnie przełożenie egzaminu, załatwić, by nie pytali. Postanowiła ochronić swoją córeczkę przed wszystkim, co trudne. Dlaczego nie da mi szansy, bym sama zmierzyła się z życiem, dostała porządnie po głowie? Dlaczego nie chce zamknąć w końcu tego parasola i pozwolić, żebym zmokła?

— Bo cię kocha, może nierozsądnie, ale tak jak potrafi. Nie jest wobec ciebie konsekwentna, bo widocznie nie umie. Nie jest twar-
da, ponieważ nigdy taka nie była, ale ciągle jest przy tobie. Choruje, kiedy ty chorujesz, płacze, kiedy ty płaczesz. To się nazywa instynkt, na pewno nie poparty żadnymi wypracowanymi metodami wychowawczymi, ale metody są wynikiem pewnych kalkulacji, a miłość to sprawa serca.

— A gdzie rozum? — pytam moją terapeutkę.

— Miłość nie zawsze kieruje się rozumem. Mam nadzieję, że po tych doświadczeniach sama będziesz lepszą matką dla swoich dzieci, bo wiesz, jakich błędów nie należy popełniać, ale miłość to fundament, dopiero na nim można budować dom.

— Pani też jest po jej stronie, pewnie już i tutaj sięgnęły jej macki — atakuję. — Każdego omota, jest w tym dobra, wiem!

— To ty boisz się prawdy i nie chcesz jej przyjąć. Jeżeli coś nie jest po twojej myśli, od razu zakładasz teorię spiskową. Nie wiem, co naprawdę jest w twoim sercu. Jakie uczucia żywisz do matki. Myślę, że jednak miłość. Tak reaguje tylko ten, kto naprawdę kocha, chociaż nie chce się do tego przyznać. Inaczej nie potrafiłby wyzwolić z siebie tylu spontanicznych reakcji. Teraz właśnie jesteś prawdziwa, chociaż tego nie chcesz. Boisz się odsłonić, przyzwyczaiłaś się do chowania za podwójną gardą. Schowana czujesz się bezpieczna. Ale nie można ciągle siedzieć w ukryciu. Będziesz musiała wyjść, inaczej nie da się żyć. Więc przestań się chować. Może jeszcze nie jesteś na to gotowa, ale mam nadzieję, że taki moment niebawem nadejdzie. Na dzisiaj kończymy. Było trudno, wiem, ale czasami musi tak być, żeby potem było już z górki.

Zdradzam swoją tajemnicę

Moje panie z pokoju nie mogą zrozumieć, dlaczego innych leczą w dzień, a mnie w nocy. Nie chce mi się tłumaczyć.

— Taki układ — mówię. Oczywiście nie zadowala ich ta odpowiedź.

— Żebyś jeszcze tyle czasu rozmawiała z jakimś przystojnym doktorkiem, w porządku, ale z babą? — komentują złośliwie.

— Nie jest taka zła i wcale nam się nie nudzi, chociaż bynajmniej nie rozmawiamy o seksie — wyjaśniam.

— To o czym można tyle gadać? — pytają zdumione.

— Spowiadam się. Jeden chodzi do konfesjonału, inny do psychiatry.

— Wszystkie tu mamy swój konfesjonał, tylko ty się uparłaś milczeć na grupie. Czasami lepiej wyrzucić własny ból publicznie, niż gnębić się w samotności — nie wytrzymuje pani doktor.

— Jeden woli spowiedź powszechną, inny prywatną.

Chciałabym już skończyć ten temat, bo nie mam zamiaru opowiadać im o naszych spotkaniach. Uważam je za coś intymnego, nie na sprzedaż. Niestety, za chwilę idziemy na grupę.

Tym razem się nie wykręcę. Nowa pacjentka opowiada o swoich myślach samobójczych i to z powodu, który nam wydaje się co najmniej śmieszny. Ma na nosie brodawkę i od pewnego czasu nie może z tym żyć. Twierdzi, że narodził się bardzo ją szpeci, rośnie i się powiększa, chociaż chirurg nie dostrzega nic złego.

— Ja wiem, to na pewno rak, widzicie, strasznie wygląda.

Ale wyciąć nie mogę, znamion lepiej nie ruszać — tłumaczy.

Z powodu brodawki rzuciła pracę, bo wydawało jej się, że wszyscy widzą ten defekt. Przestała wychodzić z domu, siedziała w ciemnym pokoju, żeby nikt nie oglądał jej zniekształconej twarzy. Aż w końcu mąż zagroził rozwodem, jeżeli nie będzie się leczyć.

— Jak oceniacie problem naszej nowej koleżanki? Czy może być powodem takiego postępowania i jak ma sobie z nim poradzić? Kto na ochotnika zacznie jako pierwszy? Może ty? — terapeutka wskazuje na mnie. Trudno. Wywołana do tablicy zaczynam swój monolog:

— Wiem, że z taką wizją siebie ciężko żyć. Nie ma znaczenia, czy inni dostrzegają nasz problem i go rozumieją. Też nie akceptuję swojego ciała, jestem anorektyczką. Każda z was powie na pewno, że jestem za chuda, a ja ciągle widzę inny obraz, uważam, że mam

zbyt pulchne policzki, a mój brzuch nie jest jeszcze dostatecznie płaski. W swoim lustrze dostrzegam po prostu co innego i, by zbliżyć się do ideału, muszę stosować różne diety, prowokować wymioty, robić głodówki. Wiem też, że w pewnym momencie takie działanie wymyka się spod kontroli i nie jesteśmy w stanie sobie pomóc, bo dla nas problem ma inny wymiar. Trudno komuś, komu wydaje się, że jest za gruby, kazać przytyć. Równie niemożliwe, by ktoś przekonany, że na przykład szpeci go brodawka, mówił: „To tylko małeńkie znamię, którego nie widać”. Po prostu jeden widzi, drugi nie. Jak się uwolnić od tego problemu? Nie wiem. Gdybym wiedziała, nie byłoby mnie tutaj. Podobno trzeba polubić siebie. Proste, ale tylko wtedy, kiedy potrafimy. — Kończę wypowiedź i otrzymuję oklaski za odwagę, że potrafiłam się przyznać do swojego problemu.

— Witaj w grupie — mówi prowadząca.

Po chwili wywiązuje się dyskusja. Zdania jak zawsze są podzielone. Część rozmówczyń uważa, że należy wziąć przysłowio-
wego byka za rogi i powiedzieć sobie i innym: „Tak, mam taki problem z brodawką na nosie. Inni go bagatelizują, a ja nie potrafię”. Wyjść naprzeciw ewentualnym pytaniom, co mi dolega? Druga grupa uważa, że trzeba zaakceptować swój wygląd, starać się przenieść zainteresowania na inną płaszczyznę. Znaleźć sobie jakieś nowe hobby, coś, co sprawi, że przestaniemy obsesyjnie myśleć tylko o tej nieszczęsnej brodawce.

Generalnie wszyscy mają rację. Jest tylko jeden mały szczegół: jak to zrobić? Na to pytanie żadna z nas nie potrafi odpowiedzieć.

Zajęcia z terapii pracą nudzą mnie śmiertelnie, cały czas zastanawiam się, czy właścicielka znamienia na nosie, haftując serwetkę, myśli o swojej brodawce, czy raczej kontroluje stan nitki, żeby się nie poplątały. Rzeczywiście trudno dopatrzeć się w jej twarzy jakiegoś defektu, ale niedawno poznałam gościa, który wycinał sobie niewidoczne znamiona, a nawet proponował, że i innym coś wytnie. Więc nic mnie nie dziwi.

Staram się przyszywać guziki, bo z haftowaniem zupełnie sobie nie radzę. Podobno nie chodzi o to, by coś wyszyć, tylko żeby się uspokoić. Nie mogę pojąć, kto mógł wymyślić taką teorię? Mnie uspokoiłoby wbijanie gwoździ w deskę, ale takich sposobów walki ze stresem nie przewidzieli. Muszę złożyć ofertę doktor Małgosi. Może wprowadzi ją w życie: zamiast igły młotek i hebelek dla takich narwańców jak ja. Ale chyba nie przejdzie, to zbyt niebezpieczne narzędzia dla wariatów.

Wreszcie koniec tych nudów, idziemy na zasłużoną kawę. Moje panie gratulują trafności i dojrzałości sądów oraz determinacji, z jaką broniłam swojej tezy. Nauczycielka mówi, że powinnam być prawnikiem.

— Zawsze interesowali mnie ci, którzy stoją ponad prawem — tłumaczę. — To znacznie ciekawsze od nudnych paragrafów.

— Zgrywuska! Z taką jak ty nie można się nudzić. Ma twoja matka wesoło! — pani doktor wyraźnie mnie lubi.

— Oj, ma — potwierdzam. — Tylko cholernie rzadko się śmieje. Zresztą radzę z nią pogadać, nie zostawi na mnie suchej nitki, to pewne. Ale kocha do bólu!

— Dojrzewanie to trudny wiek — przyznają obie. — Podobno rozum spada wtedy gdzieś poniżej kolan, po czym z wolna się podnosi.

— Albo się nie podnosi. Ja zapewne jestem tym przypadkiem — zauważam złośliwie. Muszę upuścić trochę jadu, bo sielanka zaczyna być zbyt męcząca. Wsadzam nos w gazetę, nie chce mi się już więcej gadać. I tak za dużo się o mnie dowiedziały. Niepotrzebnie dałam się sprowokować. Mam chandrę, jak zawsze, gdy pozwalam sobie na odrobinę słabości. Nie znoszę być słaba, a jestem, tak jak moja matka. To ja, jej wierna kopia, która udaje, że jest inna niż w rzeczywistości.

Odejdź!

Pada, nie chce mi się nigdzie wychodzić, nie mam nawet ochoty palić, najchętniej nakryłabym głowę poduszką albo zapadła w zimowy sen jak niedźwiedź w gawrze. Radio gra kretyńskie melodie, pani doktor podśpiewuje, wyraźnie z siebie zadowolona. Pisze do męża list, w którym rozlicza się z przeszłością. Co chwilę klnie pod nosem z emocji. Ciekawe, czy te niecenzuralne słówka również przelewa na papier?

Biorę swój zeszyt w kratkę i też zaczynam pisać. Ten list zatytułowałam „Odejdź!”

Zastanawiam się, jak można powiedzieć: Odejdź! swojemu dziecku, które jest częścią ciebie. I nagle się go pozbyć, jak bolącego zęba na przykład. Przecież nawet bolące zęby ludzie starają się ratować, plombują, wzmacniają koronkami, próbują ocalić najmniejszą zdrową cząstkę, chociażby tylko korzeń.

A ja nie byłam zębem, byłam twoim dzieckiem, które cię kochało, pragnęło z tobą kontaktu, tęskniło. Nie mogłam cię zatrzymać ani płaczem, ani prośbami. Powiedziałeś, że odchodzisz, i tak się stało. Ale przecież nawet wtedy nikt nie zabronił ci mnie odwiedzać, okazywać swoją miłość, być ze mną. Tak jak wielu innym rodzicom znajdującym się w podobnej sytuacji. Oni z takiej możliwości skorzystali, ty na początku też, ale szybko się zmęczyłeś.

Kiedy było mi ciężko i źle, kiedy moje życie ponownie legło w gruzach z powodu małżeństwa matki, ty również powiedziałeś: Odejdź! Po raz drugi. Obraziłeś się na mnie, bo podobno nie spełniłam twoich oczekiwań. A czy ty spełniłeś moje? Czy nauczyłeś mnie jak żyć, co robić? Jak się podnosić z klęsk, walczyć o swoje miejsce w świecie? Obraziłeś się niczym małe dziecko, chociaż jesteś już starym facetem. Bo łatwiej być ciągle małym dzieckiem, niż wziąć odpowiedzialność za czyjeś życie.

Nie zmieniałam adresu, nie zmieniałam numeru telefonu, nie wyjechałam do Australii. Mieszkam niedaleko. Ale za daleko dla ciebie. Jesteś z tą kobietą, która zabrała mi szczęśliwy dom. I co? Mam jej darować, wybaczyć, pogodzić się z tym? Uśmiechać się do niej, mówić miłe słowa, kiedy wszystko we mnie krzyczy z rozpaczą? Nie żądaj tego, co niemożliwe. Ona zabrała mi ciebie, a potem ten facet zabrał mi moją matkę. Ja nikomu niczego nie zabrałam. Nie mogę winić siebie, może tylko za to, że nie potrafiłam wywalczyć miejsca przy was. Widocznie nie

dość głośno się o nie upominałam. A kiedy popadłam w to uzależnienie, na chwilę się otrząsnęliście, ale wiedziałam, że to wszystko i tak bez sensu. Czy będę chorować, czy nie, ten fakt niczego nie zmieni. Nigdy nie będzie tak, jak było kiedyś. Nie jestem wam potrzebna ani zdrowa, ani chora. W ogóle nie jestem nikomu potrzebna. Jak można żyć z taką świadomością, spytajcie bezpańskiego psa. Gdyby umiał mówić, na pewno by wam to wytłumaczył. Niestety, nie potrafi.

Dosyć, nie mogę dalej pisać, nie mam już siły, rzucam zeszyt na łóżko. Przykrywam poduszką twarz i zaczynam szlochać. Pani doktor gładzi mnie po ręce.

— Uspokój się, zaraz przyniosę krople — proponuje.

Przybiega piguła ze strzykawką, dostaje jakiś zastrzyk. Zасыpiam po nim prawie natychmiast.

We śnie znowu jesteś ze mną, Marilyn, czuję twoją obecność niemal fizycznie. Wiem, że to niemożliwe, ale nad snami na szczęście nie mamy kontroli. Nie jesteś jeszcze tą sławną aktorką, tylko małą dziewczynką, koleżanką robiącą przewrotki na trzepaku. Śmiejemy się, jeszcze nikt nie zrobił nam krzywdy, spędzamy czas na beztroskiej zabawie. Nie widzimy nadchodzącej burzy, a potem do końca wierzymy, że przejdzie bokiem. Nie przechodzi jednak. Chcemy się przed nią schować, ale nie mamy gdzie. Próbujemy biec, trzymając się za ręce, a wtedy podmuch wiatru mnie przewraca. Usiłuję cię chwycić, nie daję rady. Moja ręka pozostaje samotna. Nie mam jej komu podać. Najgłośniej jak potrafię, wołam: „Gdzie jesteś, Marilyn?” ale w szalejącej burzy nie słyszę nawet swojego głosu.

Budzę się w końcu, chociaż ciągle nie chce mi się otwierać oczu. Moje współlokatorki szykują się do snu, starają się zachowywać jak najciszej, ale dociera do mnie każdy szelest. Jest jak kołysanie wiatru po burzy, uspokaja mnie.

Powinnam wstać, zapalić papierosa, bo czuję nikotynowe ssanie w dołku. Nie mam na to siły. Leżę więc i czekam aż zgaśnie światło. Może znowu wróci ten sen, spotkamy się. Odnajdę cię, Marilyn, i nic nas już nie rozdzieli.

Niestety, sen nie chce przyjść, nie jest mi dane, by pobyc z tobą jeszcze chwilę. Taki widać mój pieprzony los — rozdziela mnie z tymi, których kocham. Chyba zapisano gdzieś w gwiazdach, że sama będę wędrować po tym świecie. Nie mam po co wyciągać ręki. I tak nie będzie jej komu podać.

Nie wiem, czy taka teoria spodobałaby się doktor Małgosi, musiałabym ją uzasadnić, a to znaczy powiedzieć o tobie, Mari-

lyn, zdradzić swój największy sekret. Czy jestem na to gotowa? Cholernie mnie korci, żeby spróbować. Ciekawi mnie jej opinia na twój temat. A jeżeli wyśmieje, jak tamta psycholożka w Z.? Iść na takie ryzyko? Chyba spróbuję, inaczej niczego się nie dowiem. Warto choćby zaspokoić własną ciekawość. W końcu mogę powiedzieć, że to wszystko zmyśliłam, wycofać się. Zawsze jest jakieś wyjście.

Spotkanie z doktor M. już jutro. Zdziwi się, kiedy spytam, czy mogłabym zaproponować temat naszej dzisiejszej rozmowy. Co ty na to, Marilyn? Pozwolisz, by poznała prawdę?

Ja i mój cień — Marilyn

Doktor Małgosia trochę się spóźnia na dyżur. Zastanawiam się, czy w ogóle uda się nam porozmawiać. Robi wieczorny obchód. Stoję na korytarzu. Jestem podniecona jak przed pierwszą randką.

— O, czekasz na mnie. To dobrze — cieszy się. — Dziś oddaję inicjatywę w twoje ręce. Sama poprowadzisz rozmowę, ja zamienię się w gorliwego słuchacza. Zgadzasz się?

Udaję obojętność, ale chyba nie bardzo mi to wychodzi. Krzątam się wokół herbaty, zapalam świecę i robię tak zwany nastrój.

— Czy to wszystkie atrakcje, które przygotowałaś na dzisiejszy wieczór? — zastanawia się głośno lekarka. Nie komentuję, uśmiecham się tylko. Wprawdzie brakuje zdjęcia na stoliku albo filmowego plakatu gwiazdy, ale trudno, nie pomyślałam o dodatkowej scenografii.

— Mam jeszcze jedną niespodziankę. To temat naszej dzisiejszej rozmowy, a jest nim Marilyn Monroe — mówię. — Chciałaby pani zapewne spytać, co mnie z nią łączy? Odpowiem krótko: bardzo wiele. To ktoś szalenie mi bliski. Jej życie i moje życie splata się we wspólny węzeł. Doświadczyła nienawiści, nietolerancji i zła bez powodu. Okazała się zbyt słaba, aby się przeciwstawić swoim wrogom. Podobnie jak-ja chciała być kochana. Za to pragnienie godziła się na poniżenie ze strony mężczyzn i pogardę kobiet, które zazdrościły jej ponętnego ciała i urody. Stała się symbolem seksu, co dla wielu było jednoznaczne z umysłowym prymitywizmem. Te wszystkie zasuszone staruchy, widząc zgrabną sylwetkę Marilyn, mordowały ją spojrzeniami i słowami. „Rozmiar biustu nie wyznacza rozmiaru intelektu”, mówiły wredne suki. A faceci trzymali się za rozporki. Czy kogoś obchodziły jej własne pragnienia? Szukała wśród mężczyzn tego jednego, dla którego nie będzie się liczył tylko seks. Ale szukała na próżno. Potem ukamienowano ją za to, że nie potrafiła kłamać, nie umiała prowadzić zręcznych gier, nie miała babskiego sprytu, dzięki któremu okręciłaby sobie tych wszystkich gości wokół małego palca. Była za uczciwa, za ładna, cierpiała jak ja. Jej ciało stało się przekleństwem, podobnie jak moje. To nas połączyło. Czuję obecność Marilyn. Nawet wczoraj była ze mną we śnie.

Przerywam ten długi monolog, jestem cholernie ciekawa reakcji mojej słuchaczki. Ona też chyba wie, jak mi zależy na tym, co powie. Dlatego waży słowa, stara się, by były odpowiednio

dobrane, jak na jakąś szczególną okoliczność.

— Niewiele wiem o życiu Marilyn — tłumaczy się. — Nie śledziłam biografii. Na pewno twoja wiedza na jej temat jest znacznie większa. I słusznie, jeśli ktoś nas z jakichś powodów fascynuje, powinniśmy zadać sobie trud, by go jak najlepiej poznać. Sądzę, że rzeczywiście potrafiłaś sformułować bardzo dojrzałe wnioski na temat przyczyn jej nieudanego życia. Nie wszystko zostało do końca wyjaśnione. Tragiczna śmierć na przykład ciągle jest zagadką. Ten fakt sprawia, że stała się postacią jeszcze bardziej interesującą. Moim zdaniem podjęłaś się jednak roli zbyt trudnej i nie do wykonania. Nie możesz składać ofiary z siebie w imię walki o prawo do czyjegoś dobrego imienia. Nie ocalisz Marilyn. Dla wielu ludzi będzie jedynie głupią lalką. Tylko nieliczni, jak ty, zastanowią się, czy mamy prawo do takich sądów. Chcesz wziąć za nią odpowiedzialność, tak jak kiedyś za swoją słabą psychicznie matkę. Ale to jest droga donikąd. Musisz się nauczyć żyć bez Marilyn, nie jesteś jej kopią. Twoje życie jest tylko twoje. Nie można go połączyć z cudzym w taki sposób, w jaki postanowiłaś. To nie jest właściwa droga. Nie wymagam, abyś nie interesowała się jej biografiami, czy przestała być fanką jej talentu, nie o to chodzi. Musisz tylko przestać niszczyć siebie za karę, że inni zniszczyli tamtą kobietę. A może ona sama im to ułatwiła? Zbyt wiele jest znaków zapytania, które zapewne na długo albo i na zawsze nimi pozostaną. Ale nawet jeżeli rzeczywiście była osobą tak bardzo nieszczęśliwą, a jednocześnie dobrą i szlachetną, czy sądzisz, że wymagałaby od ciebie takiej ofiary?

— Ma pani rację, chyba nie. To nie w stylu Marilyn. Wczoraj, kiedy mi się śniła, nie mogłam dosięgnąć jej ręki. Zginęła mi gdzieś w czasie burzy, odeszła.

— Może w ten sposób chciała ci ułatwić podjęcie decyzji, dać do zrozumienia, że wasze drogi muszą się rozdzielić? Zastanów się nad tym. Musisz przestać żyć z jej cieniem. To nie film z rolą Marilyn. To twój film, w którym sama grasz główną rolę. I nie da się tego zmienić. Ten film nazywa się życie i możesz je wygrać albo przegrać. Jak będzie, zależy od ciebie. Jeśli będziesz jak liść miotany przez wiatr, spadniesz gdziekolwiek. Jeśli nie dasz się porwać tam, gdzie ci to nie odpowiada, sama zdecydujesz o swoim miejscu. Nie wszystko w życiu zależy od nas, to prawda, ale sporo możemy zrobić dla siebie sami. Co ty chcesz zrobić? Pomyśl nad tym. Nie dla Marilyn, nie dla twojej matki, nie dla mnie. Zastanów się. Przedstaw jakiś plan, opracuj strategię. Odwlekając od-

powiedz na te pytania, oddaliśmy je tylko, ale przecież wróca. Nie jesteś osobą niezdolną do samodzielnego życia. Twoja choroba wymaga doraźnego leczenia, jednak nie jest czymś, co skazuje cię na izolację. Możesz osiągnąć wszystko, co tylko sobie zaplanujesz. Warunek: musisz do tego konsekwentnie dążyć, z taką samą premedytacją, z jaką walczyłaś ze swoim ciałem. Przypomnij sobie, do ilu wyrzeczeń byłaś zdolna, aby osiągnąć cel. Metoda była słuszna, tylko kierunek zły. Teraz trzeba to odwrócić. Najpierw ustalić kierunek, a potem wybrać metodę. I jedno, i drugie rozpracujesz w szczegółach na jakieś nasze następne spotkanie.

Nareszcie koniec naszego wieczoru. Wychodzę zmaltretowana psychicznie, czuję się jak Judasz Iszkariota.

Łatwo dałam się przekonać w sprawie Marilyn. Jestem zdrajczynią. Czy miałam prawo postąpić w ten sposób? To tak, jakbym była matką i miała się zgodzić na operację zrosłaków, wiedząc że jeden z nich zginie po to, by ratować drugiego. Nie mogłam cię uratować, Marilyn. A czy ty uratujesz mnie?

Głupia wpadka

Wracam do domu na kolejną przepustkę. Niestety, znowu się zламаłam i zamiast kategorycznie odmówić dalszego siedzenia w tym beznadziejnym miejscu, zgodziłam się jeszcze zostać. W dodatku zdradziłam Marilyn. Nic dziwnego, że nastrój mam wyjątkowo podły. Jak zwykle jadę na gapę i jak zwykle łapie mnie kontroler. Tłumaczę, że i tak nie zapłacę.

— To już twój problem — syczy wściekły gość, mozoląc się nad wykaligrafowaniem mojego nazwiska. Kiedy skończył, wyraźnie z siebie zadowolony, wyjmuję przepustkę z domu wariatów.

— Nie zapłacę, bo jestem wariatka — mówię i wymachuję mu szpitalnym świstkiem przed nosem. Czyta, robi się czerwony jak pomidor w sierpniu i z wściekłością drze mandat na drobne kawałeczki. Zrobiłam z niego palanta, więc najchętniej by mnie udusił, ale boi się zareagować gwałtowniej. W końcu ma do czynienia z psychiczną. Na najbliższym przystanku zmywa się, a pozostali gapowicze oddychają z ulgą. I chyba są mi wdzięczni.

Ta nienajgorsza, jak sędzę, scenka rodzajowa ze mną i kontrolerem w rolach głównych poprawia mi nieco humor. Konieczne trzeba numer z przepustką gdzieś powtórzyć. Może wypić piwo na krechę, a zamiast rachunku pomachać kwitkiem i powiedzieć, że wariaci nie płacą.

W domu, jak to w domu. Najpierw pięć minut wypytywania o moje miejsce zsyłki, potem brudne ciuchy do pralki, a ja do wanny, żeby się odkazić po szpitalnym odorku. Korzystam z rady doktor Małgosi, wrzucam pachnącą lawendową kulkę, zapalam świecę i korzystam z błogiej chwili. Niestety, przysnęłam, nie zakręciłam wody i zalałam tę małą sąsiadkę. Łomot do drzwi budzi mnie i całą rodzinę skupioną przed telewizorem. Oczywiście jest afera, matka się wścieka. Wycieram wodę, wrzucając pod wannę, co się tylko da, ręczniki, płaszcze kąpielowe, chociaż teraz to i tak już musztarda po obiedzie.

— Znowu trzeba będzie płacić za malowanie — jęczy moja mamusia. Nie mogę tego słuchać, jeszcze chwila i eksploduje. Dzwonię do Igły i umawiamy się „Pod Kasztanami.” Z ulgą zamykam drzwi odgradzające mnie od rodzinnego ciepła. Spadam. Trzy godziny w domu to dla mnie stanowczo za dużo. Na wszelki wypadek zabieram ze sobą przepustkę z wariatkowską, jakby się trafił jeszcze jakiś kontroler. Ten numer wart

jest bisu.

Podebrałam babci trochę kasy, mamy więc gwarancję na parę piwnych kolejek i coś mocniejszego do palenia. Igła jest dzisiaj w znacznie lepszym nastroju. Mamuśka wyblagała u dyry poprawkę z matmy, więc jakoś ją dopchną kolaniem do maturalnej :: klasy. Nie przyznam się do tego, ale trochę Igle zazdroszczę. Miałam nadzieję, że obie pójdziemy do jakiejś wieczorówki, a tam luzik, zero stresu i czas na wszystko. Trudno. Igła tak się rozpedziła w planowaniu przyszłości, że nagle zaczyna coś przebąkiwać o studiach. No to w porządku, nie będę gorsza. Mówię, że też chyba zdam tę maturę, a potem pójdę na medycynę i zajmę się leczeniem takich wariatek jak ja. Moja koleżanka z wrażenia krztusi się piwem. Tego się nie spodziewała.

— Co ty? Ściemniasz — chce się upewnić. Ale ja staram się ją przekonać, że się do tego świetnie nadaje.

— Żadna anorektyczka mnie nie oszuka, w końcu znam te numery, a z innymi psycholami też dam sobie radę — tłumaczę w sposób chyba dość wiarygodny. I sama zaczynam wierzyć w to, co mówię. Po trzecim piwie wszystko wydaje się możliwe. Zamawiamy czwarte za nasze przyszłe sukcesy. Potem zapalamy trawkę. Nad ławkami i parkowymi stolikami unosi się znany odorek. W końcu nie my jedne dajemy sobie małego kopa. I nie trzeba się specjalnie nikogo krępować, sami swoi. Niestety, czas mija szybko, a ostatni autobus nie będzie czekał. Nie ma rady. Po numerze z sąsiadką wolałabym nie prowokować kolejnej awantury.

Igła częstuje mnie skretem, żebym miała coś na noc, jak nie będzie mi się chciało spać. Niezła z niej kumpela, chociaż porąbana, ale serce ma dobre. A w końcu co się liczy?

Otwieram po cichu drzwi i wślizguję się jak kot do swojego pokoju, palę, zaciągam się. W otwartym oknie widać Wielki Wóz. Jest tam gdzieś też twoja gwiazda, Marilyn. Zdradziłam cię, nie jestem godna, by z tobą obcować nawet w myślach. Chcę zedrzeć ze ściany plakat, z którego się do mnie uśmiechasz, ale nie potrafię. Pomaleńku, żeby nie zrobić ci krzywdy, odpinam twoją podobiznę, wcześniej trochę podziurawioną lotkami. Składam błyszczący, chociaż wyblakły już papier z taką czułością, jakbym chciała dotykiem swoich rąk wynagrodzić ci całe zło tego świata. Nie wiem czemu, ale łzy płyną mi po policzkach, jakby to rzeczywiście był twój pogrzeb. Biegnę do łazienki umyć twarz. Potem zasypiam z nadzieją, że znowu przyj-

dziesz do mnie we śnie. Niestety, od snu znacznie gorsza okazuje się jawa.

Matka szarpie mnie i krzyczy:

— Odpowiedz mi zaraz, co to jest?

O cholera, ale pech, wypadły mi ze spodni dwie lufki, trochę marychy, lustreczko. Wszystko miałam porządnie spakowane w małej dyskretnej saszetce.

— Przecież to sprzęt narkomana — matka jęczy jak kundel uderzony kijem. — Ty jesteś narkomanką!

— No i co, jestem, to jestem — nie pozostaje jej dłużna. — Od dawna biore, tylko ty okazałaś się za głupia, żeby to dostrzec. I teraz, kiedy właśnie próbuję przestać, dokonujesz epokowego odkrycia.

Matka jest w szoku. Pada przede mną na kolana i błaga:

— Tylko nie to, bo nie wytrzymam i skończę ze sobą. Tyle lat tej wariackiej choroby, przedtem piekło z twoim tatusiom, a teraz narkotyki. Miej litość nade mną i nad sobą.

Leży niczym Rejtan. Nawet nie wie, jak bardzo jest żałosna w tej scenie. Gdyby miała charakter, powiedziałaby: „Won z domu. Zdychaj, nie obchodzisz mnie, nie chcę cię więcej widzieć.” Ale ona znowu swoje. Błaga i prosi, czołga się. Nie-nawiść i litość, te dwa uczucia walczą we mnie. Staram się jakoś zapanować nad sytuacją, ale wszystko wymknęło się spod kontroli.

Kiedy emocje już nieco opadły, wysłuchuję godzinnego monologu matki. Na tym się oczywiście nie kończy, przecież jest niedziela. Poranny temat wraca co chwilę, a temperatura kłótni wznosi się i opada. Kiedyś w końcu musiało do tego dojść, staram się wziąć wszystko na spokoj, ale trudno dzisiaj o spokój w moim domu.

Azyl u świrów

Rano pakuję torbę i gdy wszyscy jeszcze śpią, spadam do moich świrów. Mam nadzieję przeczekać domowe piekielko. Dla mamuśki był to chyba jednak duży szok. Podziwiam naiwność mojej rodzicielki. Jak mogła się nie zorientować, że jej córka od czasu do czasu dodaje sobie sił za pomocą tak zwanej chemii? Nie tylko moja matka jest idiotką, także matka Igły, i pewnie też wiele innych. Lepiej nie wiedzieć, nie domyślać się, niczego nie podejrzewać. A przecież ten syf jest już w każdej szkole, dobrej czy złej, nieważne. W liceum normalnym i tym za pieniądze, w kinie, na dyskotece. Nie wierzę, że są tacy, którzy nie próbowali. Jeśli nie wzięli dzisiaj, wezmą jutro.

Ostatnio staram się ograniczać moje kontakty z trawką, amfy nie biorę w ogóle, bo po pierwsze, nie mam kasy, po drugie, nie chcę podpaść w wariatkowie, a po trzecie, trochę mi ubywa tych ohydnych pryszczycy. Ale akurat teraz, gdy tak uważam, musiałam zaliczyć wpadkę. I jak tu nie myśleć o pechu. Kiedy chodziłam nawalona niczym mała lokomotywa, droga mamusia się nie czepiała, a byłam pod ręką. Jakoś nie widziała ciągle otwartego okna w moim pokoju, lufek ani papierków po kwasie. Teraz, kiedy jestem niemal czysta jak łza, nagle płacze i lamenty.

Gryzę paluchy z wściekłości, moje sublokatorki widzą, że coś jest nie tak. Na wszelki wypadek zmywają się na kawę do pielęgniarek. Mam w szafce prozac. Do tej pory nie brałam, ale dzisiaj muszę, bo inaczej zacznę kopać w ścianę i wsadzą mnie w kaftan, a potem grzecznie odprowadzą piętro niżej, gdzie urzędują prawdziwe świry. Byłam tam kiedyś na obchodzie z doktor Małgosią, upiorny widok.

Po godzinie trochę mi przechodzi, przeglądam jakieś głupie gazety. Za chwilę mam iść na grupę, a tu niespodzianka. Zjawia się pan doktor i zaprasza do swojego gabinetu. Domyślałam się po co. I mam rację. Mamuśka zadzwoniła do niego i poinformowała o swoim odkryciu. Już sobie wyobrażam, jak musiała na mnie nadawać tym swoim rozpaczliwym tonem.

Na wszelki wypadek milczę. Czekam na pierwsze ciosy, jestem skupiona jak bokser przed walką.

— No to mamy problem — zaczyna rozmowę. — Twoja matka rzeczywiście była bardzo zdenerwowana, chociaż robiłem, co mogłem, żeby ją uspokoić. Myślę, że dla każdego rodzica taka

wiadomość to szok. Bardzo się o ciebie boi i martwi. Jestem też pewien, że bardzo cię kocha. Czy chcesz, żebyśmy porozmawiali o tym, co się wydarzyło?

— O czym? O trawce? Nie ja pierwsza i nie ostatnia. A pana dzieci nie biorą? — przystępuję do ataku.

— Mam nadzieję, że nie. Ale gdybym się dowiedział, pewnie zareagowałbym podobnie jak twoja matka. I chyba każdy rodzic ma prawo do takiej reakcji — nie daje się wyprowadzić z równowagi. — Nie sadzę jednak, żeby narkotyki były twoim rzeczywistym problemem. To jeden z nich, ale nie ten najważniejszy. Gdybyś ostro poszła w nałóg, nie rozmawialibyśmy tutaj, tylko na oddziale dla uzależnionych — uzasadnia pan doktor, jak zawsze spokojnym tonem.

— Niewiele pan o mnie wie — prowokuję go. — A może właśnie dzięki prochom mogłam się tak skutecznie odchudzić? — przystępuję do działań obronno-zaczepnych.

— Zapewne masz rację, ale też dzięki nim trudniej ci pokonać rzeczywiste problemy, z jakimi się borykasz: brak samoakceptacji, odrzucenie przez grupę, odrzucenie przez ojca, złe kontakty z matką. Trudno budować cokolwiek i jednocześnie to, co zbudowałaś, niszczyć. Zachowujesz się jak trzylatek, który najpierw stawia babkę z piasku, a potem ją depcze i płacze, że się rozpadła. Musisz się na coś zdecydować. I temu właśnie służy pobyt w szpitalu. Jest okazją do przemyślenia oraz uzyskania naszej pomocy i wsparcia, abyś mogła zrealizować to, co postanowisz. Oddalając rzeczywiste problemy, niczego nie załatwiasz albo tylko na chwilę uspokajasz swoje sumienie. Dlatego upierałem się, byś przedłużyła pobyt i opuściła szpital z jakąś wizją, pomysłem na dalsze życie. Pora zamknąć ten rozdział i otworzyć nowy. Inaczej zmarnujesz kolejny rok na usprawiedliwianiu swoich niepowodzeń chorobą, nałogami, brakiem motywacji. Jesteś już prawie zdrowa, twój organizm powoli łapie równowagę. Nie przeszkadzaj mu, nie niszczonego tego, co się odradza w naturalny sposób. Nie można ciągle patrzeć na świat z pozycji skrzywdzonego dziecka. To dziecko dorosło i nie będzie mogło do końca życia podpierać się laską nieszczęścia. Chyba że zamiast biegać, chce kuleć. Czy rzeczywiście tego pragniesz, by inni podejmowali za ciebie decyzje, załatwiali twoje sprawy, prowadzili wiecznie za rękę? Jesteś mądrą, inteligentną dziewczyną, przed którą świat nie zamknął drzwi. Dno, o jakie się otarłaś, na szczęście nie okazało się bagnem, nie pogrążyło cię. To nie twoje miejsce i wiesz o tym. Przestań udawać, że jest inaczej. Wiem, że suma złych

życiowych doświadczeń na dzisiaj być może przeważa nad dobrymi. Ale wszystko możesz zmienić, ustawić szalki tej wagi zupełnie inaczej.

Słucham długiego monologu pana doktora, jakby to było kazanie dobrotliwego księdza proboszcza, który zamiast grzmieć z ambony, zrzuca z niej dzieciom cukierki. Spodziewałam się dzikiej awantury, po cichu liczyłam nawet na to, że mnie wyrzucą z wariatkowa, a tu nic. Nie wypada mi nawrzeszczyć na gościa, bo skoro mnie nie atakuje, powinnam to uszanować.

Nie przerywam więc. I muszę przyznać, że doktor stara się, żeby był to monolog na poziomie. Nie traktuje mnie jak gówniary, nie chce, żebym wyszła z tej rozmowy zdołowana. Mówię, że zastanowię się nad wszystkim, przemyślę w samotności, a później wrócimy do tematu. Dzisiaj czeka mnie jeszcze wieczór z doktor Małgosią. Nie mam już siły na słuchanie dalszych kazań. Zarządzam przerwę regeneracyjną.

Złe wybory

Otwieram zeszyt w kratkę i piszę:

Ciągle słyszałam, że dokonuję złych wyborów, ty i matka twierdziliście podobnie. Tylko skąd miałam wiedzieć, co to znaczy dobry wybór, skoro wy sami dokonaliście złych wyborów, decydując się na wspólne życie? A przecież byliście dorośli, a ja byłam tylko dzieckiem. Więc kto miał mnie tego nauczyć?

Kogo mam winić, chociażby za mojego osiedlowego Rambo, czyli Arka, do którego pobiegłam, szukając miłości? Imponował mi, bo był najsilniejszy na całej ulicy, potrafił sobie podporządkować różnych gnojków, nikt mu nie podskoczył.

Wcale nie byłam jeszcze gotowa na seks, ale sądziłam, że robiąc to dla niego, otrzymam nagrodę. Będę z kimś, kto mnie ochroni przed złym światem. A potem, to znaczy po wszystkim, ta idiotka Patrycja powiedziała: „Dobrze, że zrobiłaś to z Rambo. Żaden porządny chłopak nie chciałby chodzić z córką rozwodników. Jesteś niższa kategoria, tak jak dziecko alkoholika albo szkolnej sprzątaczkii.”

Myślałam, że tę małpę zabiję, rzuciłam się na nią z pięściami. Była wielka afera i nawet obniżyli mi stopień z zachowania na półrocze. Oczywiście zostałam ukarana, bo jak miałam się przyznać, o co poszło?

Skończyłam z Rambem, a potem byli inni i też nie traktowali mnie lepiej. A ja się na to godziłam, bo wiedziałam, że ty, tato, nie dasz im w twarz, jak zrobiłby każdy ojciec, gdyby ktoś skrzywdził jego córkę. Gdzie miałam cię szukać, abyś wymierzył sprawiedliwość? Zamykam zeszyt, bo czas nagli. Moje dzisiejsze rozrachunki z przeszłością muszę, niestety, zakończyć. Zbliżyła się pora wieczornej rozmowy. Zastanawiam się, jak ją rozegrać: pokojowo, czy stosując znane sobie metody agresji. Podobno miałam przygotować taktykę i strategię, no, może na nieco inny temat, ale to już szczegół.

Doktor Małgosia ma dla mnie niespodziankę. Okazuje się, że mamuśka przed godziną złożyła jej wizytę. Błagała o pomoc, by ratować dziecko przed narkotykową zgubą.

— I co, znowu klęczała na kolanach? — pytam wściekła, ale ona nie daje się zaskoczyć.

— Tym razem siedziała. I nie mów do mnie tym tonem. Trudno prowadzić sensowną rozmowę, gdy jest w nas tyle agresji — upomina. — Wiem, że wstyd ci za matkę, za jej słabość charakteru.

To prawda, w tym stanie nie ma szans być dla ciebie kotwicą. Sama potrzebuje pomocy.

— Więc mogła do mnie wejść, może bym się ulitowała — syczę.

— Chciała, ale jej to stanowczo odradziłam. Nie powinna ci na razie składać wizyt. Trzeba czasu, by nabrała dystansu, i ty także musisz się ze sobą uporać. Dlatego na razie nie dostaniesz przepustki. Nie chcę cię karać, ale dla waszego wspólnego dobra takie rozwiązanie wydaje mi się właściwe.

— No i gitara, nie to nie! Z rozpaczy pójde się napić denaturatu do zdrowiejących alkoholików, połączymy się we wspólnej żałobie nad utraconą wolnością.

Doktor Małgosia wybucha śmiechem.

— Ale z ciebie komediantka! Masz talent, dziewczyno. Daleko w życiu zajdziesz.

— Dobrze, dobrze, niech pani nie kpi — poddaję się. — Właśnie widać, jak daleko zaszłam.

— No i co z tego, że czasami biorę coś na wzmocnienie — zaczynam po chwili. — Nie ja jedna, ale to chyba lepsze, niż danie komuś w dziób dla uspokojenia. Jak się tak cholernie chce jeść, a jeść nie mogę, bo postanowiłam wytrwać w głodówce, trzeba czymś zaspokoić swój organizm. Kiedy jesteś w grupie, też nie odmówisz, bo powiedzą, że kablujesz albo żeś dupa i cykorzysz. Nie chcesz iść z facetem, ale się nie wykręcisz, więc żeby się nie porzygać, także bierzesz. A kiedy brakuje ci szmalu, kombinujesz, jak go zarobić. Znasz tylko jeden pewny sposób: sprzedajesz to gównu takim jak ty, bo potrzebują paliwka. Potem boisz się glin, więc na odwagę też bierzesz. I znowu się boisz, że ci na przykład twoi najlepsi kumple podprowadzą towar. Żeby nie zwariować, musisz wziąć. A jeżeli ktoś cię wrobi, a inni szukają, też bierzesz, bo znowu się boisz i nie wiesz, gdzie uciekać. Boisz się telefonów, dzwonka do własnych drzwi, wyjścia z domu. I musisz się schować na przykład do wariatkowa, jak ja, ale tu także się boisz, chociaż trochę mniej. A jak łapiesz równowagę, wychodzisz na prostą, to masz pecha, zaliczasz głupią wpadkę i wszystko staje się jasne: kim jesteś, co jest twoim problemem. Musisz się tłumaczyć, chociaż wołałabyś, żeby wszyscy uwierzyli, że jesteś na przykład wielbłądem, i dali ci święty spokój.

— Zaimponowałaś mi. Trzeba mieć odwagę, żeby wyrzucić to z siebie — mówi nieoczekiwanie doktor Małgosia. — Podejrzewałam, że zaczniesz kręcić i udawać, że to tylko jednorazowa sprawa, przypadek, ktoś cię namówił. A ty zagrałaś ze mną

w otwarte karty. To bardzo ważne, ufasz mi, więc chyba możemy dalej rozmawiać. Nie jesteś narkomanką, ten problem nie do końca cię dotyczy. Gdybyś musiała brać, twoim domem byłaby melina, rynsztok, całe to narkomańskie bagno. Wiem, jak ci trudno, jak wiele musiałaś przeżyć rzeczy złych, o których na pewno lepiej czytać tylko w książkach. Ale jesteś silną osobowością, masz ogromne możliwości. Trzeba je teraz wykorzystać. Niełatwo będzie tę ciemną stronę życia przekreślić. Nie da się zamknąć przeszłości, wymazać z pamięci do końca. Tu może pomóc tylko czas. I praca nad sobą. Zrobiłaś już wiele, wiesz, czego nie chcesz, a to bardzo ważne. Trzeba się teraz zastanowić nad metodą i celem, by osiągnąć to, na czym ci rzeczywiście zależy. Czasami udaje się nam urodzić na nowo. I tak jest teraz z tobą. Zanim jednak znowu nauczysz się fruwać, musisz stawiać ostrożnie kroczki. Choroba nie wyniszczyła cię tak jak inne anorektyczki, które są psychicznymi i fizycznymi inwalidkami. Nie wiadomo, czy uda im się normalnie żyć, uczyć się, pracować. Tobie na pewno się uda. Musisz w to wreszcie uwierzyć. Dobrze się stało, że tu trafiłaś. Gdyby nie determinacja twojej matki, którą tak pogardzasz, nie wiadomo, czy byłoby jeszcze co ratować. Ale na szczęście zdążyliśmy. Kiedyś jej za to podziękujesz. Pomyśl dzisiaj wieczorem o swojej matce. Jest słaba i silna zarazem. Nie pozwoliła ci zginąć, walczyła w sposób godny podziwu. Tak potrafi tylko matka. I nie miej do niej żalu, że tu przyszła. Wybrałaby się na koniec świata, żeby cię ratować. Zawsze możesz liczyć na jej miłość, nie każdy ma taki kapitał. Docień to, bo naprawdę warto!

Na oddziale spokój, mogę się nareszcie wyspać, bo pani doktor wyjechała na przepustkę do domu. Wprawdzie napisała kochanemu mężowi, co o nim myśli, ale stwierdziła, że to nie wystarczy. Postanowiła walnąć mu prawdę prosto w oczy. Tylko wtedy będzie miała prawdziwą satysfakcję. Zabrała zestaw środków antydepresyjnych. Niestety, już przed wyjazdem była nabuzowana jak parowóz i nie wiadomo, czy ta mądra chemia zadziała.

Biedny małżonek trochę od baby odetchnął i chyba się nie spodziewa, co go czeka. Zagroziła, że pozbawi go męskości, żeby już z żadną nie mógł sobie ulżyć. Ciekawie się zapowiada weekend. Pani doktor zdolna jest, nie można zaprzeczyć, a temat męskości bardzo ją rajcuje. Ponieważ jest to bez wątpienia osóbką lekko stukniętą, na miejscu pana męża nie spałabym spokojnie.

Nauczycielka też się zmyła do jakiejś koleżanki. Przewracam się z nudów na łóżku. Nie wiem czemu, ale jakoś mi brakuje moich sąsiadek. Wprawdzie nie jestem zwierzęciem stadnym, jednak lubię te ich głupie pogaduchy. Czasem traktują mnie jak powiernicę, czasem jak własne dziecko. Często są słodcy, dogadzają.

Atmosfera na oddziale też jest całkiem inna niż w Z. Nikt nikogo nie śledzi, a jeżeli, to ukradkiem. Myślę, że inaczej jest tam, gdzie istnieje faktyczne zagrożenie, czyli piętro niżej.

U nas same nerwice, lęki i fobie. Jak się komuś pogorszy — windą w dół... i z głowy.

A może zadzwonić do domu albo do Igły? W końcu odwiedzać mnie może, kto chce. Niestety, pierwsze połączenie i klęska — słuchawkę podnosi obecny małżonek mojej mamusi. Przecież nie będę z nim prowadzić konwersacji. Drugi telefon i to samo. Igła idzie na imieniny do babci, nie ma mowy, żeby się urwała.

Biorę mój zeszyt w kratkę, przynajmniej pisać mogę do woli. Jak ja nienawidzę niedziel, nigdy ich nie lubiłam. To przecież pora twoich odwiedzin, tato, więc powinnam się cieszyć, ale było inaczej. Najpierw się bałam, czy w ogóle przyjdiesz, czy nie odwołasz wizyty z jakiegoś istotniejszego niż ja powodu. Zwykle z nerwów biegłam do toalety, bo ból żołądka był nie do zniesienia.

Kiedy wreszcie przychodziłeś, wiedziałam, że i tak niedługo sobie pójdziesz. Nieważne, czy zdążymy skończyć naszą zabawę, przeczytać książkę. Po prostu uznasz, że już pora i zamkniesz za sobą drzwi. Na początku jeszcze się starałeś, odchodziłeś, kiedy ja szłam spać. Potem czasu miałeś coraz mniej, matce też przestało się chcieć udawać. Było więc tak, że ty w drzwi, a ona za drzwi. Zabawa w domek się skończyła.

Moje koleżanki jeździły z rodzicami na wczasy, ja tylko z matką, a czasami z tobą. Niestety, nie byłeś wtedy sam. Była jeszcze ona. Przeszkadzałam wam tylko i sprawiałam kłopot. Źle wychowana przez mamusię, rzecz jasna, źle ubrana — ciągle te spodnie zamiast cukierkowych sukieneczek, które tak bardzo podobały się twojej żonie. Do tego, jej zdaniem, ciągle byłam brudna. Moje rzeczy od razu lądowały w pralce, a ja w wannie. Po takim seansie myślałam tylko o jednym: żeby wejść do kałuży i wytarzać się w niej jak pies. Kiedy już miałam odwagę powiedzieć „nie”, przestałam z wami jeździć. Odtąd wakacje spędzałam u babci. Nie było tam żadnych atrakcji, ale przynajmniej niczego nie musiałam udawać.

Teraz moje wakacje przestały cię w ogóle obchodzić. Nie zapytałeś nawet, czy mam dokąd i za co wyjechać. Stałam się twoim obowiązkiem alimentacyjnym. Wakacje to podobno przyjemność, więc jak ją pogodzić z obowiązkiem? Poczuleś się zwolniony z odpowiedzialności za mnie. Odkąd zaczęłam sprawiać problemy, dałeś sobie spokój, bo przecież nikt nie chce mieć problemów. Okazałam się niewdzięczna, zła, zepsuta, nieodpowiedzialna i ogólnie do niczego. Jako produkt odpadowy powinnam znaleźć się na śmietniku. Więc zaczęłam sobie szukać tam miejsca. Podobno takie śmietnikowe trolle też są czasami szczęśliwe. Nie pasuję do twojego poukładanego świata, ze skarpetkami na co dzień i tymi do lasu, do tych eleganckich bibelotów i innych dupereli, które wyznaczają twój obecny status. Nie pasuje do genialnych dzieci twoich znajomych, odnoszących tylko sukcesy. A skoro nie można mnie zamknąć do szafy, to proszę bardzo, zawsze jest dom wariatów.

Nie chcę już dalej prowadzić tego dialogu z przeszłością, znowu mam ochotę się wyrzygać. Wychodzę na papierosa, na korytarzu spotykam znajomego doktora, który ma niedzielny dyżur. Zaprasza na kawę i chociaż nie chce mi się specjalnie z nikim gadać, nie umiem powiedzieć: „Dziękuję, kawka w pana towarzystwie mnie nie rajcuje”. Pozwala mi palić w gabinecie, co dla wolnego od nałogu jest dużym poświęceniem, ale skoro najał się do misji zbawiania świata, trudno, niech wdycha nikotynowy smrodek.

— Zastanawiałem się, jakie studia byłyby dla ciebie najciekawsze, bo chyba myślisz o studiach? — pyta. Nie wie, jak mi się naraża. To temat szczególnie drażliwy. Wypalam więc, że jeszcze nie słyszałam, by kogoś na nie przyjęli bez matury. Chyba że na podstawie wypiski z wariatkowa, którą mi załatwi. Jest jednak nieustępliwy, puszcza mimo uszu moje jadowite słówka. — Myślę o chwili, kiedy już tę maturę uzyskasz. Jak wiem, masz szansę, aby wszystko potoczyło się w dobrym kierunku. A jest o co grać. Nie powinnaś powtarzać roku. Takim jak ty do życia potrzebny jest sukces. Tylko odnosząc go, będziesz w stanie uwierzyć we własne siły i podjąć się następnych wyzwań. Jesteś zdolna, inteligentna i wiele potrafisz. Nie wolno ci mówić, że rzeczy z najwyższej półki są nie dla ciebie, że tam nie dosięgniesz. Rok intensywnej nauki i nadrobisz wszystkie zaległości, jestem tego pewien. A potem pójdziesz w świat, mam nadzieję, już bez lęku, który wyzwała w tobie agresję. Pomyśl o psychologii, medycynie, filozofii, a także wielu innych kierunkach dostępnych rów-

nież dla ciebie. Chciałbym zaproponować ci współpracę w roli terapeutki. Chodzi o anoreksję. Mam kilka dziewczyn, które, tak jak ty, są chore i potrzeba im wsparcia. Moje argumenty nie zawsze skutkują, zresztą sama dobrze wiesz, na jaki opór natrafiają. Gdybyś chciała się w to włączyć jako zdrowiejąca anorektyczka, byłbym ci wdzięczny.

Muszę przyznać, że mnie zamurowało. Niedawno szkoliłam dealerów rozprowadzających prochy, a teraz mam zbawiać podobne do siebie szkieletory? To już chyba przesada, a pan doktor za bardzo się zagalopował. Tłumaczę więc, że nie czuję się jeszcze na siłach, by podjąć się takiego wyzwania, nie potrafię. Nie chcę się przyznawać do porażki. Przecież z Igłą nic nie wskórałam. Ale on nie daje za wygraną. W końcu ustalamy, że wszystko przemyśle i dam mu odpowiedź. Na razie zostawiamy temat.

Osiemnastka

Mój szpitalny areszt nareszcie dobiegł końca. Doktor Małgosia trochę się jeszcze nade mną pastwiła, ale w sumie można było wytrzymać. Wróciły sublokatorki i przez pół tygodnia opowiadały o weekendzie. Nauczycielka nie mogła się nachwalić rodzinnej atmosfery w domu koleżanki, jej znakomicie ułożonych dzieci i męża anioła. Za to pani doktor wykonała numer godny siebie. Napisała na kartce: Zginiesz dzisiaj o północy i tę radosną informację zostawiła mężowi w kapciu. Niestety, przyszła ofiara niczego nie zauważyła, a na zbrodnię bez ostrzeżenia nasza koleżanka z pokoju nie miała odwagi.

— Bo wiecie, chrześcijanka jestem — usprawiedliwiała się.

— Postanowiłam dać mu jeszcze jedną szansę.

Wróciła w znakomitym nastroju, więc mówiła jeszcze więcej i jeszcze głośniej.

W sobotę wypisali mi przepustkę. Spakowałam się i oczekiwałam na Iglę. Nie miałam odwagi sama przekroczyć progu własnego domu, z Iglą będzie mi raźniej. Trochę jej zeszło, zanim mogła się urwać spod opiekuńczych skrzydeł ambitnej rodzicielki, więc do mojej kwatery dotarliśmy późnym popołudniem. A tu pełne zaskoczenie: na stole tort i osiemnaście świeczek, za stołem goście, w wazonie bukiet z osiemnastoma różami. O kurde, zapomniałam, przecież to już dzisiaj! Wreszcie jestem pełnoletnia! Przez te wszystkie hocki-klocki zupełnie wypadło mi z głowy, że dziś są moje urodziny.

Zanim ów radosny moment nastąpił, często zastanawiałam się, jak to będzie, kiedy już osiągnę wiek pozwalający na stanowienie o sobie. A teraz osiemnastka i skleroza...

Goście śpiewają sto lat, siadamy więc z Iglą do stołu. Tortów nie jadam z zasady, ale tym razem nie wypada odmówić. Jestem w szoku, nie spodziewałam się, że po moim wyczynie matka wyprawi mi taki bal. Dostaję też prezenty: srebrne łyżeczki, pościel, jako tak zwaną panieńską wyprawę, a od matki upragnione rolki. Nie wiem, jak się zachować. Jestem taka wzruszona, że chce mi się beczeć. Iglą mówi, że to niezła komedia, ale wyjątkowo nie chwytam dowcipu. Matka stara się, by wszyscy byli zadowoleni, dolewa kawy, kroi ciasto. Sielanka, o jakiej tylko pomarzyć. Co chwila słyszę:

— Kochanie, córeczko, cieszę się, że jesteś coraz zdrowsza.

Życzę ci, byś mierzyła wysoko i osiągnęła w swoim życiu wszyst-

ko, czego pragniesz.

Nie wiem, czy przeszła w szpitalu reedukację systemem zaocznym albo wieczorowym, ale ten repertuar przypomina znany i obrabiany przez moich opiekunów temat: panienka z problemami. Znowu są z matką w zмовie? Chyba nie nauczę się już żyć bez podejrzeń. To silniejsze ode mnie, powinnam nosić ksywę „śledczy.” Dziękuję jednak za życzenia i prezenty, w końcu mogę swojej rodzicielce zrobić przyjemność i podziękować się do gości. Niech się cieszy, było nie było, trochę się postarała.

Uroczystość wreszcie się kończy, a ja nie mogę się doczekać, by wypróbować rolki. Po kwadransie czuję się na nich lepiej niż w najwygodniej szych kapciach. Przydała się jazda na łyżwach i tańce na lodzie, za które zbierałam kiedyś nagrody.

Igła namawia mnie na skręta, ale nie mam ochoty. Wiem, że trochę mi zazdrości rolek. Żeby nie odgadła prawdziwego powodu jej złego humoru deklaruje, że nie lubi żadnych sportowych wygibasów, z wyjątkiem odchudzających skłonów i przysiadów. Trudno, siedzi na ławce i pali. Po chwili afera — jakaś matka z dzieckiem zrywa się i krzyczy:

— To marihuana! Trzeba wezwać policję! Na naszym osiedlu nie ma miejsca dla narkomanów!

Robi się zbiegowisko, Igła ewakuuje się w pośpiechu. Jeszcze nam brakowało spotkania z policją. Pędzę na rolkach na przystanek, by zapewnić jej spokojny odwrót. Potem spadam na bezpieczną odległość od tak zwanego miejsca zdarzenia. I jeżdżę, póki nie zastaje mnie noc.

W końcu pora do domu, bo po ciemku nie chcę ryzykować wywrotki na krzywych chodnikach. Matka nadal rozmawia ze mną tak, jakby nic się nie stało. Nie chcę psuć rodzinnej atmosfery. Trudno, raz na osiemnaście lat mogę się poświęcić.

Pyta, jaką podjęłam decyzję. Chce wiedzieć, czy wrócę jeszcze na trochę do wariatkowa, czy już nie będę się leczyć. Teraz zależy to wyłącznie ode mnie. Wiem, że pragnie, bym wróciła, ale nie ma odwagi powiedzieć tego wprost. A ja nie mam odwagi odmówić jej życzeniu. Zresztą i tak muszę pokiblować do końca roku szkolnego, żeby dostać zwolnienie lekarskie i na jego podstawie uzyskać formalną zgodę na zaliczanie trzech przedmiotów we wrześniu. Nie wiem, czy do nich podejść, ale miło jest wiedzieć, że chociażby teoretycznie jest to możliwe.

Jest tak jak w czasach mojego dzieciństwa, gdy matka miała dobry nastrój, nie biadoliła i nie rozpaczała. Popijamy herbatę, opowiadam o moich świrniętych koleżankach z pokoju, po pro-

stu idylla maleńka taka. Na dokładkę niespodziewanie dzwoni ojciec z życzeniami. Nie wiem, czy sprawdził datę w dowodzie osobistym, czy moja kochana mamusia wymusiła na nim ten telefon. Jednak nie potrafię być niemila, oczywiście dopóki nie zaczyna mówić mentorskim tonem, że osiemnaście lat to najwyższa pora, by zacząć inaczej myśleć i działać. Potem przypomina o obowiązku kontynuowania nauki, bo w przeciwnym razie przestanie płacić alimenty. Tego już nie wytrzymuję i jak zwykle rozstajemy się burzliwie.

Nie mam złudzeń co do mojego tatusia. Po rozmowie z nim nie powinnam się spodziewać niczego nowego, a znowu dałam się nabrać. Głupota i naiwność. Chyba nigdy nie wyleczę się z myślenia o swoim ojcu lepiej, niż na to zasługuje. To mój problem, wiem, a jednak nie potrafię pozbyć się złudzeń. Kochany tatuś chciałby, żebym była lepsza, niż jestem, a ja, by wreszcie rozmawiać z nim jak z kimś bliskim, a nie wyłącznie jak z egzekutorem obowiązków. Pewnie poczekam sobie na to następnych osiemnaście lat albo nie doczekam się wcale. Szkoda, że nie ma kursów jak być ojcem, opłaciłabym mu pobyt z własnych oszczędności.

Gniazdko

Wróciłam do wariatkowa objuczona jak wielbłąd dwugarbny. Przyniosłam tort, kawę, ciasta i inne babcine specjały. Moje lokatorki oniemiały z wrażenia. Po spotkaniu na tak zwanej grupie, które jak zawsze było beznadziejne, rozpoczęliśmy biesiadowanie. Przemyciłam szampana, więc toaścik też udało się wznieść. Choć było głośno jak u cioci na imieninach, piguły zachowały się po chrześcijańsku. W zamian obdarowałam je kawałkiem tortu. Moim sublokatorkom rozwiązały się języki. Pani doktor wspominała, jak na balu maturalnym, a właśnie wtedy skończyła osiemnaście lat, zapaliła papierosa w obecności dyrektorki liceum, co w dawnych czasach było równoznaczne z walnięciem sobie publicznie narkotykowej szprycy. Potem, żeby rozładować stres, wypila pół butelki wódki i resztę zabawy przeleżała pod stolikiem. Pani nauczycielka też nie była święta. Przyszła z narzeczonym i przez cały bal się całowała, nie bacząc na zgorszenie nauczycielek. Miała też amerykańską sukienkę z wielkim dekoltem, a stare wiedźmy nauczycielki mówiły: „Zobacz, ale cyckami świeci!” Wtedy postanowiła nigdy nie robić uwag na temat stroju uczniów i zawsze broniła tych w glanach, z koralikami i czubami na żel. Uważała, że to pierdoły, które tak naprawdę o niczym nie świadczą. Liczy się to, co w głowie. Niestety, niewielu z pedagogicznego grona podzielało jej zdanie, więc się narażała. Pozwalała też uczniom pić herbatę na lekcji, bo dobrze rozumie, jak to jest, gdy człowiek schnie z pragnienia. Też się nie podobało dyrekcji.

— I po co ich tak broniłam, narażałam się dla moich ancymonków? Żeby teraz, na starość zrobili ze mnie wariatkę, która boi się wejść do szkoły? — mówi z goryczą.

— Dobra, dobra, ty wariatka, ja, ona też. Zobacz, ile nas jest. I co, nie jest miło? — pani doktor robi wszystko, by podtrzymać wesoły nastrój. — Z kim tak ci będzie źle jak ze mną — podśpiewuje i ciągnie nauczycielkę do tańca. — Jak jest impreza, to trzeba tańczyć. La, la, la, znasz dalej słowa? Ja za cholere nie pamiętam. Oj, szampan chyba mocno poszedł do głowy naszej pani doktor. Pani nauczycielka nie za bardzo jest w tanecznym nastroju, opędza się przed podrygiwaniem jak może, ale jej partnerce to zupełnie nie przeszkadza. Skacze po pokoju, podnosząc do góry sukienkę. Po chwili łapie mnie za rękę.

— Teraz taniec z solenizantką, raz, dwa, trzy.

W końcu pada wyczerpana na łóżko i domaga się szampana.
Na szczęście butelka jest już pusta.

Zagląda piguła.

— Uciszcie się panie, bo zaraz przyjdzie tu lekarz.

W pośpiechu sprzątamy szklanki i kieliszki. Po chwili teren jest czysty, palimy papieroski, a jakże, zaciągając się najmocniej jak się da. I mamy gościa. Znajomy pan doktor wpada, by złożyć mi życzenia z okazji osiemnastych urodzin. Miło z jego strony. Nie sądzę, żeby sam z siebie wykazał się taką inicjatywą, pewnie piguły chlapnęły mu, że w pokoju impreza. Daje się zaprosić na kawę z tortem.

Też go wzięło na wspomnienia. Jak skończył 18 lat, koniecznie chciał się żenić. Matka mało trupem nie padła z wrażenia, ojciec wziął go w krzyżowy ogień pytań, żeby się przyznał, której pannie zmalował dziecko. A on na to, że z tą, z którą chciałby się ożenić, jeszcze nawet nie rozmawiał, ale nie wie, jak ją poderwać, więc jeśli zaproponuje małżeństwo, wyjdzie na to, że wszystko jest serio. Ryczeliśmy ze śmiechu, wyobrażając sobie tę scenę. Potem chyba z tego powodu, że tak wcześnie podjął temat, długo mu z tą żeniaczką schodziło.

— Osiemnaście lat, gdyby tak cofnąć czas... — rozmarzył się.

Po imprezie ucięłam sobie drzemkę, bo i mnie, alkoholowe ostatnio wyposzczonej, szampan trochę zaszumiał. Szkoda, że toastów nie można wznosić piwem. Głupie te konwenanse, ale co robić?

Spałam chyba ze dwie godziny, kiedy nagle ktoś mi ryknął nad uchem:

— Sto lat! Sto lat!

Poderwałam się jak oblana wrzątkiem, a tu przy łóżku stoją moje współmieszkanki z bukietem i małym zawiniątkiem.

— Życzenia bez kwiatów i prezentu nieważne. Długo szukałyśmy, ale udało się. — Na kolanach stawiają mi małe gniazdko z pisklęciem i jego rodzicami.

— To dla ciebie. Solidna robota, sprawdzałyśmy. Pisklak na pewno nie wypadnie, mocno przytwierdzony. Życzymy ci, żebyś kiedyś potrafiła zbudować takie solidne gniazdo, i żeby twoje małe nigdy z niego nie wyleciało, a co najwyżej wyfrunęło, gdy już będzie do tego przygotowane i dorosłe.

Chce mi się płakać, ale się wstydzę, wymykam się z objęć, uciekam na korytarz. Tu nikt mnie nie widzi, łzy płyną jak z fontanny. Głupia rzecz, a tak mnie rozczuliła.

Czy kiedyś będę budować gniazdo? I po co? Jaka mam szansę,

że mi się powiedzie? Przecież nie wiadomo, jaką kartę przeznaczył dla mnie los. Sadząc po przeżytych „szczęśliwych” osiemnastu latach, nie bardzo mu się udało.

Na czym oprzeć tę konstrukcję? Miłość jest tak krucha jak glina. Tylko mądry orzeł wie, co robi, wybierając na miejsce swojego mieszkania skałę. A ja to co najwyżej orzeł nietotka. Taka sobie zwyczajna kupka ludzkiego nieszczęścia. Zamiast cieszyć się z moich osiemnastu lat, kwitnę w domu wariatów, bez żadnego pomysłu na życie. Chciałam tak wiele, a zdobyłam tak mało. Więc chyba nie warto chcieć.

Z nastroju przygnębienia wyrywa mnie Igła. Wpadła, żeby dowiedzieć się, kiedy wychodzę, i jak się zakończyło rodzinne przyjatkło. Palimy jednego po drugim, trochę mi lepiej. W końcu załatwiam przepustkę i spadamy do miasta. Trzeba zmienić otoczenie, bo inaczej rozkleję się na dobre. Siadamy w ulubionej piwnej knajpie. Złoty napój poprawia mi nastrój, przypomina mi się ulubione powiedzenie Scarlett z „Przeminęło z wiatrem”, że o tym, co przykre, pomyślę jutro. Dokładnie nie pamiętam, ale chyba ujęła to jakoś tak...

Czas na decyzję

Szpitalne badania wypadają bez zarzutu. Wróciła także miesiączka, co podobno jest dowodem ustabilizowania się pracy hormonów. Twarz nie jest już pokryta meszkiem, a skóra tak bardzo sucha. Na szczęście zniknęły też pryszczki. Także włosy prezentują się nie najgorzej. Może niebawem zwariuję i utlenię się na blondynkę, jak Marilyn. Złośliwi twierdzą, że te blond włosy to wyłącznie zasługa fryzjerów. Czytałam też spekulacje na temat jej biustu. Podobno zafundowała sobie wcześniej jakiś powiększający go stanik, a potem implanty. Ciekawe, co jeszcze biedaczce wynajdą? Może za kilka lat okaże się, że była po prostu transwestytą albo babą jagą z garbem i bez zębów. Chyba zamiast klubu fanów Marilyn, bo takich na pewno na świecie wiele, założę stowarzyszenie ochrony jej czci i godności.

W pokoju, niestety, smutno. Pani doktor zjechała piętro niżej. Pewnego dnia coś ją wnerwiło i zaczęła gonić jednego faceta po mieście, żeby wykonać na nim wyrok za cały męski ród, który, jej zdaniem, zasługuje tylko na wyginięcie. W sumie afera była jak się patrzy, facet mało nie padł na zawał, kiedy zorientował się, że goni go jakaś wariatka z kuchennym nożem w ręku. No i zapakowali ją w kaftanik, i grzecznie sprowadzili na oddział dla kompletnych czubów. Byłam ją potem odwiedzić z doktor Małgosią. Siedziała niczym jakaś egipska mumia, nafaszerowana uspokajaczami, i nie bardzo kojarzyła, co się stało i kim ja w ogóle jestem. Chyba już takiej baby z jajem w życiu nie spotkam. Facet miał szczęście, że szybko biegał, chociaż zemsta na męskim rodzie byłaby w sam raz. Nauczycielka też czeka lada dzień na wypiszkę. Niestety, poddała się. Mimo dobrych chęci, nie potrafi pozbyć się lęku przed przekroczeniem drzwi szkoły. Wybiera rentę inwalidzką. I chyba słusznie, bo jeszcze poszłaby w ślady pani doktor i poderżnęła gardło jakiemuś wrednemu gówniarzowi.

Śmieszne i nieprawdopodobne, ale z tego grona tylko ja zostałam uleczona. Tak przynajmniej twierdzą moi opiekunowie. Za ewentualne kłopoty będę mogła winić teraz wyłącznie własne lenistwo.

Mam zdecydować o swojej przyszłości i ma to być mój świadomy wybór: czy kontynuuję naukę w czasie wakacji i walczę o przejście do maturalnej klasy, czy robię sobie wakacje. Jako pełnoletnia mam prawo opowiedzieć się za jednym bądź drugim rozwiązaniem, a oni już wezmą na swoje barki rozmowę na ten

temat z moją matką. Medytuję nad tym blisko tydzień. Doktor Małgosia nie pogania mnie ani niczego nie sugeruje. Zachowuje się jak zawodowy gracz w pokera, który wie, że przegra ten, kto pierwszy się zdenerwuje. Obie nie lubimy przegrywać, więc gramy na zwłokę.

Wieczorami rozmawiamy sobie na różne tematy. Proponuje mi na przykład, bym zrobiła jej portret psychologiczny, sprecyzowała najbardziej charakterystyczne cechy osobowości. A potem ona opisze mnie. Swojego wizerunku nie bardzo jestem ciekawa. Ma mnie już opisaną, zmierzoną, przeżutą jak balonową gumę. Co jeszcze może być ciekawego do odkrycia? Ale ona to niezła zagadka. Nic o niej nie wiem, z wyjątkiem tego, co chciała ujawnić. Nie mam pojęcia, z jakiego domu pochodzi, czy była szczęśliwa w dzieciństwie, czy ktoś ją skrzywdził. Nie wiem nawet, czy jest mężatką, czy panną, może ma kochankę?

Ale trochę jednak wiem i na tym będę budować. Na pewno jest nieśmiała, niezbyt otwarta, nie do końca ufa ludziom. Nosi w sobie jakąś tajemnicę związaną z dzieciństwem, tak sędzę. Ponadto jest osobą krytyczną wobec innych. To tyle na początek. Po długiej chwili milczenia cholernie podekscytowana słucham, co doktor Małgosia ma mi do powiedzenia. A ona recytuje, że chyba zawarłam wszystko, co najistotniejsze w tym opisie i zawodowiec nie zrobiłby go lepiej. Nie wiem, kpi czy o drogę pyta albo zwyczajnie mnie podpuszcza, ale nie daję po sobie poznać, że wątpię w jej słowa.

Istotnie, na jej życiu zaciążył rodzinny dramat. Miała siostrę bliźniaczkę, która zmarła w dzieciństwie. Od tamtej pory matka nie potrafiła już żyć normalnie, przez kilka miesięcy w roku przebywała w zakładach psychiatrycznych. Dlatego, by jej pomóc, wybrała psychiatrię. Jako osoba niezbyt ufna wobec obcych, postanowiła odnaleźć się w zawodzie, który będzie wymagał otwarcia się na innych. Był to jej świadomy wybór, ale wynikający z tych wszystkich uwarunkowań. Niełatwo wybaczają słabości, głęboko przeżywa, kiedy ktoś ją zrani. Dostałam więc szóstkę.

Teraz pora na mnie. Zdaniem doktor Małgosi los dał mi wiele i mało jednocześnie. Zdolności, które są prawdziwym majątkiem, oraz brak siły i determinacji, by je właściwie wykorzystać. To tak, jakbym w jednej ręce trzymała darowany worek złota, a drugą ktoś mi go zabierał. Dlatego moje działania powinny teraz skupić się na tym, aby nie dać sobie odebrać worka. Myślę sobie, że fajna ta psychiatria. Zważywszy, że cały świat to zbiorowisko różnych wariatów, trudno narzekać na brak zajęcia.

Nie matura, lecz chęć szczerą...

Recytuję doktor Małgosi popularne powiedzonko z epoki dinozaurów, czyli młodości mojej matki, kiedy zaczyna mnie męczyć pytaniami o to, jakie mam plany.

— Myślałam, że stać cię na bardziej oryginalny tekścik — odparowuje. — Na przykład: my, ludzie wielcy do szkół nie chodzimy, bo ich nie lubimy, albo: szkółka be, pić się chce. Też recytowaliśmy takie różne głupoty, niektórzy nawet pisali na murach.

— Czasy finansowych karier cwaniaków handlujących skarpetami na składanych łóżkach to już przeszłość — mówi po chwili.

— Twoje pokolenie zaczyna walkę o miejsce w świecie w warunkach ostrej konkurencji. Jeśli się spóźnisz, dołączysz jedynie do grona frustratów, którzy będą się przyglądać, jak inni zajmują ich miejsca, tworzą elity intelektualne i finansowe. Zostanie ci margines, a ty nie za bardzo chciałabyś się w tej grupie znaleźć. Nie wierzę, że potrafisz zadowolić się byle czym. Mówić: „Jestem szczęśliwa z moimi straconymi złudzeniami i marzeniami”.

Słucham tych wywodów, jakby to było przemówienie na zakończenie roku szkolnego, a dyra wysiliła cały swój intelekt na jego napisanie. Jednak nie mam odwagi przerwać i powiedzieć, że jest to głupie trucie w bucie i jakaś ponura belferska mowa. Doktor Małgosia chyba sama się orientuje, że brnie na oślep, bo zaczyna zwalniać.

— No dobrze, nie będę już więcej wstawiała umoralniającej gadki. Jeszcze pomyślisz, że mi twoja mamusia zapłaciła za ten występ. Po tobie wszystkiego można się spodziewać!

Obie wybuchamy śmiechem, bo przez chwilę wyobrażam sobie, że matka biegnie z napisanym referatem oraz stową i mówi: „Proszę go wygłosić, od tego zależy szczęście i zdrowie mojego dziecka!”

Idę zrobić herbatę, zapalam w kibelku papierosa i myślę sobie, że fajnie byłoby mieć taką przyjaciółkę. A może pójść na całość i powiedzieć, że po maturze tylko medycyna. Ciekawe, jakie zrobiłoby to na niej wrażenie?

Rozmawiamy więc najpierw o literaturze i filozofii. Oba kierunki studiów, polonistyka i filozofia, zdaniem doktor Małgosi są oczywiście do zaakceptowania. Nagle pyta mnie, jakie przedmioty muszę zaliczyć, żeby zdać do maturalnej klasy. Została mi chemia, niemiecki i matma.

— Sporo — przyznaje. — Ale w końcu wakacje trwają dwa

miesiące. Gdy podzieli się je na tygodnie, dni i godziny, wyjdzie tego wcale niemało. Jeśli zdecydujesz się podjąć wyzwanie, zrób to z głową. Gdybyś pomyślała na przykład o medycynie, taki wysiłek mógłby być wynagrodzony nie tylko zdaniem matury. A pieniądze, które i tak pewnie będziesz musiała wydać na korepetycje, zaczną w przyszłości procentować. Nie mówię, że jest to najlepszy zawód na świecie. Są inne, może bardziej atrakcyjne. Jednak wydaje mi się, że mogłabyś w nim sporo osiągnąć. Znam takich, którzy o tym kierunku studiów zaczęli poważnie myśleć dopiero w klasie maturalnej. Sama do nich należę. Nie było mi łatwo przebrnąć przez górę materiału, ale jakoś dałam sobie radę. A skoro mogłam ja, możesz i ty. To nieprawda, że trzeba być prymusem. W testach jest sporo pytań, które sprawiają kłopoty na przykład kujonom, a ci mniej solidni, ale potrafiący myśleć nieco szerzej, radzą sobie z nimi bez trudu. Nie chcę, byś myślała, że nalegam, staram się nagiąć twoje życie do własnych wyobrażeń. Po prostu trochę cię już znam. Należysz do pasjonatów. Jak cię coś zainteresuje, możesz wiele z siebie dać. Myślę, że tylko człowiek, który naprawdę coś przeżył, posiada predyspozycje do tego zawodu. Potrafi zrozumieć chorych, ma z nimi bliższy kontakt. Za kilka dni dostaniesz wypis ze szpitala i zwolnienie lekarskie, które umożliwi ci zdawanie egzaminów przed początkiem nowego roku szkolnego. Myślę, że zrobisz z niego właściwy użytek. To twoja przepustka do nowego życia. Przemyśl, zastanów się i pamiętaj, że zawsze, kiedy najdzie cię chandra, będzie ci źle, pojawią się chwile zwątpienia, możesz tu do mnie przyjść na herbatę.

Podziękowałam za zaproszenie, czując, że w mojej głowie kotłuje się jak w czasie burzy z nawałnicą. Poszłam się położyć, ale nic z tego, za dużo dla mnie na jeden raz. Przysłoniłam nocną lampkę gazetą, żeby nie budzić pani nauczycielki, i wygrzebałam z szuflady zeszyt w kratkę.

Nie wiem, jak byś zareagował na tę wiadomość, ale obawiam się, że mógłby to być nawet stan przedzawałowy. Otóż twojej beznadziejnej córce zaproponowano studiowanie medycyny.

I co ty na to, kochany tatusiu?

Co byś powiedział, gdyby to, o czym teraz piszę, stało się kiedyś prawdą, a w gruzach legła cała misternie budowana teoria, że jestem przypadkiem beznadziejnym, który nadaje się tylko do życia w zamkniętym zakładzie dla obłąkanych?

Może wtedy dałoby się mnie jakoś wyjąć z szafy i wpuścić na pokoje. Może nawet mówiłbyś: „To po mnie taka zdolna!

Miała wprawdzie trudny okres w życiu, ale teraz popatrzcie — medycyna.”

Nawet nie wiesz, jaką mam cholerną ochotę, by zobaczyć twoją minę, gdybym zdała egzamin i się dostała. Wprawdzie to studia dla kujonów, a ja do takich nie należę, ale jakby tak trochę nad sobą popracować?

No nie, chyba mi odbiło na całego, wrzucam zeszyt do szuflady. Zamiast wypisywać te bzdury, powinnam położyć sobie worek lodu na głowę. Przez trzy lata pływałam po szkolnym materiale jak okręt-widmo, a teraz wyraźnie chcę się roztrzaskać o jakąś wielką rafę. Nie ma mowy — robię sobie wakacje!

Przepustka na życie

Tak naprawdę nie mam komu powiedzieć do widzenia. W pokoju jestem już sama. Nauczycielka wyjechała, a nowego świra nie dokwaterowali. Doktor Małgosia zjawi się jak zwykle wieczorem. Zostawiła mi wypisane zwolnienie, receptę i wizytówkę z dopiskiem: Trzymaj się, wpadaj, dzwoń! Odwzajemniłam się kartką z postacią Don Kichota, którego bardzo lubię, a nawet czuję osobistą więź z owym błędnym rycerzem. Piguły obiecały też przekazać czerwoną różę jako dowód mojej sympatii dla niej. Z panem doktorem podaliśmy sobie rączki, przyjąłem życzenia na nową drogę życia i zapewniłam, że już nigdy żadne wariatkowo nie będzie mnie oglądać. Na pewno dotrzymam słowa. Spakowałam plecak i z ulgą zamknęłam drzwi miejsca mojego przymusowego odosobnienia. Nie było we mnie tej radości, z jaką witałam wolność, wychodząc po raz pierwszy na przepustkę ze szpitala w Z. Tyle razy mogłam je otwierać i zamykać, więc trudno o jakieś emocje. Mimo wszystko nie jest to raj na ziemi, tylko dosyć przygnębiający szpital, w końcu dla wariatów. Następnego dnia, już wolna, miałam pojechać do Z. w sprawie ustalenia terminu egzaminów. Oczywiście nie pojechałam. Wysłałam matkę. Po prostu bałam się, że spotkam kogoś od bossa, bo ciągle nie mogłam uwierzyć, że jednak dali mi spokój. Matka jak zwykle wykazała się samarytańską postawą i bez specjalnego namawiania wsiadła w autobus. Oczywiście załatwiła, co się dało, a nawet więcej. Jeszcze trochę się postara i na egzaminy też nie będę musiała jechać. Przywiezie komisję do domu. Wprawdzie obiecałam sobie wakacje, ale nic z tego. Mam się uczyć, zdawać, nadrabiać zaległości, a oni w Z. zrobią wszystko, by się mnie pozbyć, przepychając do maturalnej klasy. Oczywiście dalej będę się edukować w moim miejscu zamieszkania, bo o internacie nie ma mowy. Mogę się jeszcze zdecydować na szkołę zakonną, jeżeli mało mi reedukacji w szpitalu dla psycholi. Takie rozwiązanie zaproponowała moja wspaniała mamusia. Uśmiełam się do łez, bo wyobraziłam sobie, jak deprawuję święte osoby, częstując na przykład maryską.

Nie najlepiej zapowiadają się więc moje wakacje. Właściwie nie będzie ich wcale, ale podobno od roku, a nawet od kilku lat ciągle jestem na wakacjach, więc już wykorzystałam je z nawiązką. Niech i tak będzie.

Wcześniejsze plany, że wyjedziemy z Iglą zarobić trochę kasy,

padły w gruzy. Zresztą podobno i tak nic by z tego nie wyszło. Moja koleżanka wybiera się razem z mamusią do sanatorium. Teraz jej rodzicielka uparła się, by ratować chore dziecko, bo Igła ginie w oczach.

Siadłam więc w kącie pokoju, by przejrzeć program, który muszę opanować, żeby zdać. Normalna załama. Nie wiem, od czego zacząć, jak się za to zabrać. Czuję się tak, jakby nagle wyrosła przede mną wielka góra. Obchodzę ją z każdej strony, żeby znaleźć drogę na szczyt. No, ale od czego jest mamuśka! Natychmiast łapie za telefon, wynajduje nazwiska dalszych i bliższych znajomych, żeby załatwić korepetycje. Wprawdzie są wakacje, ale ona nie odpuści. Matematyczka przełoży więc wczasy, germanistka wyjazd, chemiczka zaniedba działkę, bo przecież jestem w potrzebie — biedna, nieszczęśliwa, chora.

Następnego dnia zaczynam mój korepetycyjny maraton. W plecaku zeszyty i książki, a ja jeżdżę z jednego miejsca w drugie. Tu godzina, tam znowu dwie. Potem powrót autobusem nagrzanym niczym Wezuwiusz. Kąpiel, bo akurat Bozia wymyśliła jakieś potworne lato stulecia i ledwo dyszę z gorąca. Na ochłode duża butelka mineralnej i do roboty.

Długo nie mogę się połapać w gąszczu matematycznych zadań, ale powoli trochę się rozjaśnia. Matematyczka jest fajna, umie uczyć tego nudnego przedmiotu jak mało kto. Z chemii też idzie mi dobrze. Nagle zaczynam rozumieć to, co do niedawna było czarną magią, czyli chemiczne wzory i zadania. Język nie jest, niestety, moją mocną stroną, ale powoli uczę się tłumaczyć prosty tekst.

Mijają pierwsze dwa tygodnie, a ja ciągle w drodze z plecakiem i notatkami. Panny jadą z kocami gdzieś na plażę, trochę im zazdroszczę. Trudno, najwyżej w listopadzie zafunduję sobie solarium.

Może doktor Małgosia miała rację, że jak już wydawać kasę, to żeby się zwróciła. Pierwszy raz w życiu kuję jak kornik w meblach. Rozwiązuję dodatkowe zadania, jakieś testy. Pani od chemii traktuje mnie jak gwiazdę. Pytam więc nieśmiało, czy miałabym szansę na medycynie. Mówi, że nie widzi problemu pod warunkiem, że utrzymam takie tempo. Tylko jak to zrobić? Już mi się powoli miesza chemia z matematyką. Niedługo chemiczne prawa zacznę tłumaczyć na niemiecki. Wymyśliłam, że powinnam sobie rozbić namiot gdzieś w środku miasta, to przynajmniej do każdego korepetytora będę miała prawie tak samo blisko. Pomału wysiadam, a to dopiero początek góry, zaś szczyt

schowany jest gdzieś daleko w chmurach.

Igła odwiedziła mnie przed wyjazdem do wód i mało nie padła w progu, widząc mój pokój oklejony chemicznymi wzorami. Stwierdziła ze zgrozą, że musieli mi robić jakieś elektrowstrząsy podczas snu, bo to niemożliwe, żebym tak zwariowała sama z siebie. Kiedy odmawiam nawet głupiego macha trawy na rozgrzewkę, jeszcze bardziej umacnia się w swojej teorii.

— Teraz to dopiero zrobili z ciebie wariatkę — mówi niezwykle przejęta. — Pranie mózgu, tak to się nazywa. Sprawdź, może jeszcze świecisz w nocy — proponuje. — I zawiadam, kiedy dadzą ci Nobla.

Rozstajemy się niezbyt uprzejmie. Trudno, sama nie mogę uwierzyć w tę nagłą przemianę, więc jak się tu dziwić Igle. Swoją drogą rzeczywiście wyglądam na niespełna rozumu z tymi zeszycami w środku upalnego lata.

Klęskę przekuj w sukces

Przez trzy kolejne noce poprzedzające mój sprawdzian wiedzy nie śpię. Teraz naprawdę bardzo chciałabym zdać. Wiem, że umiem sporo, ale egzamin to przecież loteria. A ja nie mam szczęścia w grach liczbowych. Matka też nie może spać. Siedzi w kuchni, męczy się nad jakąś gazetą. Najchętniej pojechałaby zdawać za mnie, chociaż jest absolutną matematyczną nogą, a o chemii też ma niewielkie pojęcie. Niemieckiego nie uczyła się nigdy w życiu.

Najpierw klóciłam się z nią, że swoje sprawy załatwię sama, ale w końcu dałam się ubłagać. Może kiedy zobaczą, jak jej zależy na tym świadectwie, przymkną oko i mnie puszczą. Wiem, że wypłacze dla mnie te tróje. Niech więc jedzie zamiast koła ratunkowego.

O mało nie spóźniłyśmy się na autobus. Droga do Z. wydawała mi się tym razem wyjątkowo krótka. Jeszcze nie zdążyłam pozbiierać myśli, a już szanowna komisja zasiadła za stołem. I nie było żadnej taryfy ulgowej.

Najpierw chemia — tu bez niespodzianek, poza jedną, że nauczyłam się za dużo i trochę nie na temat. W końcu jednak doceniono moje starania i otrzymałam czwórkę.

Sprawdzian z matematyki też okazał się łatwy — wpisali mi trzy plus, bo pominęłam jedno zadanie. Zwyczajnie o nim zapomniałam, a było wyjątkowo proste. Matematyczka i tak była zdumiona, sądziła, że w ogóle nie podejść do zdawania.

Prawdziwą przeprawą okazał się niemiecki, ale i tu jakoś się wywinęłam na słabą mierną.

Po dwóch godzinach odbierałam świadectwo ukończenia trzeciej klasy i nie potrafiłam ukryć szczęścia. Wyobrażałam sobie minę Igły, kiedy się dowie, że za rok razem będziemy się pocić na maturze. I jak kochany tatuś gryzie słuchawkę telefonu na wieść o moim sukcesie. A już myślał, że pójdę do wieczorówki i do pracy, a on uwolni się od alimentacyjnego ciężaru. No i nie wyszło, takiego przykrasa mu sprawiłam na koniec wakacji.

Matka jak zwykle uderza w patetyczny ton.

— Teraz otrzymałaś szansę na nowe życie. Trzeba ten sukces kontynuować. Skoro chcesz zdawać na medycynę, na pewno ci pomogę.

Mam dosyć tego gadania, więc bezczelnie mówię, żeby mi dała spokój.

— Może miałam taki kaprys, żeby zdać, i to wszystko. Będę leżeć na kanapie, patrzeć w sufit, do żadnej szkoły nie pójde. Z trudem powstrzymuje łzy.

Pastwienie się nad nią sprawia mi wyjątkową przyjemność. Lubie widzieć przerażenie na jej twarzy. To tak jak zdawanie bólu tęnym narzędziem, dłużej trwa. Nie mogłabym się sprawdzić jako kat. Jedno celne uderzenie siekiery to nie dla mnie. Co innego zabijać stopniowo, perfidnie, według pewnego planu, a nie w sposób prostacki. Ostatnio bardzo zajmuje mnie wikty-mologia. To nauka o ofiarach przestępstw. Myślę, że moja mamusia stanowi klasyczny przypadek ofiary. Dziwię się, że poza mną, jej pierwszym i drugim mężem nikt się jeszcze nie poła-pał. No, ale może wystarczy to, co sami jej fundujemy.

W końcu przyjmuję zaproszenie na kawę, żeby oblać mój sukces. Najchętniej walnęłabym ze dwa piwa, ale nie mam odwagi zaproponować. Wprawdzie jestem pełnoletnia, jednak częstowanie własnego dziecka alkoholem to, zdaniem mojej rodzicielki, prawie namawianie do zbrodni. Kończy się więc na lodach i kawie.

Z ulgą opuszczam Z. Nie chcę tu wracać już nigdy. Nie potrafię pozbyć się lęku. I tak będzie zawsze. Można zamknąć jakiś rozdział swojego życia, ale nie da się zamknąć na kłódkę swojego strachu. Tu, w Z. czai się on w każdym kącie. Uciekam więc tylko z szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, bo autobus osiąga takie właśnie „zawrotne” tempo.

W domu babcia przygotowuje uroczysty obiad, zapowiada się dalszy ciąg imprezy, na którą wcale nie mam ochoty. Myślę tylko o jednym — spać. Ale jestem zbyt podekscytowana, by zasnąć. Ach, prawda, muszę jeszcze zadzwonić do doktor Małgosi. Niestety, pudło. Nikogo nie ma w domu. Zostawiam więc wiadomość na sekretarce, tylko jedno słowo — zdałam!

Pod wieczór przyjeżdża ojczym. Wiadomość o moim sukcesie komentuje w wiadomy sobie sposób:

— Znowu ci się udało. Ale życie da ci jeszcze nauczkę! — cedzi przez zęby.

Dziękuję za te wyjątkowo serdeczne słowa i trzaskam drzwiami. W pobliskich krzakach daję upust swojemu żołądkowi. Czego się spodziewałam? Że potraktuje mnie inaczej? Dla niego zawsze będę kimś trzeciego gatunku, po prostu zerem. No i niech spada!

Trochę się uspokajam. Dzwonię do Igły, żeby jej przekazać wiadomość o zdobytym świadectwie do maturalnej klasy. Idzie-

my na piwo, nareszcie czuję, że żyję. Chyba jednak miała rację doktor Małgosia — sukces był mi potrzebny jak powietrze. Teraz już obie snujemy plany na przyszłość. Igła chciałaby zdawać do szkoły filmowej, chociaż jej tłumaczę, że chyba wszystkie filmy o obozach koncentracyjnych już nakręcili, a w innych nie ma co liczyć na rolę z taką piórkową wagą. Nie udaje mi się jej jednak zniechęcić. Podobnie jak Igle, kiedy rysuje przede mną wizję sześciu lat katorgi, wkuwania łacińskiej terminologii, a z jedynych atrakcji, które mnie czekają, może być co najwyżej oblizywanie skalpela w prosektorium.

Następnego dnia matka okupuje telefon i wydzwania do wszystkich szkół, żeby znaleźć dla mnie jakieś miejsce. Oczywiście nie jest to proste. Zdecydowałam się na klasę biologiczno-chemiczną, bo to niezbędne, jeśli rzeczywiście chcę zdawać na medycynę. Dzięki tak zwanym znajomościom w kuratorium już następnego dnia zostaję przyjęta do takiego liceum, które odpowiada moim potrzebom. Mamusia świętuje swój kolejny sukces. Zdała kolejny egzamin z rodzicielskiej zaradności. I niech się cieszy, też jej się coś od życia należy.

Od jutra zaczynam rok szkolny, kupiłam nawet książki i kilka zeszytów. Odwykłam od regularnych lekcji, a po wakacyjnej orce z przyjemnością zrobiłabym sobie tydzień laby, ale nie mogę od początku podpaść.

Umawiam się też na kolejne korki z chemiczką, biologię będę wkuwać sama. Układam plan tygodnia jak księgowy. Tam, gdzie wisiał plakat z Marilyn, teraz jest przesłanie doktor Małgosi: Klęskę przekuj w sukces!

Rachunek

Już czwarty raz, na pół roku przed maturą, zmieniłam szkołę średnią. Zwiedzić cztery licea w cztery lata to w sumie niezły wynik! Nie było to łatwe, ale kochana mamusia tym razem także dała z siebie wszystko. I jakimś cudem dobrnęłam do szczęśliwego finału. Moje świadectwo dojrzałości nie nadawało się jednak do publicznej prezentacji. Oczywiście z taką cenzurką nie miałam odwagi zdawać na medycynę. Jeśli podjęłabym tę straceńczą decyzję, to chyba tylko dlatego, by zszokować komisję egzaminacyjną swoją bezczelnością.

Wybrałam studia, na których przydała się moja wiedza biologiczno-chemiczna, ale wytrzymałam zaledwie miesiąc. Potem szukałam szczęścia w szkole pomaturalnej, by ostatecznie zdecydować się na uczelnię humanistyczną, którą mam zamiar skończyć. Co będę robić w życiu, jeszcze nie wiem.

Moja matka wyjechała budować nowe szczęście w nowym miejscu beze mnie, za to ze swoim wspaniałym mężem i równie udanym dzieckiem. Staram się tam bywać jak najrzadziej. Nawet na wspólne święta nie daję się namówić. Kontakty z ojczymem ograniczają się do wzajemnej sztuki uników. Są, a jakoby ich nie było. Z matką z konieczności kontaktować się muszę, bo jest moim głównym źródłem pozyskiwania kasy. I nie mam w tym względzie żadnych oporów. W końcu duże dzieci to duże wydatki. Zawsze jej tak mówię, gdy zaczyna jęczeć, że już nie ma skąd pożyczyć, żeby mi posiać szmal. Jak się nie udaje inaczej, straszę, że znowu będę handlować amfą albo zacznę kraść. Wtedy mięknie.

Szufladę mojego biurka wypełniają listy do ojca. Piszę je i chowam, chociaż nie wiem, po co. Nigdy ich przecież nie otrzyma. Nie mamy ze sobą innych kontaktów, oprócz pośrednictwa Poczty Polskiej, skąd odbieram czek. Nazywam go funduszem alimentacyjnym.

Nie spełniłam oczekiwań, mrzonki o medycynie okazały się wyłącznie bajdurzeniem. Znowu zawiodłam, więc nie jestem mu już do niczego potrzebna. Łoży niewielką kwotę i tylko pod warunkiem, że przyślę zaświadczenie o kolejnym zaliczonym semestrze. Inaczej zero. Zna mój adres i numer telefonu, ale nic z tych informacji nie wynika. Nie interesuje się, czy jestem zdrowa, czy choruję. Więc sytuacja podobna jak z ojczymem: jestem, a jakoby mnie nie było. Został mu tylko wpis w dowodzie, że ma

dziecko. Chociaż może zmienił dowód osobisty, kiedy skończyłam osiemnaście lat i z ulgą mnie wtedy z niego wykreślił. Dziadkowie też nie mają ze mną żadnego kontaktu. Nawet nie wiem, czy jeszcze żyją. Kochali mnie przez pierwszych kilka lat, potem im przeszło. I kłopot z głowy. Jedyne wnuczka, jedyna córka ich kochanego synka zapadła się pod ziemię. A tak na mnie kiedyś czekali i pragnęli. Kupowali koszulki, zabierali na spacer. Tylko że wtedy można się było mną pochwalić, pokazywać dzieło syna znajomym i krewnym. Jeszcze nie miałam zabagnionej kartoteki, nie sprawiałam kłopotów większych niż niemowlęca kupka. Potem przerósł ich ogrom problemów. Stałam się obca jak moja matka i całe nasze życie po rozwodzie. Słodki aniołek z loczkami przestał być słodki.

Moje kontakty z doktor Małgosią też się urwały. Kilka razy spotkałyśmy się przypadkiem, ale poza zwykłymi grzecznościowymi pytaniami: co słyhać? nie było w nas woli, by tę znajomość kontynuować. Może uznała, że niepotrzebne mi już żadne koło ratunkowe i sama muszę dać sobie radę z życiem. Albo i ja zawiodłam, nie zdając na medycynę.

Nic też nie wyszło ze współpracy z panem doktorem. Podejrzewam, że blefował, proponując mi terapię z dziewczynami chorymi na anoreksję, albo ocenił moje zdolności negatywnie. Jego wybór. A dla mnie ulga. Nie wyobrażam sobie powrotu do tego upiornego miejsca, nieważne w jakim celu. Omijam je dużym łukiem, nie jeżdżę też do Z.

Nie ćpam, nie palę trawy, ale czasami mnie ciągnie, zwłaszcza przed sesją. Lubię za to piwo. Wychyłam je przy każdej okazji. To podobno pierwszy krok do alkoholizmu. Znając moje skłonności do uzależnień, może kiedyś zaliczę jeszcze odwyk w jakimś wariatkowie.

Nie prowadzę głodówek, czasami tylko piję zioła przeczyszczające, staram się unikać tabletek, chociaż działają szybciej i przynoszą większy efekt. Jestem szczupła, czyli taka, jak zawsze chciałam być. Ale nie wzbudzam już litości, jak kiedyś. I mam świadomość, że jestem anorektyczką, tyle że podleczoną. To tak jak alkoholik, nawet jeśli nie pije dwadzieścia lat, ciągle nim jest, bez względu na czas abstynencji. Mój żołądek buntuje się przed większą porcją jedzenia, wymiotami reaguje na stres. Ale jednak odniosłam zwycięstwo. Żyję! Studiuję! Nie spadłam na dno! Kiedy jest mi dobrze, jestem wyluzowana, szczęśliwa, organizm nie sprawia mi kłopotów. W sytuacjach trudnych natychmiast zachowuje się w wiadomy sposób. I tak już chyba będzie

zawsze. Jestem tego świadoma. To cena, jaką zapłaciłam za zdrowotne eksperymenty. Piszę o tym wprost, bo tak naprawdę nikogo innego poza sobą nie mogę za to winić. Niech więc moje doświadczenia będą jakąś przestrożą. Wejść na tę drogę łatwo, ale zawrócić znacznie trudniej.

Na moim roku jest jeszcze jedna dziewczyna chora podobnie jak ja, ale już w znacznie gorszym stanie. Nie potrafi sama wejść po schodach, trzyma się poręczy, żeby nie upaść. Często mam ochotę jej powiedzieć: „Wiem, jak to jest, nie brnij dalej. Jeszcze możesz się zatrzymać. Za chwilę będzie to już niemożliwe.” Nie mam jednak odwagi, bo sama wiem, że nie trafiały do mnie żadne argumenty. Powiedzieć jej: „Spójrz na mnie, ja wygrałam” byłoby chyba przedwcześnie. Za każdym razem, kiedy mój żołądek reaguje wymiotami, rośnie we mnie poczucie winy. Oczyszczanie nie przynosi ulgi, nie powoduje znanego mi kiedyś uczucia lekkości. Jest dowodem mojej słabości, a nie siły.

W pokoju nad łóżkiem znowu wisi plakat z Marilyn, tak sfa-tygowany, że trudno zidentyfikować, kogo naprawdę przedstawia. Ale przez to jest mi jeszcze bardziej bliski.

Mam sporo planów i nadziei na ich spełnienie, ale brak mi wewnętrznej siły, miewam depresje, coraz trudniej podnoszę się z klęsk. Czuję się w jakiś sposób naznaczona przez chorobę, czasami moje ciało krzyczy z bólu. Przeklinam je wtedy i nienawidzę. Nie potrafiłam go pokochać. I chyba już nigdy nie będzie inaczej. Chociaż istnieje i takie powiedzenie: nigdy nie mów - nigdy... Jeśli za jakąś przyczyną tak się kiedyś stanie, dopiero wtedy powiem — wygrałam!

Lista ośrodków zajmujących się leczeniem anoreksji i zaburzeń jedzenia:

•ŁÓDŹ

Polski Instytut Ericksonowski
94-036 Łódź, ul. Wioślarska 27, tel. (042) 688 48 60

• KATOWICE

Polski Instytut Ericksonowski
filia w Katowicach
40-697 Katowice, ul. Chełmska 17, tel. (032) 252 45 17

• POZNAŃ

Polski Instytut Ericksonowski
filia w Poznaniu
Poznań, ul. Jarochowskiego 39a/3,
tel. (061) 864 28 67, O 603 984 544

• GLIWICE

Ośrodek Leczenia Nerwic i Zaburzeń Jedzenia
44-121 Gliwice, ul. Kozielska 71, tel. (032) 238 34 70

•KRAKÓW

— dla dzieci do 14. roku życia
Wojewódzki Specjalistyczny Szpital Dziecięcy
Oddział Psychiatrii Dzieci i Młodzieży
31-503 Kraków, ul. Strzelecka 2/4, tel. (012) 411 02 56
— dla dzieci powyżej 14. roku życia
Klinika Psychiatrii Dzieci i Młodzieży
31-501 Kraków, ul. Kopernika 216, tel. (012) 421 59 59

• WARSZAWA

Gabinet Psychiatryczno-Psychoterapeutyczny
Jolanta Berezowska, 01-913 Warszawa, ul. Szekspira 3,
tel. (022) 669 11 96, 0604 309 084

POLECAMY RÓWNIEŻ INNE POZYCJE

Z, SERII „LOSY LUDZKIE”

Nelly

BYŁAM JEGO MAŁĄ KSIĘŻNICZKĄ...

Prawdziwa historia 16-letniej dziewczyny, która opowiada o kazirodczym związku z własnym ojcem. Jest to nie tylko zapis demaskujący okrucieństwo dorosłych, bezsilność społeczeństwa i wymiaru sprawiedliwości, lecz także pamiętnik cierpiącej nastolatki.

Elaine Nussbaum

POKONAŁAM RAKA

Autentyczna historia pewnej Amerykanki, której po latach dramatycznej walki z rakiem udaje się pokonać chorobę. Kiedy zawodzą konwencjonalne i wyniszczające organizm metody leczenia, niespodziewany sukces przynosi zwrot ku makrobiotyce.

Barbara Samson

PIEKŁO SIEDEMNASTOLATKI

Poruszające szczerą opowieść 17-letniej Francuzki, zarażonej przez swojego chłopaka wirusem HIV. Zakochana dziewczyna nie potrafi zerwać związku, który niszczy ją psychicznie. Kiedy okazuje się, że ukochany świadomie zaraził ją śmiertelną chorobą, decyduje się opowiedzieć ku przestrodze swoją historię.

JUŻ WKRÓTCE:

Norbert Potthoff

W LABIRYNCIE SCJENTOLOGII

Historia ustabilizowanego życiowo i zawodowo projektanta, który w trakcie realizacji kolejnego zlecenia zostaje wciągnięty w sfery oddziaływania sekty scjentologów. Zauroczony ich filozofią, zaczyna robić karierę w szeregach sekty, co w konsekwencji zniszczy jego życie prywatne i zawodowe, a także zrujnuje go materialnie.

Druk i oprawa: P. W. „TOLEK" Drukarnia im. K. Miarki
43-190 Mikołów, ul. Żwirki i Wigury 1